

PRZYCZYNY POLITYCZNEJ NIEMOCY

Dlaczego opozycja wciąż gra tak,
jak jej Kaczyński zagra?



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 7/412 15-21 LUTEGO 2021

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Nieporozumienia
w Porozumieniu

DODATEK SPECJALNY:

POLSKA
- ZAPORĄ
PRZECIWKO INWAZJI
IDEOLOGII LGBT



Czy stać nas na unijną
rewolucję energetyczną



ZIEMKIEWICZ PRZEPYTUJE JARUZELSKĄ:

Jestem niczyja

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy



WIZJONERZY

ZDROWIA 2021

**„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA
W POLSCE 2021–2023”**

**NAGRODY DLA WYBITNYCH OSOBOWOŚCI
ŚWIATA MEDYCYNY ORAZ SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA,
LUDZI, KTÓRZY ZMIENIAJĄ POLSKĄ MEDYCYNĘ
I OPIEKĘ NAD PACJENTAMI.**

**INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia**

PARTNER STRATEGICZNY





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Młodzi wolą lewicę?

Czytając tytuły do informacji w mediach liberalnych na temat postaw światopoglądowych młodzieży w oparciu o badanie CBOS, można by dojść do przekonania, że wojna kulturowa właśnie została w Polsce rozstrzygnięta. Sam instytut skomentował swoje badania następująco: „W 2020 roku odsetek młodych Polaków (18–24 lata) o poglądach lewicowych wzrósł w stosunku do poprzedniego roku niemal dwukrotnie, osiągając najwyższy poziom w historii naszych badań (30 proc.). Po raz pierwszy od niemal 20 lat lewicowe sympatie przeważały w tej grupie nad prawicowymi”. Z samego wykresu wynika, że, owszem, od dwóch lat rośnie liczba młodych Polaków deklarujących poparcie dla lewicy, ale rośnie również liczba zwolenników prawicy – różnica jest niewielka i wynosi kilka punktów procentowych. Wyraźnie natomiast spadła liczba młodych ludzi o poglądach centrowych lub nieokreślonych. Czy dane te pozwalają ogłosić zwycięstwo rewolucji ideowej?

Zdaniem „Gazety Wyborczej” sprawa jest jasna: „Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 22 października zeszłego roku, zaostrzając i tak już rygorystyczną ustawę antyaborcyjną, wyciągnął na ulice tłumy młodych, a zwłaszcza

młodych kobiet. Nie chcą takiego prawa, nie chcą takiego rządu, nie chcą PiS-u”. Jedyne, co trzeba, zrobić, to podtrzymać w młodych iskrę sprzeciwu. Jednak sprawa wcale nie jest tak jednoznaczna.

Po pierwsze, jak wiadomo, tym, co zawsze charakteryzuje młodzież, jest nonkonformizm i sprzeciw wobec tego, co zastane. Nic dziwnego zatem, że im dłużej Polską rządzi prawica – czyli od 2015 r. – tym trudniej jest jej politykom przyciągnąć do siebie młodych wyborców. Wzrost sympatii lewicowych oznacza zatem nie tyle wybór ideologii lewicowej, ile naturalną u młodych niechęć do establishmentu. Deklaracja lewicowości byłaby po prostu przejawem niechęci do dorosłej władzy.

Po drugie, należy pamiętać o szczególnym okresie, w którym te badania przeprowadzono. Od marca 2020 r., walcząc z pandemią, rząd wprowadza kolejne, niezależnie od tego, czy słusznie czy nie, ograniczające wolność przepisy. Akurat przez młodych ludzi, którzy nie mogą spotykać się z rówieśnikami, chodząc do szkół czy studiować, po prostu normalnie żyć, obostrzenia te odczuwane są szczególnie mocno. To zaś pociąga za sobą poszukiwanie czytelnego sztandaru, pod którym można byłoby wyrazić sprzeciw – nawet jeśli nie jest to logiczne. Akurat lewica zawsze wspiera najbardziej restrykcyjne przepisy.

Trzeci ważny czynnik, który z pewnością miał wpływ na zmianę stanowiska badanych, to narastający kryzys Kościoła. Coraz częściej kojarzy się on nie z Janem Pawłem II lub bohaterami walki z komunizmem, ale, również za sprawą mediów, z aferami pedofilskimi. Dodatkowo czynnikiem rozkładu jest, ogólnie to ujmując, chaotyczny i wewnętrznie sprzeczny przekaz pontyfikatu Franciszka. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji młodzi ludzie, tak bardzo szukający jednoznaczności, wyrazistości i autentyczności, porzucają katolickie dziedzictwo.

Czwartą rzeczą jest radykalna nierównowaga sił. Szczercze mówiąc, kiedy najpierw usłyszałem o tym badaniu i zobaczyłem jedynie tytuły, myślałem, że wyniki będą znacznie bardziej pesymistyczne. Wystarczy popatrzeć, jak gigantyczne środki finansowe i polityczne przeznaczone są przez różne instytucje unijne, a także szerzej, lewicowe, na zmianę nastawienia młodych Polaków. Polska jest tylko regionalnym poligonem światowej wojny kulturowej, w której gigantyczną przewagę ma lewica. Od lat nieustannie wbija się młodym Polakom do głów, że przyszłość należy do tych, którzy odrzucają katolickie i narodowe dziedzictwo, że państwo narodowe to przeżytek, że przywiązanie do tradycji jest oznaką zapóźnienia, czeka nas roztopienie się w nowym wielokulturowym społeczeństwie, że płynna tożsamość – płciowa, seksualna, religijna, narodowa – stanowi oznakę postępu i dojrzałości. Liczy się tylko otwartość. Wartość ma mieć to, co obce, dziwne, inne. Ten przekaz powielany jest na wszelkie możliwe sposoby – w mediach, książkach, filmach – i nic dziwnego, że wielu młodych po prostu go bezrefleksyjnie kupuje.

Nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, co należy zrobić, żeby tę tendencję powstrzymać. Jedno jest pewne – najgorszą odpowiedzią byłoby wycofanie się z pola bitwy i pogoń za mitycznym centrum. Wręcz przeciwnie. Tylko zdecydowana i stanowcza obrona dziedzictwa może przynieść wygraną i odzyskanie poparcia wśród młodych. Kunktatorstwo i tchórzostwo nie popłaca. Z tego punktu widzenia tak fatalną rzeczą była rejterada wielu prawicowych polityków i hierarchów po decyzji Trybunału: zamiast odważnie wytłumaczyć sens prawa do życia, wybrali milczenie. To droga donikąd. Najgorszą rzeczą byłoby mizdrzenie się do „ducha czasów”. Nic się na tym nie zyska, a zasłuży się co najwyżej na lekceważenie. ©©

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z MONIKĄ JARUZELSKĄ
JESTEM NICZYJA
Monika Jaruzelska stała się prawnicową?



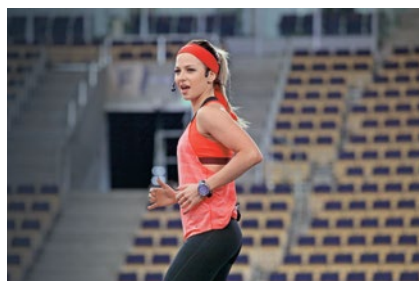
KRAJ

18 KAMILA BARANOWSKA
WIELKIE NIEPOROZUMIENIE
Chaos w partii Gowina i przyszłość koalicji

22 ROZMOWA Z RADOŚLAWEM FOGLEM
PRAWICA W ERZE TWITTERA

26 TOMASZ ROWIŃSKI
KOŚCIOŁ W PANDEMII

28 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WYZWANIE TRENERKI



KULTURA

30 PIOTR GOCIEK
DZIEŃ PRZED REWOLUCJĄ
Czy bogaci to tacy sami ludzie jak my?

32 MARCIN WOLSKI
ŚWIAT WEDŁUG NETFLIXA

34 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
KRZYSZTOF KOWALEWSKI
– CZŁOWIEK ŚMIECHU

42 GRZEGORZ KONDRASIUŁ
CZTERDZIEŚCI PREMIER
W DWA TYGODNIE

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

43
POLSKA ZAPORA
DLA ATAŃÓW
KULTUROWYCH



OPINIE

60 JAN FIEDORCZUK
OPOZYCJA W ŚWIECIE KACZYŃSKIEGO
Antypis pod dyktando PiS

62 JAKUB ZGIERSKI
SZKOŁA FRANKFURCKA

64 TERESA STYLIŃSKA
MOWA NASZA PUBLICZNA



HISTORIA

66 SŁAWOMIR SIWEK
KRÓTKA LISTA SB
40 lat NSZZ RI „Solidarność”

ŚWIAT

72 JACEK
PRZYBYLSKI
SĄD NAD TRUMP
Impeachment 2.0



74 ROZMOWA
Z DR CARRIE GRESS
FEMINIZM
ZATRUWA KOBIECZOŚĆ

76 MARIA KĄDZIŁSKA
DLACZEGO HINDUSI
KORZYSTAJĄ ZE SWATKI?

EKONOMIA

78 ŁUKASZ WARZECHA
KLIMATYCZNE SZALEŃSTWO
Ogromne koszty dla Polski
energetycznej rewolucji UE

81 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZWALCZANIE POLSKIEGO BIZNESU,
CZYLI JAK TO SIĘ ROBI W UE

O ZDROWIU

85
RAPORT: ZDROWIE W DOBIE PANDEMII

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (69), PRZYBYLSKI (70), GABRYEL, WARZECHA (84), KOMUDA (94), ŻALEWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

Drodzy Czytelnicy,

Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i czekamy na Wasze komentarze.

Na szczycie Babiej Góry

Szanowny Panie Redaktorze, we wrześniu 2012 r. w przewodniku „Beskid Żywiecki” Stanisława Figiela i trzech innych osób, wydanym przez Oficynę Wydawniczą „Rewasz” w Pruszkowie w 2006 r., przeczytałem zdanie, które mnie zaintrygowało: „Tuż przy obelisku, na naturalnej płycie skalnej wyryto tekst ku czci Józefa Piłsudskiego i czynu legionowego (dziś trudny do odczytania)”. Gdy po kilku dniach dotarłem wraz z żoną na szczyt Babiej Góry (Diabłak) i odnaleźliśmy tam z trudem ten napis, był on wówczas w zasadzie nieczytelny; z trudem można było odczytać jedynie na końcu napisu imię i nazwisko Marszałka.

Po ujrzeniu takiego stanu rzeczy rozpocząłem bezzwłoczne starania o odrestaurowanie tego napisu, starania, które wydawały się nie mieć końca, trwające aż osiem lat. W tym czasie powstało ok. 50 pism urzędowych, wytworzonych zarówno przeze mnie, jak i podmioty, z którymi przyszło mi korespondować [...], dwa artykuły w prasie ogólnopolskiej, a nawet moje starania zostały przedstawione w wartościowej i interesującej książce pt. „Józef Piłsudski w Zawoi” Aleksandra Wiechecia, wydanej w 2018 r. Telefonów, które w tym czasie wykonałem, była wprost niezliczona ilość... W końcu we wrześniu ubiegłego roku otrzymałem z IPN-u pismo, w którym zostałem poinformowany, że „wspomniany napis poddano renowacji i został on w pełni uczyszelniony. Dzięki temu ta cenna pamiątka z przeszłości i wyraz patriotyzmu żołnierzy 74. Górnośląskiego Pułku Piechoty zostanie trwale zachowana dla potomnych”.

Na szczyt Babiej Góry, nazywanej „Królową Beskidów”, wędruje wielu turystów ze względu na rozciągające się stamtąd piękne widoki. Jeśli będą wiedzieć o napisie: „74 Górnośląski Pułk Piechoty dla uczczenia Czynu legionowego i jego Twórcy Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego”, który tam się znajduje, to zapewne wielu z nich postara się go odnaleźć.

Z wyrazami szacunku
Stanisław Rembowski

„Splendor i zmierzch”, Joanna Bojańczyk, „DRz” 2/2021

Szanowni Państwo, z wielkim zainteresowaniem i uwagą przeczytałem artykuł Pani Joanny Bojańczyk „Splendor i zmierzch” na temat kariery i wizyty w Polsce Pana Pierre’a Cardina. Do obsługi tej wizyty był wynajęty wraz z kierowcą drugi samochód z Rent a Car „Orbis”, więc są to poniekąd również moje wspomnienia. Pana Cardina odbierał jako oficjalną wizytę państwową bezpośrednio z płyty lotniska. Wśród kilku osób witających rozpoznałem tylko Panią Monikę Jaruzelską, która robiła w Paryżu wywiad z panem Cardinem, i to na jej zaproszenie przybył do Polski. Jako stosunkowo jeszcze młody chłopak ucieszyłem się, że będę woził piękne młode modelki, a nie starszego Pana. Pokaz odbył się 12 grudnia 1991 r., a następnego dnia, w 10. rocznicę stanu wojennego, po zamianie samochodu miałem przyjemność zawieźć Pana Cardina do Belwederu na śniadanie z Panem Prezydentem Wałęsą. Panowie nie mieli sobie chyba zbyt wiele do powiedzenia, ponieważ wizyta trwała tylko 20 minut. Następnie udaliśmy się do TVP na Wronicza, gdzie był nagrywany program „100 pytań do...”. Program był nagrywany strasznie topornie, kilkanaście razy przerywany, awarie, szумы w słuchawkach, niezrozumiałe tłumaczenie. Po świetnym montażu został wyemitowany w święta Bożego Narodzenia po głównym wydaniu „Wiadomości”.

Jedyną pamiątką, jaką mam z tej wizyty, poza wspomnieniami, jest zdjęcie z modelkami z hali odlotów. Jedną z tych dziewczyn była z pochodzenia Polką i po przylocie jej chłopaka z Francji pojechała odwiedzić rodzinę. [...]

Pozdrawiam serdecznie
stały czytelnik
Eugeniusz Nowak, Karczew

Andrzejowi Krzystyniakowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

SP
Ojca

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cośi (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czański, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn,
Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Włoczyk, Jakub Wozinski,
Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzry, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Przemysław Harczuk (także „Super Express”), **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Taniś,**
Jacek Nadarowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Trzask**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysowniki: **Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto**
Okładka: **Katia Serek**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzący w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Ilona Weiss, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rozsądny wyrok

Sąd w Warszawie orzekł, że prof. Jan Grabowski i prof. Barbara Engelking nie mieli wystarczających podstaw do stwierdzenia w książce „Dalej jest noc”, że sołtys wsi Malinowo, Edward Malinowski, współpracował z Niemcami i był winny śmierci kilkudziesięciu ukrywających się Żydów. W wyroku nakazano przeprosić za nieudokumentowane oskarżenie. Proces odbywał się z prywatnego pozwu krewniej sołtysa Malinowskiego, pani Filomeny Leszczyńskiej, która poczuła się oburzona oskarżeniem wobec jej krewnego.

To mądry werdykt. Sędzia nie mógł nie mieć świadomości, jak wiele emocji wywołuje ta sprawa. W obronie dwojga badaczy wypowiedziały się już liczne żydowskie instytucje historyczne na czele z Yad Vashem i Izraelskim Związkiem Historyków. W bardzo stronnicy i nieprzychylny dla Polski sposób opisała go Agencja Reutersa. Po stronie Grabowskiego i Engelking opowiedziały się też liczne instytucje badające Holokaust w Polsce.

Sąd ustalił podstawową rzecz – zebrany przez badaczy materiał nie daje podstaw do obciążania soł-

tysa wsi Malinowo tak poważnym zarzutem. Nie wymierzył jednocześnie postulowanej przez powódkę wysokiej grzywny 100 tys. zł, która mogłaby dawać argument, że sąd chce historyków zastraszyć wizją kolejnych dotkliwych kar lub zniechęcić do zbyt wnikliwego badania tego typu wydarzeń z lat wojny.

W linii obrońców dwojga historyków pobrzmiwała teza, że badaczom zajmującym się Holokaustem przysługuje coś w rodzaju immunitetu. Wojciech Pięciak na łamach „Tygodnika Powszechnego” ujął takie myślenie w ten sposób: „Można by zinterpretować [taką linię obrony – przyp. red.] w ten oto sposób, że historycy powinni być równi i równiejsi: że tych spośród nich, którzy badają temat Polaków będących w Holokauście współnikami Niemców, nie obowiązują te same standardy co innych”.

Obowiązują. I sąd uznał prawo sołtysa Malinowskiego do zachowania dobrego imienia. I jeśli wokół całej sprawy było i jest tyle rozgłosu, to wynika to z bolesnego dla Polaków automatyzmu, w którym gdy tylko w światowych mediach pojawiają się hasła „Polska”, „Holokaust”, „Badacze”, wszystko staje

się jasne, nie trzeba niczego badać i rutynowo stawia się nasz kraj w roli sprawcy, który wykręca się od odpowiedzialności.

Wyjątkowo wstrętne jest to, że w rolę oskarżycieli Polski w tej sprawie weszło także Stowarzyszenie Historyków Niemieckich (VHD). „Takie procesy sądowe mogą stanowić element zastraszenia” – ogłosiła szefowa Stowarzyszenia Eva Schlotheuber.

To, jak bardzo pomagają przyglądanie się sprawie na miejscu, tu w Polsce, wykazał prof. Daniel Blatman, izraelski historyk, który z racji swej pracy naukowej w powstającym dopiero Muzeum Getta w Warszawie uważnie śledził wydarzenia i na łamach dziennika „Haaretz” wezwał, by nie określać tego procesu jako „drugiej sprawy Dreyfusa”. Takich reakcji było jednak niewiele. Dominowało, szczególnie w przypadku polskich instytucji badawczych zajmujących się Holokaustem, hasło: „Murem za Grabowskim i Engelking”.

Profesorowie Grabowski i Engelking mogli już dawno wycofać się z krzywdzącej wzmianki i przeprosić. Nie zrobili tego. Zapowiadają apelację. © ©

30 LAT GRUPY WYSZEHRADZKIEJ

– Rozmawialiśmy o problemach dotyczących dostaw szczepionek, o programach szczepienia i ich zaawansowaniu, a także o bezpieczeństwie energetycznym oraz ochronie klimatu – oświadczył w zeszłym tygodniu prezydent Andrzej Duda po zakończeniu dwudniowego szczytu prezydentów państw Grupy Wyszehradzkiej, czyli Polski, Węgier, Słowacji oraz Czech. Spotkanie głów państw rozpoczęło obchody rocznicy 30-lecia utworzenia Grupy V4. W tym tygodniu w Krakowie ma odbyć się szczyt szefów rządów Grupy Wyszehradzkiej. (jap) © ©



FOT. JAKUB SZCZUŁIK/KRIP



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Gra pozorów

Jeśli projekt opodatkowania przychodów reklamowych mediów potraktować merytorycznie, to łatwo wskazać w nim wiele mializn i potknięć, będących skutkiem albo nieudolności projektodawców, albo zakulisowego lobbingu. Głównym problemem jest to, że po raz kolejny wymyśla rząd sposób obciążenia, w praktyce, małych i średnich, a wobec wielkich koncernów ta próba ma wielkie szanse skończyć się tak samo jak obiecywane od 2015 r. opodatkowanie supermarketów – na odgrazaniu się.

Natomiast jeśli spojrzeć na sprawę czysto politycznie, wizerunkowo, to rząd zagrał skutecznie. Głównie dzięki – by użyć słów poety – „kontentnej niemocie” obozu lewicowo-liberal-

nego i jego niezdolności do reakcji innych niż histeryczne. Zamiast wskazać wady projektu, zamiast w ogóle mówić o nim, opozycja jak zwykle nakręciła bombastyczne wzmożenie, że opodatkowywanie wielkich koncernów to koniec wolności słowa – po raz enty zasypując Polaków alarmami, które nie zadziałały na nich już pięć lat temu i od tamtego czasu nie działają coraz bardziej. Przy czym chyba nigdy jeszcze nie było rządowi tak łatwo wykazać hipokryzji protestów i pokazać protestujących jako obłudników, którzy słowem nie bronili wolności słowa, a nawet kibicowali, gdy niszczyła ją PO, ocknęli się zaś dopiero, gdy im zajrzano w portfele – inspirowanych przez pazernych kapitalistów i międzynarodowych cwaniaków, którzy od lat okradają nas

z należnych budżetowi pieniędzy i zorganizowali całą tę hucpę, by kraść dalej.

Jak zwykle więc debata publiczna ugrzęzła w budzących emocje fantomach – ani projekt nie uderza tak mocno w wielkie koncerny, nie mówiąc o gigantach Big Tech, jak głosi władza, ani nie zagraża wolności, wbrew labidzeniu opozycji; a pracownicy medialnych korporacji też przerąbane mieli i bez niego, by przypomnieć choćby, co działa się ostatnio w Agorze i grupie TVN. Cała draka jest natomiast świetnym dla władzy wstępem do niedalekiego już, prawdziwie decydującego rozdania, jakim będzie ucieranie dealu z medialnymi korpo w związku z kończącymi się terminami koncesji i koniecznością ich odnowienia. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Aborcje homoseksualne

Wydawałoby się, że nie ma większego absurdu niż emocjonalne zaangażowanie działaczy homoseksualnych w wystąpienia aborcyjne. A jednak liderzy politycznego ruchu homoseksualnego odgrywają wybitną rolę w działaniach przeciw prawu do życia, zarówno w Polsce, jak i w Europie. Co ich do tego pobudza?

Przed wszystkim to najbardziej widoczna (obok ataków na kościoły) manifestacja głębokiego antychrześcijańskiego resentymentu. Bezinteresowne zwalczanie etyki chrześcijańskiej nawet w tych punktach, które protagonistów tych działań w ogóle nie dotyczą. W homoseksualnych relacjach nie poczyta się dzieci. Do tej pory polityczny

ruch homoseksualny domagał się, by tę dotkliwą niesprawiedliwość natury naprawiało liberalne państwo przez homoseksualne adopcje albo dalej idące eksperymenty. Ale tu kierunek zmienia o 180 stopni.

Najwyraźniej chodzi więc o totalną deregulację etyczną, zniesienie wszelkich moralnych powinności i oczekiwań, poczynwszy od rodzicielstwa. Dzięki temu miałyby powstać kulturowe otoczenie, w którym wolno wszystko, a niczego nie trzeba. Trudno jednak zrealizować to w społeczeństwie takim, jakie jest. Polityczny ruch homoseksualny nawet w najszerszej koalicji skrajnej lewicy pozostanie w mniejszości. Żeby mieć siłę sprawczą – musi zmienić „materię

społeczną”, zanim nada jej nową formę. Aborcjonizm spełnia dla podobną rolę jak imigracja dla współczesnego socjalizmu: dostarcza potencjalnych sojuszników. Z tym że tu wymianę ludności zastępuje głęboka mutacja, coś w rodzaju epidemicznej amnezji, po której część społeczeństwa traci kontakt ze swą religią, tradycją, wychowaniem.

Osobliwość sytuacji dopełnia jeszcze to, że polityczny ruch homoseksualny zaczynał od „walki o akceptację”. Potem po raz kolejny zadziało prawo naczyń połączonych: im więcej akceptacji dostawał, tym mniej jej okazywał. Warto o tym pamiętać, by dobrze rozumieć właściwy sens kolejnych podobnych hasel. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 mesjaszach włoskich

Profesor Mario Draghi, były szef Banca d'Italia i Europejskiego Banku Centralnego, interlokutor i partner możliwych i najbardziej wpływowych, jakich Ziemia nosi, jest bez wątpienia najmocniejszą włoską figurą na światowej szachownicy.

O tym, że w obliczu kryzysu i żalosnej włoskiej klasy politycznej dobrze byłoby oddać mu Italię pod zarząd komisaryczny, mówiło się od

Rzeczy", Draghi już będzie premierem, ale myślę, że wątplię. Pewnie sprawa będzie się jeszcze ślimaczyć. Ponurym znakiem czasu i politycznej degrengolady Italii jest to, że w chwili, gdy piszę te słowa, przyszłość Italii jest w rękach błazna – komika Beppe Grillo, założyciela i wodza tragicomicznego, antysystemowego Ruchu 5 Gwiazd (jedna trzecia miejsc w parlamencie). Od niego zależy, czy Draghi będzie premierem.

Naród doprowadzony do desperacji pandemią, nieudolnością rządu, administracji państwowej i polityków oddał się myśleniu magicznemu. W zbiorowej wyobraźni Włochów Mario Draghi przedzierzgał się z bankiera w zbawcę kraju, który pstryknie palcami i cudownie, z dnia na dzień, uzdrowi ledwie dychającą Italię. Zresztą z lektury włoskiej prasy można wnieść, że Draghi umie chodzić po wodzie i uzdrawiać (finanse). Z łamów gazet i ekranów tv leją się ociekające lukrem peany, przypominające nieco to, co przed wojną pisano tu o Mussolinim.

Ba! Jeden z dzienników, zapewne wychodząc z założenia, że o Draghim napisało już wszystko, poświęcił panegiryk jego psu (ogar węgierski): „Świetnie ułożony, wierny, otwarty na świat, zrównoważony, posłuszny i elegancki”.

Niedawno podobnie traktowani byli Berlusconi, Monti i Renzi. Łączy ich jedno – wszyscy zawiedli. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



kilku miesięcy. Wszyscy byli jednak przekonani, że Draghi, człowiek zdrowego rozsądku, na odrażający widok tego, co się dzieje we włoskim parlamencie i co wyczynia rząd adwokata Contego, nie będzie się w tak ryzykowną imprezę pakował. Stało się inaczej.

Być może, gdy weźmiecie do ręki ten numer „Do



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Zima a sprawa polska

W tym kraju wszystko jest polityczne. Zima oczywiście też. Twitter informował obficie, jak obficie były opady, że śnieg w Polsce jest polityczny także, że jak najbardziej. Śnieg na ulicach, co oczywiste, ma barwy politycznego wroga. Nienawistne. W Warszawie śnieg złośliwie padał przez złośliwego i nieumiejącego z nim negocjować Rafała Trzaskowskiego. Na szczęście prezydenta stolicy na TT w obronę wzięła była prezydent stolicy Hanna Gronkiewicz-Waltz. Lub też na nieszczęście wzięła go w obronę, niech państwo sami zdecydują, nie będę narzucać interpretacji. W każdym razie pani Hanna napisała: „Jeśli jest za dużo pługopiasek w godzinach szczytu, to utrudniają ruch”. I się zaczęło. Najpierw twitterowa ludożerka sprawdziła, czy przypadkiem pod panią Hannę nie podszły się Człowiek Bóbr – wesołek, który udaje inne osoby, produkując fałszywe komunikaty i wiele radości. To nie był Człowiek Bóbr! I się zaczęło! Najdelikatniej rzecz ujmując, warszawiacy informowali panią Hannę, że – jak widać – na horyzoncie żadnej pługopiasekarki, to też nie jest to ułatwienie. Informowali w słowach nazbyt brutalnych, aby je tu przytaczać...

W wysokiej temperaturze sporów spowodowanych niskimi temperaturami na TT dochodziło do ciosów chybionych. Wiceminister Błażej Poboży z PiS do informacji ze zdjęciem o fontannie niespodziewanie wypływającej ze ściany na Dworcu Centralnym dopisał hashtag #Trzask, co miało sugerować winę lub przynajmniej niefart Trzaskowskiego. Niestety, okazało się, że Dworzec Centralny to raczej państwowy... Ech... Niefart...

A teraz poważnie. Lewicowy poseł Maciej Gdula zobaczył na krakowskich autobusach reklamę hospicjów perinatalnych ze słynnym pięknym serduszkim, w których jest nienarodzone dziecko, i niestety napisał to, co myśli: „Interwjujemy w sprawie reklam Fundacji Nasze Dzieci – Edukacja, Zdrowie, Wiara, które pojawiły się na krakowskich busach. Fundacja prowadzi kampanię wymierzoną w prawo do przerywania ciąży, pewnie kojarzycie billboardy, które są niestety wszędzie”. Poseł Gdula doczekał się kontry z niespodziewanej strony, od kódkiej posłanki Nowoczesnej Katarzyny Lubnauer: „Jestem za legalną aborcją, ale co jest nie tak z tymi billboardami? Wpłaciłam nawet kiedyś na hospicjum perinatalne, bo kobieta ma prawo mieć wybór i pomoc, gdy wybierze urodzenie dziecka z wadą letalną”. Szaleństwo ideologiczne znokautowane... ©©

Ujawniamy. Czerwiec. To na ten miesiąc PiS planuje kongres partii, który pierwotnie miał się odbyć jesienią ubiegłego roku. Powiemy więcej – druga połowa czerwca. Przystawki też nie śpią. Porozumienie planuje swój kongres między czerwcem a wrześniem. Złośliwie zapytamy: Tylko które Porozumienie?

Apropos Porozumienia, konfliktu Gowin-Bielan i dwuwładzy. Wieściówki z Nowogrodzkiej mówią, że chodzi o to, by grillować i osłabić Gowina, a nie o to, by go mordować. Tego chce szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński. A tu nagle okazuje się, że Adam Bielan jest większym radykałem niż Kaczyński SWP.

Tymczasem na Nowogrodzkiej dojrzewa decyzja, by w najbliższych wyborach parlamentarnych przeprowadzić opcję zerową, to znaczy bez SolPolu i Porozumienia na listach. Zagrożeni mają tego świadomość. Jedni zerkają ku Konfederacji, inni w stronę Szymona Świątoszka 2050.

Niektórzy mogą być zdziwieni – to Porozumieniu nie byłoby bliżej do Peezelu? Niestety, Gowin ma głęboki uraz do Władka Tygrysa-Kamysza po tym, jak ten pokazywał obcym SMS-y, w których wiośnią Długi Jarek wzywał opozycję do ratowania Polski wraz z nim oraz marzył o fotelu marszałka Sejmu (a nie technicznego premiera, jak mylnie twierdzą media).

Tymczasem wiceminister Marcin Warchoń szykuje się do walki o stanowisko prezydenta Rzeszowa (po rezygnacji Tadeusza Ferency). Już ogłosił, że kandyduje jako niezależny i obywatelski, bo wystąpił z SolPolu. Będzie chryja, gdyż Nowogrodzka nie podjęła jeszcze decyzji, kto ma walczyć o Rzeszów. A wielką ochotę na wskazanie najlepszego kandydata ma Krzysztof Sobolewski.

WPoznaniu nastał nowy wojewoda. Michał Zieliński zastąpił Łukasza Mikołajczyka. Wieściówki mówią, że Zieliński to człowiek poprzedniego wojewody, Zbigniewa Hoffmana, który siedzi teraz w reście u Mariusza Błaszczaka. I że to właśnie żelazny Mario sprawę pomyślnie pilotował. Czasem wiele się musi zmienić, żeby wszystko pozostało po staremu.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Zwykle jesteśmy spokojni, ale czasem budzi się w nas dusza radykała. Tak jak teraz. Wzywamy więc: nie poddawajcie się! Protestujcie dalej! Tefaueny, „GazWyby”, „Rzepy”, portale Eine Totalopposition! Ani kroku w tył! Wspieramy czarne ekrany i czarne monitory! Nawet nie wiecie, ile milionów Polaków uszczęśliwiłicie swoim milczeniem w minioną środę!

Protest dotyczy, jak wiadomo, nowego podatku od reklam w mediach, który planuje PiS. Zwracamy uwagę na unikatową formę protestu: media, które paplają w kółko o wolności wyboru, zaczęły od ograniczenia wolności wyboru swoim odbiorcom. III RP w pigułce, lepiej byśmy tego nie streścili.

Mamy wniosek: Czy partie opozycyjne nie mogłyby wziąć przykładu z mediów i walczyć z PiS w milczącej formie? Zamiast konferencji Budki – czarny ekran. Zamiast bełkotu w radiowych wywiadach – komunikat: „Tu miał być Szymon, ale nie przyszedł”. Zamiast demonstracji na ulicach – gustowne małe czarne tabliczki przykręcane do słupów, z napisem: „Tędy byśmy szli, gdybyśmy szli”.

Wszyscy głowią się, co naprawdę oznacza pomysł PeŁo z „Koalicją 276”. Wyjaśniamy. Jest coś takiego, jak art. 276 Kodeksu karnego. „Kto niszczy, uszkadza, czyni beзуżytecznym, ukrywa lub usuwa dokument, którym nie ma prawa wyłącznie rozporządzać, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności”. Naszym zdaniem wszystko pasuje. PeŁo swoimi wygłupami każdy program opozycji czyni beзуżytecznym, a przecież nie ma prawa nim rozporządzać.

Nasza informacja sprzed tygodnia, że niejaki Piotr Jegliński, wydawca i opozycjonista z czasów PRL, usiłuje wychodzić sobie funkcję ambasadora w Paryżu, wywołała przerażenie wśród jego wierzycieli. Co prawda, immunitet dyplomatyczny nie daje ochrony przed egzekucją długów, ale znacząco ją utrudnia. Wierzytiele zaczęli więc szturmować MSZ. Chyba skutecznie, bo coraz głośniej słychać, że nad Sekwanę uda się jednak jakiś zawodowy dyplomata.

Skoro o zagranicy – jest myśl rzucona przez prezydenta Niemiec, że rurociąg Nord Stream 2 to zadośćuczynienie dla Rosji za straty wojenne. W związku z tym mamy pytanie: Czy Polska jako zadośćuczynienie dostanie utracone Kresy Wschodnie, a może chociaż Zaolzie? Ewentualnie zgodzimy się na rurociąg łączący Bundesbank z NBP. Czas, żeby wszystkie wypompowane z III RP przez trzy dekady dojczmarki i ojro zostały do nas na powrót przepompowane.

Tymczasem w europarlamencie. Nie wszyscy są tam bezrefleksyjnymi rusofilami. Od września działa specjalna komisja INGE, którą kieruje francuski lewicowiec Raphaël Glucksmann, syn filozofa André Glucksmanna. Komisja zajmuje się obcymi ingerencjami w procesy demokratyczne na terenie UE. Głównie grilluje Rosję. Biorąc pod uwagę tzw. strajk mediów w Polsce, może powinna też TVN Discovery?

Wiadomość z ostatniej chwili – jedynym Polakiem w INGE jest... trzy... dwa... jeden... Tak, zgadli państwo! Richard Henry Czarnecki! Mężczyzna pracujący, który żadnej pracy się nie boi! Zobaczycie, gdy Chińczycy wylądują na Księżycu, spotkają tam dwóch Polaków: Twardowskiego i Czarneckiego. ©

ZĘBY TO PODSTAWA

Blanka Lipińska, autorka poczytnego thrillera erotycznego wzorowanego na „50 twarzy Greya” i aspirująca wciąż celebrytka, ujawniła kolejną już rzecz, którą postanowiła poprawić w swojej urodzie.

Po tym, jak schudła, wycięła z policzków torebki tłuszczowe, ulepszyła swoje piersi i usta, przyszedł czas na zęby. Ostatnio pochwaliła się, że dokonała zabiegu ich wydłużenia, metodą bondingu. – Mam bonding zrobiony, zrobiłam go wczoraj – pochwaliła się od razu na Instagramie. – Natomiast jeszcze nie mogę się nim wam pochwalić, bo moja kochana doktor powiedziała, że to nie jest jeszcze to, czym można się chwalić, więc nie będę się tutaj do was szczyrzyć. Aczkolwiek faktycznie widać, że mam większe zęby, są super – cieszyła się. – Wczoraj każde lustro było moje, chyba przez całe życie się tyle nie uśmiechałam co wczoraj, więc jak już doktor skończy, to bądźcie pewni, że zaprezentuję wam ten szereg białych zębów – zapowiedziała. Dobrze, że będzie miała ładne zęby. Jest szansa, że będą odciągać uwagę od tego, co mówi.



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

TYLKO PROFESKA

Pozostając przy poprawianiu urody – inna celebrytka, blogerka modowa Maffashion, zdradziła w niedawnej rozmowie z fanami, że oprócz operacji nosa pięć lat temu powiększyła sobie także usta i bardzo tego żałowała.

– Chciałam zobaczyć, jak to jest. Miałam ochotę wyrównać małą asymetrię w górnej wardze. Nie znam się na tym temacie, nie znam też klinik, gdzie robią najlepiej usta. Wiem tylko, że kwas się wchłania. I po upływie plus minus pół roku usta masz jak wcześniej – wyznała.

– Byłam nieodpowiedzialna i pięć lat temu zrobiłam zabieg u dziewczyny, która nie była lekarzem. Tego nie wolno robić – ostrzegła blogerka. Teraz, jak rozumiemy, Maffashion korzysta już tylko z usług profesjonalistów. Efektów specjalnie nie widać. Ale może na tym właśnie polega profesjonalizm?

BO PĄCZKI BYŁY ZA TANIE

Magda Gessler chciała zapunktować u swoich fanów, a przy okazji zrobić sobie i swoim



FOT. PAWEŁ GROMADA

biznesom restauracyjnym dobrą reklamę. Wymyśliła więc, że w tłusty czwartek w jednym ze swoich lokali będzie serwować pączki seniorom za złotówkę. „Zasady są bardzo proste: 1 pączek dla 1 seniora za 1 zł przez cały dzień. Zapraszam. Ciepłe pączki... z wiśnią, z maliną. Przez cały dzień” – oznajmiła na Facebooku. Część jej fanów pomysł przyjęła z entuzjazmem, ale części się wcale nie spodobał. Ci ostatni uznali, że to dla seniorów upokarzające. Duch w narodzie nie ginie! Nawet o za tanie pączki można się u nas pokłócić. Bo czemu nie?

WYJADĄ, NIE WYJADĄ?

Maciej Stuhr w wywiadzie dla „Wprost” powiedział niedawno, że jego pierwszą myślą po publikacji wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji była chęć wyjazdu z kraju. „Jeśli mam szczerze odpowiedzieć, jaka była moja pierwsza myśl, to była ona taka: czy mnie się jeszcze w ogóle chce być patriotą?” – przyznał wówczas. Kilka dni później postanowił wytłumaczyć się ze swoich słów na Facebooku. „Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czy życie w Polsce na pewno ma dla mnie sens, czy sobie po prostu gdzieś nie wyjechać i przestać się tym wszystkim martwić. Zaznaczyłem też, że pewnie ta myśl mi zaraz minie. Ale było już za późno. No i się zaczęło. Od komentatorów fanów dobrej zmiany, przez artykuły na »Wiadomościach« kończąc” – napisał. I dodał: „Nie wdając się w jałowe polemiki, pomyślałem sobie raz jeszcze, jak smutnych czasów doczekaliśmy”. Faktycznie, smutne to czasy, w których ktoś serio traktuje jeszcze obietnki aktorów i gwiazdorów o wyjeździe z Polski.

DONOS NA INSTAGRAMIE

Barbara Kurdej-Szatan po powrocie z egzotycznych rodzinnych wakacji od razu wpadła w wir obowiązków. – U mnie rozpoczęła się era szofera. Mąż wyjechał na próby do Łodzi. Będzie tam siedział od poniedziałku do piątku codziennie, a ja wożę dzieci. Do szkoły, ze szkoły, na zajęcia, do lekarza, wte i wewte – opowiadała na Instagramie. Chętnie też wrzucała swoje zdjęcia z parków i innych miejsc publicznych. To właśnie zwróciło uwagę internautów, którzy zirykowali się, że celebrytka nie przestrzega zasad kwarantanny, która obowiązuje po powrocie z zagranicy. Kurdej-Szatan zamilkła i nie odpowiedziała na zarzuty. Może dotarło do niej, jak koncertowo się sama wkołała. Jednak media społecznościowe to zło. ☹️



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nasza wieloletnia praca okazuje się mieć sens. Otóż właśnie zapoznaliśmy się z wynikami badań, które mówią, iż młode osoby w wieku od 18 do 24 lat mają częściej poglądy lewicowe niż prawicowe.

będą wówczas znaczyły tyle samo co prawa każdego innego, ale więcej niż całej reszty razem wziętej. Wychodzi nam tutaj bardzo trudne równanie do rozwiązania, ale nic, tylko się cieszyć na akurat takie problemy.

Niestety, w tym kraju jak to w tym kraju. Zawsze musi być na przekór: Im zimniej, tym wąsate janusze mocniej kopcą ze swoich starych pieców i starych samochodów, a w wielkich ośrodkach zarządzanych przez sprawnych menedżerów i gospodarzy zamiast korzystać z komunikacji miejskiej, pasażerowie wciąż wybierają te swoje dymiące diesle.

W tej sytuacji spodziewamy się, iż Zim niebawem odpuści i sobie pójdzie, jako iż misja cywilizowania tego kraju to może być za dużo nawet jak dla niego. Poza tym Strajkowi Kobiety ciężko się maszeruje przez śniegi.

Pis chce się zamachnąć na wolności
banowania prawaków
w socialmediach!



c e z e t y k t y j k t o p d

Co więcej, w ostatnich latach znacząco wzrósł odsetek osób, które deklarują się po lewej stronie sceny polityczno-swiątopoglądowej. To of kors wspaniała wiadomość, iż pokazuje, że nowe pokolenie jest chętne, aby pokonać patriarchy i wprowadzić sprawiedliwość społeczną oraz powszechną tolerancję i afirmację dla każdej mniejszości.

Marzy nam się taki dzień, kiedy młodzież będzie w 100 proc. lewicowa, a nauka do tej pory wynajdzie tyle płci, iżby każdy miał własną. Wówczas każdy będzie mniejszością i prawa każdego

Zaskoczył nas tegoroczny Zim, nie ma co! Spodziewaliśmy się raczej łagodnej pory przejściowej między Jesieniem a Wiosenem, a tymczasem odwiedził nas tak wnerwiony Zim, jak za starych lat.

W sumie to się nie dziwimy, bo się nazbierało. Zim sparaliżował drogi, iżby Polacy przestali na złość Unii kopcić swoimi rozklekotanymi dieslami, w dodatku ta cała sprawa z Prawem do Wyboru, dajcie spokój. Każdy by się zde-nerwował. Zim przyszedł więc i zrobił trochę porządku.

Ale siara znowu. Trochę już zapomnieliśmy, jaki ten kraj potrafi być męczący i atencyjny z tą swoją martyrologią i obnoszeniem się z klęskami. A tymczasem gruchnęła wiadomość, iż w Berlinie, tak, tak – stolicy szczególnie doświadczonej nazizmem, stanąć ma pomnik polskich ofiar drugiej wojny.

Eh, czy my naprawdę ciągle musimy żyć przeszłością i wszystkim się z nią narzucać? Nie możemy żyć normalnie, zbudować jakiegoś pomnika osób pokrzywdzonych przez ten kraj na przestrzeni wieków? A przynajmniej nie rozpamiętywać takich odległych rzeczy, zwłaszcza teraz, kiedy europejska solidarność jest tak wszystkim potrzebna? @@



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSKU:
FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Kody

Jarek, wypuścili cię?

Że co? Marcin, nie rozumiem. Skąd mnie mieli wypuścić?

No... To nie zatrzymali cię za jazdę po pijaku?

Jazdę po pijaku? Chyba na rowerze, przecież ja prawa jazdy nie mam!

No wiem, właśnie też się zdziwiłem. Ale wiesz, ludzie czasem jeżdżą i bez...

Gdzie ty te bzdury usłyszałeś?

Teraz to już właściwie wszędzie się o tym mówi, od jakiejś godziny. Ale sprawdziłem, że najpierw się taka informacja ukazała na naszej stronie, Porozumienia znaczy. O, nawet sobie wydrukowałem: „Z przykrością informujemy, że członek Porozumienia Jarosław G. został dzisiaj zatrzymany przez policję...”. I dalej: „Stwierdzono,

że miał we krwi 0,8 promila alkoholu”.

Na naszej stronie? A kto nią administruje?

No... właśnie administrator dzwonił, że mu kody nie działają i nie może się zalogować. Kody? Kody, powiadasz?!

No tak, wszystko jasne. Dzwon do Kowala, on musi wiedzieć, jak sobie z tym poradzić. @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Gazety powstały z komunikatów wojennych rozwieszanych na murach miast i w nich roznoszonych. Polski powrót mediów do punktu wyjścia”

RAFAŁ GRUPIŃSKI, poseł Koalicji Obywatelskiej, na Twitterze o proteście mediów



POCZĄTKOWA PRACOWNIA



WIELKA INWESTYCJA POLSKI NA ANTARKTYDZIE

Za 23 mln dol., równowartość ok. 90 mln zł, Polska zbuduje na Antarktydzie nową stację badawczą. Zimą budynek główny, zaprojektowany w futurystycznym stylu przez pracownię architektoniczną Kuryłowicz & Associates, pomieści do 13 osób, a latem do 37.

Trzykondygnacyjna stacja – której patronem jest słynny polski geograf, geofizyk i geolog Henryk Arctowski – powstaje na miejscu starej bazy na Wyspie Króla Jerzego, 120 km od brzegów kontynentu Antarktydy i 14 tys. km od Warszawy.

W skład nowoczesnego kompleksu wejdzie również zupełnie nowa latarnia morska. Umiejscowiona na wysokim bazaltowym bloku skalnym jest najważniejszym punktem orientacyjnym w okolicy, a błysk jej światła widać z odległości kilkunastu kilometrów.

Projekt nowej latarni – która ma zostać pomalowana na biało-czerwono – również przygotowali architekci z pracowni Kuryłowicz & Associates. Budynek główny oraz nowa latarnia mają być gotowe do roku 2024. **(jap)** © ©

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ: Przede wszystkim, witam w klubie.

MONIKA JARUZELSKA: W klubie „brunatnej księgi”? Do niedawna nawet nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Kiedy tam zajrzałam, wciąż mnie nie było, choć od zapowiedzi umieszczenia mnie w niej minęło ponad pół roku. Ale prof. Pankowski

z lewej strony, zaznaczam, bo nawet jeśli teraz zostałam podobno „przygarnięta” przez prawicę – zresztą nie jest mi z tym źle – to miałam i inne doświadczenia...

Uzasadnienie pana Pankowskiego było takie, że kiedy goście na kanale YouTube „Monika Jaruzelska zaprasza”, tacy jak Braun czy Michalkiewicz, mówili



Z Moniką Jaruzelską
rozmawia Rafał A. Ziemiński

Jestem niczyja

solemnie zapewniał, że moje nazwisko na pewno zostanie dopisane. Więc spokojnie czekam, kiedy moje nazwisko pojawi się obok wandalii niszczących żydowskie groby. A potem może proces...

Jak przyjąłś wiadomość, że Ty, córka gen. Wojciecha Jaruzelskiego, zostałeś zaliczona do „skrajnej prawicy”?

Najpierw, oczywiście, ze zdziwieniem. A potem... No cóż, poważnie mówiąc, przysłała smutna konstatacja, jak ze szczytnych celów robi się szczyty idiotyzmu. „Faszysta” – bardzo mocne słowo, mające konkretne historyczne znaczenie, a tu używa się go wobec dziennikarki tylko dlatego, że zaprosiła na wywiad posła, który, powiedzmy, nie jest entuzjastą „ustawy 447”. Trudno o większą dewaluację pojęć. Przyszło mi też do głowy, po tym jak YouTube usunął mi wywiad z Tobą, żeby założyć własną księgę... Jeszcze nie wiem, jakiego koloru, może „szkarłatną księgę”, od szkarłatnej litery, i zacząć spisywać tych wszystkich inkwizytorów „cancel culture”. Nie tylko

**różne rzeczy, których nie wolno mówić, Ty „nie reago-
wałeś”, a powinnaś...**

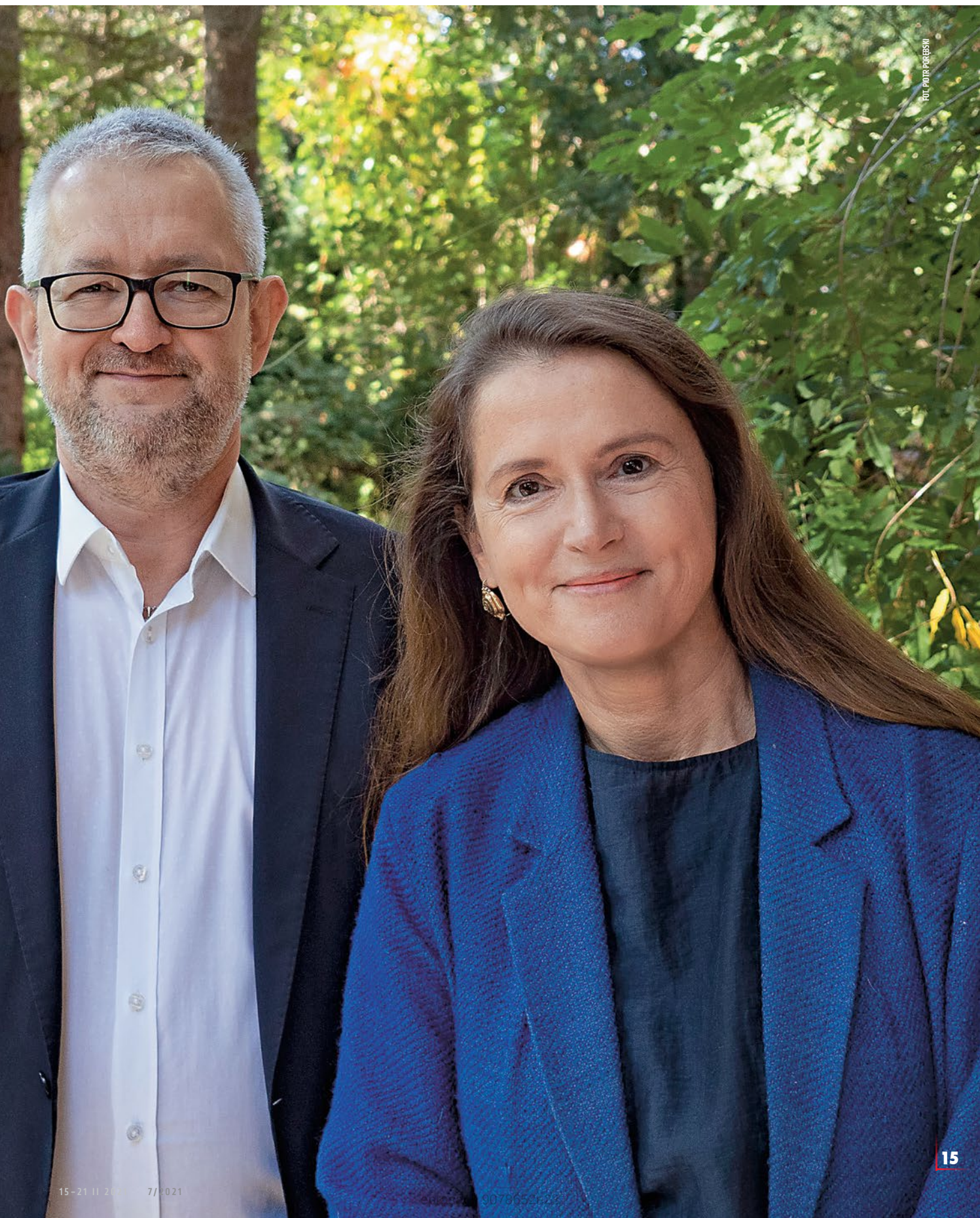
Co więcej – że „przytakiwałam”. Skinięcie głową podczas rozmowy to znak, że słuchamy tego, co ktoś do nas mówi, oraz że rozumiemy treść jego wypowiedzi. Nie oznacza to zgody ani aprobaty. Głową kiwałam, nawet kiedy mój gość wyrażał się negatywnie o moim ojcu. Nie muszę Cię przekonywać, że to również nie było skwapliwe przytakiwanie. Nawiasem mówiąc, akurat te rozmowy, które stały się powodem ogłoszenia mnie faszystką przez Stowarzyszenie „Nigdy Więcej”, nie były przez YouTube blokowane ani demonetyzowane. Natomiast taki los spotkał na przykład rozmowy z Hartmanem czy Lwem-Starowiczem, Lisickim i Michalikiem.

Hartman faszystą?!

Okazało się, że na YouTube nie wolno używać takich słów jak na przykład „pedofilia”. Nikt przecież nie chwalił pedofilii, wystarczyło wspomnieć, że ona istnieje... ■



MONIKA JARUZELSKA STAŁA SIĘ PRAWICOWA?



FOT. AGATA PIŁCZAK

Pamiętam, że nasza rozmowa, która została po dwóch miesiącach nagle usunięta, potem przywrócona, a potem znowu usunięta, też była wyjątkowo grzeczna w porównaniu z poprzednią, do której zastrzeżeń nie było i która nadal jest dostępna.

Na razie...

Jest coś takiego, co nazywam zgubnym wpływem Moniki Olejnik – wywiad stał się czymś zupełnie innym niż kiedyś. W klasycznym dziennikarstwie miał pokazać, zaprezentować widzowi, kim jest gość, co myśli i tak dalej...

A dziś służy chwałę tego, kto wywiad przeprowadza.

Myślę, że więcej – ma wskazać widzowi, co powinien myśleć o zaproszonym i jego poglądach, dlatego właśnie wspominam Olejnik z tymi jej minami, prychnaniem czy ciągłym przerywaniem rozmówcy. Ty robisz ze swoim gośćmi normalne, we właściwym tego słowa sensie, wywiady i okazuje się, że to faszyzm, bo „nie zareagowałaś”...

Znam Monikę i ją lubię. No, ale co mam powiedzieć? Większość telewizyjnych rozmów wygląda podobnie. Masz rację, studia telewizyjne zamieniają się w ring bokserki zarówno z prawej strony, jak i z lewej.

To była pochwała. Wiktor Suworow mówił, że największa umiejętność, nie tylko dla szpiega, bo w ogóle najprzydatniejsza, to umiejętność słuchania. Pozwól człowiekowi mówić i słuchaj go – jeśli on zobaczy, że jest słuchany, to powie wszystko. Nie sądzę, żebyś przechodziła takie przeszkolenie jak on...

Jeszcze mi tylko takiego skojarzenia brakowało... Uczyłam się na psychoterapeutę, a to obecnie chyba jedyne miejsce, gdzie panuje odmienne podejście od dominującego. Generalnie żyjemy dziś w kulturze, w której wszyscy chcą mówić, a nikt nie chce słuchać. Wydawane są i stają się bestsellerami poradniki „jak mówić, żeby nas słuchano”, a o poradnikach, jak słuchać innych, jakoś cicho. Zawsze lubiałam słuchać i właśnie stąd te ciągoty do psychoterapii. Mnie po prostu zawsze inni ludzie interesowali bardziej niż ja sama. Wiem, co myślę, a interesujące jest, co myślą inni i dlaczego robią to, co robią...

Dlatego zapraszasz głównie takich gości, którzy się zupełnie z potocznym wyobrażeniem o Tobie nie kojarzą?

Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że zderzenie mojego nazwiska z nazwiskami takimi jak, powiedzmy, Braun czy Michalkiewicz, daje efekt pewnej perwersji, który przyciąga widza. Przecież byli moimi gośćmi i Leszek Miller, i gen. Dukaczewski,

i Andrzej Rozenek, i inne osoby z lewej strony.

Tylko że te rozmowy mają wyraźnie mniejszą oglądalność.

To już ode mnie nie zależy. Początkowo nie miałam wyraźnej wizji, dla kogo właściwie robię te wywiady. Wyobrażałam sobie je bardziej jako rozmowy psychologiczne właśnie, z czasem wyszła z tego formuła poświęcona sprawom politycznym, społecznym, filozoficznym...

Może goście z lewicy po prostu mają mniej do powiedzenia?

Na to ci nie odpowiem. Zresztą nie ma jednej lewicy. Jest jeszcze ta lewica z czasów Millera, Oleksego czy Łybackiej, z którymi było mi bardziej po drodze. SLD był dla mnie, w pewnym sensie, partią tacie-rzystą, pełną rozsądnych „dziadersów”. A nowa lewica jest dość afektowana. Przemawia czasem z emfazą nastolatki i często się oburza. Na mnie też, bo zauważyłam, że coming outy podczas „tęczowych piątek” mogą nieść ze sobą przykre konsekwencje, że idea w praktyce może mieć odwrotny skutek. Poza tym mówiłam, że nie podoba mi się sformułowanie „aborcja na życzenie”.

A psychologicznie – jest zauważalna różnica między gośćmi z lewicy a prawicy?

Raczej podobieństwa idą w poprzek tego podziału. Można je zauważyć między ludźmi o radykalnych poglądach i pomiędzy tymi, którzy są bardziej umiarkowani i skłonni do refleksji, z jednej i drugiej strony. Czyli to raczej kwestia charakterów niż polityki. Widzę też oczywiście, jak narasta polaryzacja, uskrąjanie się w poglądach – choć mam nadzieję, że w moim programie jest tego mniej. Takie było moje założenie, że nie tylko będę zapraszać ludzi z różnych zupełnie środowisk, lecz także dawać im coś, co jest dzisiaj bodaj najbardziej deficytowe: czas na wypowiedzenie się, tyle, ile go będą potrzebować. Nie przerywają tego bloki reklamowe, nie musimy zejść z anteny o wyznaczonej porze...

Znam tylko jeszcze jedno takie miejsce: „Rozmowy niedokończone” w Radiu Maryja. To też trochę perwersyjne porównanie...

Ale – tak. Jeśli gość ma coś do powiedzenia, to niech mówi. Jeśli wystarczy tego na więcej niż godzinę, to możemy rozmawiać dwie.

Tylko że u Ciebie trafiają się goście z obu zwalczających się politycznych plemion. Masz więc

rzadką możliwość zaobserwowania nie tylko różnych i podobieństw, lecz także tego, czy jest coś, co może ich połączyć... Widzisz coś takiego?

Dobre pytanie... Pamiętasz, jak w liceum uczono nas o „prawie konwergencji”? [Monika Jaruzelska i Rafał A. Ziemkiewicz chodzili do tego samego liceum – XLIV LO w Warszawie – przyp. red.].

Idea ówczesnej zachodniej lewicy – że demokracja wiedzie ku socjalizmowi, a socjalizm się demokratyzuje, więc finalnie różnice między obozem sowieckim a światem zachodnim zanikną.

Widzę takie osoby jak Tomasz P. Terlikowski, który z pozycji bardzo radykalnych przeszedł stopniowo na bardziej otwarte. Możliwe, że będzie coraz więcej takich ludzi, dostrzegających, że dochodzimy do ściany, że z tego nic nie wynika, zmęczy ich ten ciągle narastający radykalizm i zaczną się z niego wycofywać. Ale może to złudne nadzieje? Miałam taki moment, kiedy jako gwiazda sezonu ogórkowego pojawił się „Margot”. Starłam się to zrozumieć, bo nigdy wcześniej się z tą osobą nie zetknęłam, i byłam przekonana, że teraz to już doszliśmy do ściany, wszyscy muszą zobaczyć, że to jakiś żart, absurd po prostu, więc odbijemy się od tej ściany i zaczniemy normalnie... A okazało się, że poważne osoby, naprawdę poważne, jacyś profesorowie, księża, są gotowe się w ciemno popierać, podpisywać się, bez żadnej próby weryfikacji, kto to właściwie jest i co naprawdę robi. Czyli ideologia, to, że się nienawidzi PiS – bo w sumie o to w tym wszystkich chodzi, a nie o jakieś konkretne poglądy – przeorała wszystko. I to pomimo doświadczenia z Mateuszem Kijowskim, którego tak samo przecież obdarzono w ciemno ogromnym zaufaniem. Też nie mogłam się temu nadziwić. Mam znajomą, która bardzo ucierpiała z tego powodu, że ojciec jej dzieci nie płacił alimentów, choć ma pieniądze, tylko woli je przeznaczać na własne potrzeby. Gdy rozmawialiśmy o Kijowskim i powiedziała jej, że nie potrafię zaufać człowiekowi, który nie chcełożyć na własne dzieci, w jej oczach natychmiast pojawiła się autentyczna wściekłość: „No, widocznie nie ma!!!”.

Fachowo nazywamy to „wyparciem”.

Wyparcie, zaprzeczenie, racjonalizacja, ale przede wszystkim plemienne widzenie świata takim, jakim chce się go widzieć. Dzięki temu unikamy dysonansu poznawczego.

To co może być taką ścianą, do której byśmy musieli dojść, żeby się opamiętać?

Może ta ściana istnieje tylko w mojej wyobraźni? Na razie każdy wstrząs, każda tragedia, nawet największa, nawet czyjaś śmierć, podlega totemizacji i służy tylko wzmacnianiu plemiennych emocji.

Artykuły w „Polityce” i „Press”, które tu cytowa-
liśmy, mają właściwie jednobrzmiący ton: Jaruzelska
zaczęła nieopatrznie rozmawiać z tymi strasznymi
prawicowcami i patrzeć – wpadła w to brunatne
środowisko, zupełnie się od niego uzależniła, to
teraz jej publiczność! „Tak się i z wami, dziateczki,
stać może” – straszą. Kto się wyłamuje z bojkotu
PiS-owców, kto z nimi zaczyna rozmawiać, ten sam się
stanie PiS-owcem!

Nie, nie czuję się dziś bardziej prawi-
cowa niż rok temu. Ani bardziej lewicowa.
W ogóle nie zauważam, żebym się zmieniła.
Mam to swoje szczególne doświadczenie
młodości, kiedy, w tym wieku, człowiek
ma największe tendencje, by widzieć świat
czarno-biało, jak musiałam jakoś połączyć
różne światy, w których żyłam. Z jednej
strony świat mojego ojca, którego bardzo
kochałam i któremu ufałam, świat tych
moich „wujków” generałów i chłopaków
z ochrony, którzy po prostu szczerze niena-
widzili „solidaruchów” i dawali temu wyraz
dość ekspresywnie. A z drugiej strony moje
przyjaźnie to były w większości przyjaźnie
z dziećmi z opozycyjnych domów, środo-
wisko w szkole i na studiach było „anty”.
Dla nich moje rodzinne środowisko to były
wstrętne „komuchy”. Nawet mój chłopak
nosił w kłapie opornik i działał w NZS.
I ja, żeby te dwa światy jakoś zintegrować,
musiałam przyjąć taką postawę, żeby nie
oceniać, nie angażować się emocjonalnie,
ale starać się wszystko zrozumieć i lubić
ludzi za to, jacy są, a nie za poglądy.

**Ludzie utożsamiają się z plemieniem, bo roztopie-
nie się w nim daje im poczucie bezpieczeństwa, a Ty
taką postawą im to bezpieczeństwo zaburzasz. Jesteś
Jaruzelską, córką Jaruzelskiego, więc powinnaś być
tam, gdzie inne dzieci ludzi z tamtej ekipy...**

Zdarzało mi się słyszeć od znajomych:
Ja w ogóle nie powinnam z tobą rozmawiać
po tym, co zrobiłaś! Jak można zaprosić
„kogoś takiego”, i jeszcze w ogóle nie
oponowałaś, on mógł tam u ciebie mówić,
co chciał... Nie prowadzę bujnego życia to-
warzyskiego, ale jeśli już, to moi znajomi są
w zdecydowanej większości zwolennikami
PO, więc takich sytuacji było sporo.

Jeśli jest to jakaś pociecha, to ja też słyszałem,
może raczej od czytelników niż znajomych, że to
zdrada, odsyłałem te twoje książki, więcej do ręki nie
wezmę... Ale też – żona świadkiem – zdarzało się, że

**podchodzili w lokalu czy na ulicy ludzie z deklaracja-
mi: „Zawsze pana nie lubiłem, ale po tej rozmowie
u Jaruzelskiej zmieniłem zdanie”.**

Mówimy dziś „mój obóz”, „twój obóz”...
Kiedy umarł mój ojciec, stało się dokład-
nie to, czego się bałam: zrobiono ze mnie
nowe logo stanu wojennego. Skończyła
się możliwość bycia z boku, chowania się
w świecie mody. Zresztą, jeszcze gdy byłam
jego częścią, chciałam pomóc Magdzie
Prokopowicz, wspinałej dziewczynie
z Fundacji „Rak and Roll”, w bardzo pięknej
akcji pomocy kobietom dotkniętym
chorobą nowotworową. Mniejsza o szcze-
gół, w każdym razie powstał film, bardzo
wzruszający, gdzie ja odgrywałam napraw-
dę marginalną rolę, mówiłam może przez
minutę, dwie. No i zaczęło się – komentarze
pod filmem pełne były obelg: ty czerwone
nasienie, a gdzie się pchasz, a stan wojenny,
a „Wujek”... W ogóle nie obchodziły ludzi
te kobiety, zbiórka, cała akcja. No i to był
pierwszy sygnał, że ja się po prostu nie
dam rady schować w żadnym bezpiecznym
świecie z tym swoim nazwiskiem. A potem
przyszedł taki moment... Mniej więcej
właśnie po śmierci ojca. Ja do pewnego
momentu często byłam zapraszana do TVN,
do takiej ich telewizji śniadaniowej. Jako
pani od mody, jako singielka, jako samotna
matka, autorka książek – i właśnie w 2016 r.
wydałam kolejną książkę, dowiedziałam się
od wydawcy, że chcą ją zapromować. Siedzę
już gotowa do wejścia, a na żółtym pasku:
„Monika Jaruzelska – życie w cieniu ojca”.
I taka była cała rozmowa – nagle ci sami lu-
dzie, z którymi jestem po imieniu, znamy się
od lat, u których wielokrotnie byłam jako
normalny gość, ekspert, książkę wydałam
zupełnie niezwiązaną z polityką, o psycho-
logii – a oni nic, tylko o stanie wojennym
i o stanie wojennym. No i rozumiałam: za-
brakło im w przestrzeni publicznej Jaruzel-
skiego, no to mnie wstawia w jego miejsce,
czy chcę, czy nie. Natura nie znosi próżni...
To szczególnie mocne stało się po śmierci
mamy, kiedy radny Ozdoba rzucił oskar-
żenia, że mój ojciec ukradł dom... Mam
wszystkie papiery, pokazałam wszystko
od razu – nikt, poza Tobą, nie chciał o tym
napisać. Bo dla jednych córka Jaruzelskiego
nie może mieć racji, a dla drugich dobrze jej
tak, nie chce być z nami, to nie będziemy jej
bronić dopóty, dopóki nie zmądrzeje.

**Może trzeba było przyjąć wyznaczoną rolę? Nie
byłabyś „niczyja”, przynajmniej w jednej połowie
Polski lansowano by cię na ikonę stylu. Mam takie
doświadczenie z grupką pociotków Józefa Mackie-
wicza. Nic nigdy nie zrobili, by bronić jego dobrego**

**imienia, by promować pamięć o nim, ale ilekroć
„Wyborcza” chce zaatakować kapitułę nagrody jego
imienia, natychmiast się znajdują z jakimiś okoliczno-
ściowym listem: „Ja jako synowiec ciętaczego kuzyna
protestuję, bo Józef Mackiewicz nie życzyłby sobie
przyznawania takiej nagrody antysemitom i fasz-
ystom”... I dzięki temu już mają swoje miejsce.**

W pewnym sensie poczułam się
zobowiązana, by wejść do polityki, kiedy
pojawiała się „ustawa degradacyjna”. Ale
i tu wcale nie ze względu na ojca. On chciał
mieć napisane na grobie tylko „żołnierz”,
i tak ma, i to, czy będzie nazywany gene-
rałem, czy nie, jego miejsca w historii nie
zmieni. Chodziło o to, że politycy sięgnęli
po wojsko, i nie tylko to stare wojsko – bo
jak raz się na coś podobnego pozwoli, to
potem, powiedzmy, przyjdzie Platforma
i zdegradowe kogoś, bo przed laty trzymał
parasol nad Misiewiczem. Bronię tego
wojska z czasów ojca, ale bronie i tego,
które tworzy PiS, bo wojsko ma być poza
polityką, ma służyć ku chwale ojczyzny,
a nie politykom, którzy są w danym
momencie u władzy. Dlatego zbliżyłam się
z SLD, z tym SLD jeszcze „postjaruzelskim”.
Ale to nie jest powód, żebym akceptowała
wszystko, co dzisiaj on głosi, bo jak jesteś
Jaruzelska, to musisz być na lewicy, a jak
jesteś na lewicy, to musisz się zachwycać
panem „Margot” i aborcją ma życzenie.
Nie. I tu jest problem z Jaruzelską. Że nigdy
nie wyparła się swojego ojca, ale wcale
nie twierdzi, że we wszystkim miał rację,
i w ogóle ma swoje własne poglądy.

**Samo Twoje pojawienie się w SLD wywołało
panikę. Zwłaszcza chyba przestraszyło Włodzimierza
Czarastego. Prawdopodobnie pomyślał: jak ona,
z tym nazwiskiem, tylko słowo powie do aparatu, to
po mnie...**

Nie przesadzaj. Pan przewodniczący
jednym palcem łamie nogę uzbrojonemu
policjantowi. Ale masz rację, chciał mnie
wystawić aż do Radomia.

**A potem wyciął Cię z list wyborczych. Co tu
gadać, po gangstersku.**

Rachunki krzywd już dawno wyrów-
nane, więc to zamknięty rozdział. Zresztą
w Sejmie pewno nasze drogi szybko by się
rozeszły.

Będziesz jeszcze kandydować?

Gdy Tadeusz Cymański był gościem
mojego programu, powiedział o mnie:
„Przez swoich wzgardzona, dla nas obca”.
To prawda, jestem niczyja. Dla polityka to
trudna sytuacja, ale dla niezależnego dzien-
nikarza – wymarzona. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kamila Baranowska

Z jednej strony coraz ostrzejsza wojna Solidarnej Polski z premierem. Z drugiej strony awantura i rozłam w szeregach Porozumienia. Zjednoczona Prawica zjednoczona jest chyba tylko z nazwy

To, co w ostatnich dniach dzieje się w Porozumieniu, partii Jarosława Gowina, przypomina dobry serial komediowy, w którym akcja jest wartka, zwroty akcji częste, główni bohaterowie przerzucają się obelgami i oskarżają o całe zło świata. Generalnie jest dość zabawnie, a momentami z komedii robi się nawet kabaret.

Jednak jeśli spojrzymy szerzej, wówczas okazuje się, że ten spór jest dużo poważniejszy, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. A finał tej historii jest trudny do przewidzenia, co sprawia, że tym chętniej śledzi się kolejne odcinki.

Początek konfliktu sięga kwietnia i przygotowań do wyborów prezydenckich, które pierwotnie miały się odbyć w maju. Temu pomysłowi ostro sprzeciwił się Jarosław Gowin, stawiając sprawę i przyszłość koalicji rządzącej na ostrzu noża. Do tego stopnia, że Jarosław Kaczyński mu ustąpił. I dobrze to sobie zapamiętał, nigdy zbyt nie ufał Gowinowi, ale po tamtej sytuacji nie ufa mu już wcale.

Wtedy też nastąpił głęboki podział w samym Porozumieniu. Część polityków nie chciała przekładać wyborów, inni stanęli po stronie Gowina.

Od tamtej pory emocje w partii burowały, próbowano je łagodzić, w miarę normalnie współpracować w ramach partii, ale konflikt cały czas był podskórnie wyczuwalny. Wiadomo było, że kiedyś wybuchnie. I wybuchł.

Obecny spór toczy się na dwóch płaszczyznach: politycznej i formalno-prawnej. Ta pierwsza jest ciekawsza, ale ta druga jest równie istotna dla dalszego przebiegu zdarzeń i ściśle z tą pierwszą powiązana.

DWUWŁADZA I OSKARŻENIA

Jesienią ubiegłego roku, gdy Porozumienie dostało w ramach umowy koali-



cyjnej możliwość powołania ministra bez teki w KPRM, na zarządzie partii głosowano nad dwiema kandydaturami: Stanisława Bukowca popieranego przez Gowina i Michała Cieślaka wspieranego przez jego wewnątrzpartyjnych przeciwników. Głosowanie było tajne i ku zaskoczeniu wszystkich, a najbardziej samego Gowina, wygrał je Cieślak. I został ministrem. Gowin, widząc, że zaczyna tracić kontrolę nad partią, postanowił działać i chwilę później rozszerzył skład zarządu o swoich zwolenników, by uniknąć podobnych historii w przyszłości. Skończyło się sądem koleżeńskim i formalnymi przepychankami, w wyniku których przeciwnicy Gowina, wertując partyjne dokumenty, odkryli, że Gowinowi trzy

lata temu upłynęła kadencja prezesa. Doszli więc do wniosku, że w świetle statutu partii pełniącym obowiązki prezesa powinien zostać teraz przewodniczący Konwencji Krajowej Porozumienia Adam Bielan, i taki wniosek chcieli zgłosić. Nie zdążyli, bo wcześniej zarząd zawiesił Bielana. O tym, na jakim poziomie była tam wzajemna nieufność, najlepiej świadczy chyba fakt, że od razu po zawieszeniu Bielana w siedzibie partii wymieniono zamki. Tak na wszelki wypadek.

Kilka dni przed zawieszeniem Bielana Gowin, podczas spotkania z ważnym politykiem koalicji rządzącej, miał powiedzieć, że do końca tygodnia będzie miał porządek i spokój w partii. On i jego ludzie liczyli na to, że po zawieszeniu



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Gowina o chęć zdrady i rozbicia koalicji Zjednoczonej Prawicy już w kwietniu. Wtedy Gowin miał prowadzić tajne rozmowy z opozycją o tym, jak odsunąć PiS od władzy. W tym scenariuszu Gowin miał być rozważany jako kandydat na premiera lub marszałka Sejmu.

– Posłom Porozumienia proponowano miejsca na listach PSL, rozmów opozycji z Jarosławem Gowinem na temat tworzenia rządu technicznego było więcej, odsyłałem do Włodzimierza Czarzastego – mówił Bielan w Polsat News. A jego stronnik Kamil Bortniczuk tłumaczył w wywiadach, że ambicje Gowina to główna oś sporu między członkami Porozumienia. – Różnica polega na tym, że mamy bardzo różne podejście do tego, jaką drogą Jarosław Gowin powinien dążyć do tego, żeby zostać premierem. Czy to jest droga zdrady i różnego rodzaju politycznych układanek, czy to jest droga budowania silnej partii i wygrania wyborów parlamentarnych – mówił w RMF FM.

ZDRADY I MARZENIA O PREMIEROSTWIE

O co chodzi? W kwietniu Gowin miał całkiem poważnie sondować możliwość zerwania koalicji z PiS i przejścia na stronę opozycji. Kalkulował, po pierwsze, że rządu Zjednoczonej Prawicy chyłą się ku upadkowi, i ze względu na zmęczenie materiału, i ze względu na pandemię oraz jej skutki gospodarcze. Po drugie, pojawili się wokół niego ludzie, którzy zaczęli go przekonywać, że jeśli rzeczywiście ma aspiracje, by zostać w przyszłości premierem, to u boku Jarosława Kaczyńskiego nigdy nie będzie miał szansy na ich realizację. I im szybciej zacznie współpracę z opozycją, tym lepiej. Rozmowy były zaawansowane i dotyczyły najpierw stanowiska marszałka Sejmu. Gowin zapewniał, że ma po swojej stronie większość partii, co było nie do końca prawdą. Okazało się, że nie wszyscy parlamentarzyści Porozumienia, którzy sprzeciwiali się majowym wyborom, są automatycznie gotowi na odejście z koalicji i dogadanie się z opozycją. Gowin się zwyczajnie przeliczył. Od tamtej pory w partii zapanowała atmosfera nieufności. Gowin „kwietniowymi zdrajcami” nazywał tych, którzy nie stanęli za nim murem w sprawie zablokowania wyborów w maju, a ci, którzy wtedy go nie poparli, za zdradę uznawali rozmowy na temat pozbawienia PiS władzy z opozycją. Obie strony wzajemnie zarzucają też

Bielan i związani z nim ludzie po prostu odejdą i za jakiś czas wyładują w PiS. Wyšlo zupełnie inaczej. Bielan się wściekł i nie odpuszcza. Ogłosił się p.o. prezesem, powołał własnego rzecznika prasowego i nowy zarząd. W Porozumieniu zapanowała dwuwładza.

– Gowinowi wydawało się, że to będzie blitzkrieg, tymczasem wygląda to bardziej na pierwszą wojnę światową i czeka nas siedzenie w okopach – mówi nam jeden z polityków Porozumienia.

Spór z dnia na dzień przybiera coraz ostrzejszą formę. Zwłaszcza w warstwie retorycznej. – W partiach politycznych nie ma miejsca na uzurpatorów, nie można się ogłosić prezesem bez głosowania. Jarosław Gowin ostatni raz był wybrany

w kwietniu 2015 r. na prezesa, a kadencja prezesa trwa trzy lata. W kwietniu 2021 r. miną trzy lata, od kiedy formalnie Jarosław Gowin nie jest prezesem partii – mówił Bielan Polskiej Agencji Prasowej.

– Jest piątek i Adam Bielan może obalać, co chce. Ale Jarosława Gowina nie obali – odpowiadał w TVN24 wice-rzecznik partii Jan Strzeżek zapytany o to, czy Bielan obalił Gowina. – Mogliby napisać uchwałę, że Adam Bielan mianuje się imperatorem galaktycznym. Ale to nie będzie miało nic wspólnego z prawdą – dodał.

Za ostrą retoryką idą także ostre oskarżenia i to jest właśnie ta ciekawsza, polityczna odłona tego konfliktu. Bielan i jego zwolennicy oskarżają Jarosława

■ sobie celową eskalację konfliktu. Zdaniem Bielana i jego ludzi Gowin od dawna miał w głowie plan oczyszczenia partii z „niepewnego elementu”, odzyskania jej sterowności i pójścia do centrum, gdzie czekają na niego Szymon Hołownia i PSL. – Sęk w tym, że każdy, kto jest w polityce, wie, iż na końcu takiej układanki czeka Gowina koalicja z Lewicą, z jej postulatami liberalizacji prawa aborcyjnego i innych radykalizmów. Dlatego Gowin może się rozczarować, że pójdzie za nim mniej osób, niż się tego spodziewa – mówi nasz rozmówca z Porozumienia.

– Jarek rozmawia z opozycją i ma tam swoje kontakty. Zawsze tłumaczył nam, że to dlatego, by mieć lepszą pozycję przetargową w negocjacjach z Kaczyńskim. Nie wszyscy mu uwierzyli, część uznała, że po prostu gra na dwa fronty i szykuje sobie lądowanie po drugiej stronie – opowiada nam jeden z polityków Porozumienia. Opozycja zresztą świetnie to wyczuła i dziś apeluje już całkiem otwarcie do Gowina, by porzucił PiS i „ocalił twarz”, jak to ujął Szymon Hołownia.

Pod adresem Gowina padł także zarzut największego kalibru, czyli oskarżenie go o knucie z samym Donaldem Tuskiem. – Te plotki są tak samo wiarygodne jak Adam Bielan, czyli zerowo – odpowiedział Jan Strzeżek, stronnik Gowina. Dodał, że ostatnie spotkanie Gowina z Tuskiem odbyło się w 2013 r., gdy Tusk informował Gowina o dymisji z funkcji ministra sprawiedliwości w rządzie PO-PSL. Już po tym dementi portal wPolityce.pl doniósł, że Gowin spotkał się z byłym premierem w ciągu ostatnich kilkunastu dni w zamkniętym dla gości stołecznym hotelu Warszawa. Poza tym spotkaniem mieli także kilkakrotnie rozmawiać w ostatnich tygodniach telefonicznie. Gowin na Twitterze odpowiedział, że „prawnicy już pracują nad pozwem”.

Gowinowcy w oskarżeniach Bielana i jego ludzi nie pozostają dłużni. Zarzucają mu to samo, co on zarzuca Gowinowi, czyli chęć rozbicia koalicji rządzącej. – Przed Adamem Białanem stoją teraz nowe wyzwania. Po tym, jak zdradził Jarosława Kaczyńskiego i Jarosława Gowina, musi znaleźć sobie trzeciego Jarosława do zdradzenia – komentował Strzeżek. – Marszałek Terlecki, PiS i Solidarna Polska mogą być spokojni, Adam Bielan drugi raz nie odsunie prawicy od władzy – wytykał innym razem.

Co ciekawe, w ofensywie medialnej przeciwko Gowinowi najaktywniejsi są Bielan i Kamil Bortniczuk, tymczasem po drugiej stronie prym wiedzie Jan Strzeżek, zastępca Gowina, i Magdalena Sroka, nieuznawana przez Bielana i jego sympatyków rzeczniczka partii. Sam zainteresowany, czyli Gowin, przez wiele dni w ogóle nie zabierał głosu w mediach. Namówił za to 12 parlamentarzystów Porozumienia do podpisania oświadczenia, w którym uznają go za szefa partii i okazują mu swoje wsparcie, „nie godząc się na próby destabilizowania partii przez pojedynczych jej członków”. Chwilę później wystosował też list do członków Porozumienia, w którym pisał, że „partia jest przedmiotem brutalnego i cynicznego ataku”, i pytał wprost, czyje zlecenie wykonują ci, którzy ją atakują.

Część gowinistów jest bowiem przekonana, że próba destabilizacji partii to pomysł Jarosława Kaczyńskiego, którego wykonawcą jest Bielan.

Pomimo tego to właśnie Kaczyńskiego Gowin widzi dziś jako tego, który mógłby pomóc mu zażegnać partyjny kryzys. Gdyby bowiem Kaczyński stwierdził, że traktuje Gowina jak prezesa, Bielan musiałby się wycofać. Kaczyński zgodził się zorganizować spotkanie i wysłuchać argumentów zarówno Gowina, jak i Bielana. Gowin w ostatniej chwili swój udział w spotkaniu jednak odwołał, obawiając się zapewne, że obrazki w mediach z tej wizyty nadszarpną jego wizerunek. Odwołał jednocześnie swoją obecność na zaplanowanej Radzie Koalicyjnej.

ZAWIESZENIE W PRÓŻNI

Jarosław Kaczyński na razie nie zamierza przeszkadzać w wojence w Porozumieniu, czekając na dalszy rozwój wydarzeń.

– Jasne, że PiS na całej awanturze będzie chciał coś ugrać dla siebie. To jak na sprawie rozwodowej. Jeśli dwie strony nie potrafią się dogadać i potrzebują prawników w roli rozjemców, to wiadomo, że ci adwokaci nie pracują za darmo i część majątku będzie trzeba poświęcić w ramach kosztów procesu – obrazowo tłumaczy nam jeden z polityków Porozumienia.

Kaczyńskiemu zależy przede wszystkim na trwaniu koalicji i to jest jego główna bolączka. Z tego zaś świetnie zdaje sobie sprawę Gowin i co zamierza wykorzystywać, co widać było doskona-

le choćby przy okazji protestu mediów w sprawie projektu ustawy, nakładającej na nie podatek od przychodów reklamowych. Gowin od razu wydał oświadczenie, że pomysł nie był z nim konsultowany. W odpowiedzi Bielan oznajmił, że to nieprawda, bo konsultacje były. – Jarosław Gowin będzie wykorzystywał każdą okazję, by wbić szpilę własnemu rządowi i by huśtać łódką. Polityka appeasementu wobec tego polityka przynosi tego rodzaju żniwo – dodał jeszcze w tym kontekście. Pytanie, jak długo taką politykę Kaczyński będzie prowadził. Z naszych informacji wynika, że PiS nie wyklucza możliwości ewentualnego odejścia Gowina. Liczy jednak, że odeszłoby z nim znacznie mniej posłów, niż podpisało się pod listem w jego obronę. – Politycy Porozumienia są beneficjentami naszej obecności w koalicji i obecności Gowina w rządzie. Gowin poza rządem i koalicją rządzącą nie jest już tak atrakcyjnym liderem, zwłaszcza dryfując w kierunku opozycji – wskazuje nasz rozmówca.

Na razie jednak bardziej prawdopodobne są inne scenariusze. Bardzo możliwe, że formalnie sprawę tego, kto jest pełnoprawnym prezesem Porozumienia, rozstrzygnie dopiero sąd, co potrwa pewnie kilka miesięcy. W tym czasie Gowin i całe Porozumienie będą zawieszane w próżni, z dwoma prezesami i chaosem formalnoprawnym. Możliwe jest także, że partia po prostu podzieli się na dwa osobne ugrupowania, pod całkiem innymi szyldami, z dwoma różnymi prezesami. Pytanie zasadnicze dotyczy jednak tego, kto obejmie strukturę, siedzibę i wszystko, co zostanie po Porozumieniu, a kto będzie musiał zaczynać budowę partii od zera. I od nowa negocjować z Kaczyńskim obecność w koalicji. Kaczyński liczy na to, że będzie to Gowin, który osłabiony i pozbawiony dawnej partii będzie skazany na trwanie u boku PiS. O to gra dziś także Bielan.

– Pewnie dojdzie w końcu do podziału na dwie osobne partie. PKW w 2019 r. zakwestionowała sprawozdanie finansowe Porozumienia za poprzedni rok, ale w myśl nowych przepisów, przy podziale partii i nawet nowym szyldzie, nie grozi tak jak kiedyś utrata subwencji. Dramatu więc nie będzie – ocenia nasz rozmówca.

Dramatu może i nie, ale komplikacji całkiem sporo. Dla Zjednoczonej Prawicy to nie są dobre informacje.



Urszula Hofman



Konrad Płochocki

Ekologiczne i energooszczędne rozwiązania dominowały dotąd przede wszystkim w sektorze biurowym. W projektach mieszkaniowych stosowane były nieliczne, głównie przez inwestorów indywidualnych, którym zależało na tym, aby wprowadzić oszczędności do domowego budżetu. Obecnie zielone budownictwo cieszy się coraz większym zainteresowaniem, a deweloperzy zaczynają testować rozwiązania przyjazne środowisku również w inwestycjach na większą skalę

23 listopada 2020 r. Europejska Agencja Środowiska opublikowała raport pt. „Jakość powietrza w Europie – 2020”, w którym alarmuje, że Polska znajduje się w niechlubnym rankingu krajów UE, w których zanieczyszczenie powietrza jest największe. Ponadto w Polsce odnotowuje się coraz większą liczbę zgonów z powodu smogu. Tymczasem w Europie ten trend jest odwrotny.

ANTYSMOGOWY PRZEWODNIK

W niełatwą walkę ze smogiem aktywne zaangażowała się branża deweloperska, ale zacznijmy od początku. Skąd czerpać inspiracje do budowy i wdrażania ekologicznych rozwiązań, czy są one opłacalne i które z nich są najlepsze? Na te pytania odpowiedzi znalazł Polski Związek Firm Deweloperskich – we współpracy z naukowcami, urbanistami i miejskimi aktywistami opracował „Ekoprzewodnik dla deweloperów”. Chociaż niektóre rozwiązania proponowane przez twórców przewodnika są radykalne, to jak twierdzą – niezbędne, żeby przeciwstawić się zmianom klimatu. Jednocześnie finansowo

do udźwignięcia przez deweloperów bez konieczności dodatkowego podnoszenia cen mieszkań.

BETONEM W SMOG

Gdy znamy już drogę do bardziej ekologicznych miast, czas sprawdzić, jak ich implementacja wygląda w praktyce. Na rynku pojawiły się już pierwsze certyfikowane osiedla, w których postawiono duży nacisk na proekologiczne systemy. Deweloperzy dostrzegli, że ten kierunek w dłuższej perspektywie może okazać się bardzo opłacalny – zarówno finansowo, jak i wizerunkowo. Jednym z rozwiązań, które zyskuje na popularności, jest antysmogowy beton. Jego zdolności fotokatalityczne sprawiają, że dzięki promieniom słonecznym dochodzi na jego powierzchni do redukcji szkodliwych związków pochodzących ze spalin samochodowych, które szczególnie negatywnie wpływają na układ oddechowy. Związki te rozkładane są na neutralne dla zdrowia i wraz z wodą deszczową odprowadzane do gleby. Dodatkowym atutem takiego betonu są właściwości samooczyszczające, antybakteryjne i antygrzybicze.

PIERWSZY ANTYSMOGOWY AKADEMIK

Po antysmogowym chodniku i biurowcu czas na budownictwo apartamentowe. Przykładem takiej inwestycji będzie Studio Bystra, czyli nowoczesny akademik składający się z 427 lokali z pasażem usługowo-handlowym, który powstanie na warszawskim Targówku. Jest to wspólna inwestycja spółek z konsorcjum Grupy Incest: spółki deweloperskiej – HM Inwest S.A. oraz spółki produkującej w fabryce w Sochaczewie prefabrykację – HM Factory. W obiekcie Studio Bystra zamontowanych zostanie ok. 6 tys. m kw. ścian zewnętrznych wykonanych w technologii prefabrykacji z gotową izolacją i elewacją z betonu antysmogowego, która będzie stale oczyszczać powietrze. Beton antysmogowy produkowany jest w fabryce HM Factory w Sochaczewie, w oparciu o własną technologię antysmogową, certyfikowaną w laboratorium Italcementi w Bergamo.

Zastosowanie nowoczesnej prefabrykacji HM Factory pozwala obniżyć emisyjność dwutlenku węgla nawet o 20 proc., co w przeliczeniu na produkcję fabryki da ok. 65 ton mniej CO₂ wyemitowanego do atmosfery w skali roku. Dla porównania jest to tyle, ile rocznie pochłania ok. 15 ha lasu.

GDY JUŻ POCHŁONIEMY SMOG

Budynek zeroenergetyczny, który produkuje więcej zielonej energii, niż potrzebuje, czy budynek pochłaniający więcej dwutlenku węgla z otoczenia, niż sam produkuje. Brzmi jak odległa przyszłość? Pierwszy z nich już istnieje, a drugi wkrótce powstanie. Powerhouse Brattørkaia, bo o nim mowa, powstał w norweskim Trondheim i produkuje dwa razy więcej prądu, niż sam zużywa, dzięki czemu może zasilać znajdujące się w okolicy budynki. Drugi natomiast będący wciąż w sferze planów to nowojorski wieżowiec Mandragore, który dzięki 36 turbinom wiatrowym, 1600 drzewom, 24 500 m kw. ścian roślinnych i 7 tys. m kw. ścian fotowoltaicznych ma pochłaniać więcej dwutlenku węgla z otoczenia, niż sam produkuje.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD



Z Radosławem Foglem, posłem i zastępcą rzecznika prasowego Prawa i Sprawiedliwości rozmawia Ryszard Gromadzki

Prawica w erze Twittera

RYSZARD GROMADZKI: W demonstracjach Strajku Kobiet, szczególnie w ich pierwszej odsłonie, bezpośrednio po ogłoszeniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego o niezgodności z konstytucją aborcji eugenicznej, dominowała młodzież. Czy to oznacza, że obecna młoda generacja Polaków jest stracona dla PiS?

RADOSŁAW FOGEL: Nie ma kategorii wyborców straconych. Gdybyśmy wyszli z takiego założenia, to nasza działalność polityczna miałaby ograniczony sens. Na zjawisko, o którym pan mówi, trzeba patrzeć z różnych perspektyw. Należy wziąć pod uwagę kontekst socjologiczny, ale również epidemiczny. Oczywiście poglądy najmłodszej grupy wyborców i ich podejście do wartości

zmieniają się. Pamiętam, gdy kilka lat temu opublikowano badania wskazujące, że młodzi ludzie mają w większości poglądy prawicowe. Ich wyniki były wówczas z entuzjazmem komentowane przez media konserwatywne, natomiast z przerażeniem przez te liberalno-lewicowe. Dzisiaj na rynek polityczny wchodzi kolejne pokolenie, wiele wskazuje na to, że o bardziej lewicowym nastawieniu. To może się wiązać z bardzo powszechną wśród młodych ludzi osmozą poglądów czy przekonań z krajów zachodnich. Wielu polskich nastolatków śledziło wydarzenia w Stanach Zjednoczonych, protesty ruchu Black Lives Matter. Dzisiaj jest

dużo więcej kanałów transmisji, takim punktem odniesienia jest chociażby TikTok. Przed rokiem 2015 było mniej mediów społecznościowych, z których nastolatki mogłyby czerpać „inspiracje”, na przykład tzw. nastoletni Twitter to zjawisko ostatnich lat. Młodzi ludzie przenoszą niekiedy problemy innych społeczeństw na polski grunt w proporcji 1 do 1, chociaż nie zawsze to jest właściwe. To przywilej młodości. Nie ma co się na to oburzać czy temu dziwić. Trzeba przyjąć rzeczywistość taką, jaka ona jest, i pracować nad jej zmianą. Jest też wiedza powszechną nie od dziś, że wraz z upływem lat poglądy polityczne się zmieniają, często w stronę bardziej prawicowo-konserwatywnych.

Abstrahując od socjologicznych prawidłowości... Czy problem nie leży w przekazie formułowanym przez PiS? Wykonujecie gesty w rodzaju „piątki dla zwierząt” odwołujące się do modnych wśród najmłodszych wyborców tematów ekologicznych, a ci podczas demonstracji feministek i w mediach społecznościowych rewanżują się hasłem „Je... PiS”. Czy umizgi w stronę lewicy nie były chyba nie?

Nie nazwałbym tego umizgiwaniem się do lewicy. Oczywiście kwestie ekologiczne wielu osobom mogą się kojarzyć z lewicą, ale tak naprawdę nie są do niej przypisane. Podobnie jest z patriotyzmem, który przecież nie jest zarezerwowany dla prawicy, mamy w Polsce tradycję patriotycznej lewicy. To, że tak jest kojarzony, to efekt tego, że środowiska prawicowe go kultywują, a współczesna lewica czuje wobec niego awersję i „odłożyła go na półkę”. Jeśli chodzi o kwestie ekologiczne, szacunek do zasobów przyrody, które odziedziczyliśmy po naszych przodkach. Nie należą one z gruntu do lewicy i powinny wrócić do agendy prawicy na przynależne im miejsce. Moim zdaniem konserwatyzm ekologiczny, konserwatyzm przyrodniczy to element myśli konserwatywnej jako takiej. A wracając do antypisowskiego przekazu młodzieży, trzeba zwrócić uwagę na to, kto go formułuje. Hasła, które pan cytował, są niekiedy bezwiednie powtarzane przez nastolatków.

Generację Netflix...

Generację Netflix, ale też generację od roku zamkniętą w domu. Te demonstracje były dla niej swoistym karnawałem – w sensie antropologicznym, czasem, gdy zawieszono jest obowiązywanie reguł – do tego takim,

który można obudować czymś w rodzaju poczucia misji. Wyjść, spotkać się ze znajomymi i poskakać przy dźwiękach muzyki, bo tak to często wyglądało. Dać ujście frustracji, którą wywołują konieczne przecież obostrzenia. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc o uwarunkowaniach pandemicznych. Jeśli chodzi o samo trafiać do młodego elektoratu, to oczywiście są dwie strony tego medalu. Jedna to merytoryczne i realne działania, jak zwolnienie z podatku osób do 26. roku życia. Naprawdę namacalne efekty gospodarczo-finansowe. Z drugiej strony to są te segmenty wyborców, którym zawsze najłatwiej i najchętniej jest utożsamiać się z opozycją. Wspieranie ugrupowania rządzącego jest passé, kiedy ma się 20 lat. To też musimy brać pod uwagę i oczywiście to są wyzwania, które przed nami stoją. Chcemy jako partia rządząca pokazywać, że to my gwarantujemy w Polsce stabilność, gwarantujemy tym młodym ludziom przyszłość. Wielu z nich nie pamięta sytuacji, nie ma prawa pamiętać, kiedy całe roczniki wyjeżdżały za granicę. To moi rówieśnicy po liceum czy po studiach wyjeżdżali masowo za chlebem. To dla moich rówieśników już

w połowie studiów największą troską było to, czy uda się po nich znaleźć jakąkolwiek pracę. Dzisiaj to raczej pracownik dyktuje warunki na rynku pracy. Może dla niektórych jest to już tak oczywiste, że wręcz niezauważalne, ale my musimy uświadamiać, że to Prawo i Sprawiedliwość jest tą partią, która to zapewnia i która może odpowiadać na rosnące aspiracje Polaków.

Jak odebrał pan wyrok i uzasadnienie Trybunału Konstytucyjnego uznające niezgodność z konstytucją przesłanki eugenicznej aborcji? Pytam o to również dlatego, że w Zjednoczonej Prawicy nie brakuje polityków, którzy nie ukrywają, że byli za utrzymaniem tzw. kompromisu aborcyjnego z 1993 r.

Dwojako. Jedna kwestia ma charakter państwowo-prawny, czyli sam wyrok. Druga, to jak do niego podchodzimy. Nigdy nie ukrywałem, że ceniłem sobie kompromis wypracowany w tej sprawie. Pamiętam wojny polityczne w latach 90. dotyczące aborcji, dlatego doceniałem wartość porozumienia zapewniającego społeczny spokój. Chociaż rozumiem stanowisko tych, którzy kierują się w tej sprawie innym rozumowaniem. Ale to

jest w tym przypadku niejako kwestia wtórna. Dyskusję o tym, jakie powinno być prawo aborcyjne w Polsce, można zawsze prowadzić, ale dziś mamy wyrok Trybunału Konstytucyjnego poruszającego się w granicach obowiązującej konstytucji i to obowiązującej nie od dziś, nie od wczoraj, ale od ponad 20 lat. W związku z tym negowanie tego wyroku czy odmowa przyjęcia go do wiadomości – niezależnie od tego, czy komuś jest z tym wyrokiem po drodze, czy nie – jest mało poważne. Większość dotychczasowych składów Trybunału Konstytucyjnego prawdopodobnie orzekłaby w ten sam sposób, bo obecna konstytucja nie daje tu możliwości manewru.

Część opozycji chce referendum w sprawie aborcji. Referenda to właściwy instrument, żeby decydować o sprawach życia i śmierci?

To jest odwieczny problem demokracji. Rzeczywiście z jednej strony pojawia się postulat referendum, z drugiej strony część osób o konserwatywnych poglądach używa argumentu, że o takich sprawach nie powinno się decydować w referendum. Strona lewicowo-radykalna również jest przeciw ■

REKLAMA

Gdy całe ciało boli

Gdy cierpimy na przewlekłe, rozlane bóle całego ciała, których przyczyny nie potrafimy ustalić, to należy rozważyć, czy nie jest to fibromialgia, choroba, która występuje coraz częściej i na którą cierpi w Polsce ponad półtora miliona osób.



Ból w fibromialgii bywa bardzo dotkliwy, jest przewlekły, rozlany, zesztywniający. Chorzy mają wrażenie, że boli całe ciało, a w parze z bólem idzie pogorszenie samopoczucia psychicznego, uczucie przewlekłego zmęczenia i rozmaite dolegliwości psychofizyczne. Fibromialgia, mimo że charakteryzuje się znaczącą bolesnością, to przebiega bez stanu zapalnego.

Leczenie fibromialgii jest złożone i obejmuje: farmakoterapię (leki podnoszące poziom serotoniny i kwasu GABA*, leki antydepresyjne, leki zmniejszające napięcie mięśni), psychoterapię (najczęściej poznawczo-behawioralną) oraz edukację na temat przebiegu choroby i zasad jej leczenia, fizjoterapię (różne zabiegi fizyczne i własna aktywność fizyczna).

Postępowanie dietetyczne w fibromialgii polega na unikaniu pokarmów, które sprzyjają tworzeniu związków chemicznych promujących odczuwanie bólu oraz stosowaniu odpowiednich suplementów diety, np. Myalganu, który został opracowany na Uniwersytecie Kalifornii w Irvine specjalnie dla chorych cierpiących na fibromialgię. Ta naturalna formuła dostarcza składniki, które wspomagają wytwarzanie serotoniny, melatoniny i kwasu GABA oraz pobudzają zdolność organizmu do skutecznego uśmierzania objawów fibromialgii.

*Serotonina i GABA, czyli kwas gamma-aminomasłowy, to ważne neuroprzekazniki, które odpowiadają m.in. za nastrój, zmniejszenie pobudliwości, rozluźnienie mięśni oraz zasypianie.

Myalgan+
do postępowania dietetycznego
w fibromialgii



**w nowej niższej cenie, sprawdź
w swojej aptece!**

Phytomedica Polska, tel: 22 651 75 40, info@phyto-medica.pl, <http://myalgan.pl>, <http://fibromyalgia.info.pl>

referendum, tworząc dość ekwilibrystyczną konstrukcję, w ramach której najpierw zalicza aborcję do katalogu praw człowieka i następnie dowodzi, że o prawach człowieka nie powinno się decydować w referendum. Jednak mam wrażenie, że ta niechęć do referendum po stronie lewicy wynika z obawy, że radykalne hasła głoszone przez panie ze „Strajku Kobiet” nie zostaną poparte przez większość społeczeństwa. Dodajmy do tego nową jakość na scenie politycznej czy raczej tzw. nową jakość, czyli Szymona Hołownię, który kiedyś jeździł z wykładami po kościołach i nauczał, że aborcja jest grzechem. Dziś Hołownia przekonuje, że prywatnie poglądów nie zmienił, ale publicznie jako twórca Ruchu Polska 2050 jest za aborcją. Jak rozumiem, Szymon Hołownia musiałby rozpisać referendum, żeby zdecydować, jakie właściwie sam ma poglądy w tej sprawie. Postulat referendum jest w tej chwili moim zdaniem raczej sposobem prowadzenia debaty niż realną propozycją.

Czy spór wokół aborcji może zdominować polską politykę w perspektywie kolejnych wyborów w 2023 r.?

Od dłuższego czasu obserwujemy wyraźny skręt Platformy Obywatelskiej czy też Klubu Parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej w stronę pozycji zajmowanych przez lewicę. Jest to dość silna frakcja. Są też głosy frakcji konserwatywnej, która – prawdę mówiąc – nie wiem, co jeszcze robi w Platformie. Zobaczymy, jak się to potoczy. Czy ta sprawa zdominuje najbliższy maraton wyborczy, począwszy od wyborów 2023 r.? To nie jest wykluczone. Kwestie światopoglądowe są bardzo ważne, one w sposób bardzo jasny dzielą wyborców. Mam jednak nadzieję, że będziemy już wtedy po globalnym kryzysie związanym z koronawirusem. Będziemy decydować o kierunkach rozwoju, więc tematy gospodarcze mogą być równie ważne. Polska polityka lubi też karmić się jednodniowymi sensacjami. Kto dziś pamięta „wielki kryzys mięsny” z marca 2020 r. z początku lockdownu, kiedy to opozycja i część mediów wieszczły apokalipsę i klęskę głodową, bo klienci w związku z problemami w dostawach przez jeden dzień nie mogli kupić mięsa? To miał być moment graniczny dla władzy PiS, a dziś już nikt o tym nie pamięta. Ale ten aspekt także trze-

ba brać pod uwagę. Czasami kwestie drugoplanowe urastają u nas do spraw rangi życia i śmierci.

Adam Michnik powiedział ostatnio, że odsunięcie Prawa i Sprawiedliwości od władzy w oparciu o kartkę wyborczą jest coraz mniej prawdopodobne. Czy ta diagnoza Michnika może oznaczać, że opozycja postawi na jeszcze bardziej konfrontacyjny kurs?

Odczytuję tę opinię Adama Michnika, znanego demokrata, jako przyznanie faktu, że działania Prawa i Sprawiedliwości znajdują szeroką aprobatę obywateli. Rozumiem, że Michnik konstatuje, że przy takim poparciu, jakim cieszy się PiS, odsunięcie naszej formacji od władzy przy użyciu kartki wyborczej będzie niemożliwe. Oczywiście nie możemy pozwolić, żeby to nas uspiło, bo tenże Adam Michnik wspominał już kiedyś o niemożności przegrania wyborów przez Bronisława Komorowskiego i zakonnicę na pasach. Wiadomo, czym się to skończyło. Jeśli jego wypowiedź miałaby sugerować działania inne niż konfrontacja wyborcza, to mielibyśmy do czynienia z tym, co sam Michnik nazywa pełzającym zamachem stanu. Nie sądzę, żeby tak szczerzy demokratą jak Adam Michnik coś takiego sugerował.

Czy obecny konflikt w Porozumieniu może zagrozić jednoci Zjednoczonej Prawicy i skutkować utratą sejmowej większości?

Mam głęboką nadzieję, że nie. Najważniejsze jest, że wszystkie strony owego sporu deklarują wolę realizacji programu Zjednoczonej Prawicy i doceniają pozytywną rolę, jaką ZP odgrywa w polskiej polityce. Liczymy, że nasi koalicyjni koledzy rozstrzygną tę kwestię wewnętrznie, w duchu kompromisu. Jako Prawo i Sprawiedliwość zdajemy sobie oczywiście sprawę, że toczy się w Porozumieniu pewien spór formalny, nie jest jednak naszą rolą przyjmowanie pozycji sędziego.

Czy PiS jest nadal partią tożsamościową, której rdzeniem są wartości chrześcijańskie? Czy dla polityków pana generacji, którzy w przyszłości przejmą stery w partii, odniesienie do chrześcijańskiej tożsamości jest istotne?

Co do przejęcia sterów, to myślę, że jeszcze nie tak szybko... Mam nadzieję, że nie tak szybko to nastąpi. Ale oczywiście, że jest, mówi o tym w wywiadach prezes Jarosław Kaczyński. Nigdy nie będzie naszej zgody na negowanie pewnych

aksjomatów, fundamentów tożsamości naszej cywilizacji. Ostatnia rzecz, której ktokolwiek w PiS by chciał, to stanie się bezideową partią władzy. Przed taką pokusą sami musimy siebie chronić. Myślę, że na razie idzie nam to dobrze, bo nie kapitulujemy w sytuacji konfliktu pragmatyzmu z wartościami. Wartości zawsze są na pierwszym miejscu. To może brzmieć jak banał, ale jest on wart przypomnienia.

Scenariusz związany z „wypraniem tożsamości”, czego doświadczyła większość formacji konserwatywnych w Europie Zachodniej, nie grozi polskiej prawicy?

Myślę, że nam to nie grozi. To jest kwestia zachowania pewnej równowagi. Z jednej strony mamy działania modernizacyjne, które są konieczne, których jesteśmy wielkimi zwolennikami. Chcemy, żeby Polacy się bogacili, żeby Polska stała się krajem coraz nowocześniejszym, chcemy zajmować należne nam miejsce na arenie międzynarodowej. Z drugiej strony wiemy, że wiąże się to niekiedy z niebezpieczeństwem relatywizacji sfery wartości. Dlatego nie zamierzamy oddawać pola w kwestiach zasadniczych. Chcemy połączyć jedno i drugie. Polska powinna pozostać ostoją tradycyjnych wartości, wyspą wolności, ale jednocześnie musimy się bogacić i rozwijać, żeby nadrobić dystans, który pozostał nam do bogatych krajów Zachodu.

Głos „młodych wilków” przebijają się w PiS?

Nie wiem, czy określenie „młode wilki” jest tu najlepsze. Sugerowałoby grupę, która próbuje „wygryźć” sobie drogę do władzy.

Może nie od razu „wygryźć”. Po prostu młodych, ambitnych polityków, którzy mają swoje aspiracje...

Sądzę, że proces zmiany pokoleniowej, czy raczej pewnej naturalnej kooptacji, wzmocnienia przez nową generację przebiega w Prawie i Sprawiedliwości w sposób bardzo zdrowy, zrównoważony i racjonalny. Oczywiście głos polityków młodszych pokolenia jest słyszalny, choć to w polityce jest zawsze bardzo specyficzne, bo polityk „młodego pokolenia” zazwyczaj jest w okolicach czterdziestki (śmiech). Mamy możliwość przedstawiania swoich racji. Prawo i Sprawiedliwość jest partią demokratyczną, to u nas naprawdę działa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Tajemnica grobu
gen. Iwaszkiewicza
wyjaśniona!**

Eugeniusz C. Król – **Rasa i Lebensraum. Chory świat Führera**

Anna Herbach – **Zbrodnia w domu Hitlera**

Tomasz Stańczyk – **Okultystyczne fascynacje nazistów**

Marek Gałęzowski – **Bohater AK w kleszczach UB**

Dariusz Tołczyk – **Moralny upadek pożytecznych idiotów**

Piotr Semka – **Wyznania goryla Honeckera**

Mikołaj Iwanow – **Szlacheckie korzenie Dzierżyńskiego**

Sławomir Cenckiewicz – **Giertych i Studnicki**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. MARCIN M. WIERZCZAK/REPORTER

Kościół w pandemii



Tomasz Rowiński

Dzisiaj każdy katolik w jakimś aspekcie swojego życia stoi na placówce obrony wiary. Realizacja lub zaniechanie realizacji wyzwań będą miały swoje konsekwencje

Jeszcze nie wiemy, co się stanie z życiem religijnym w Polsce po pandemii. Może się kiedyś okazać, że rok 2020, a z nim i rok bieżący będą czasem głębokiego tąpnięcia statystyk uczestnictwa w życiu religijnym. Być może jednak to tylko krótkoterminowe wrażenie tych, którzy są bezpośrednimi uczestnikami zdarzeń. We Francji od lat 40. istniała w Kościele wielka obawa, że oto już się kończy francuskie chrześcijaństwo, że Kościół nie radzi sobie z ciśnieniem laicyzacji. Po latach okazało się, że były to tylko lęki, a tąpnięcie miało miejsce – w całej powojennej historii Kościoła – tylko jeden raz, w roku 1965.

Oczywiście istniała też główna tendencja osłabiania się społeczności katolickiej w tym kraju.

Wspomniane tąpnięcie, jak pisze socjolog Guillaume Cuchet w wydanej niedawno książce „Comment notre monde a cessé d’être chrétien. Anatomie d’un effondrement” (Seuil 2020), było pokłosiem wielu lat budowania alarmistycznej atmosfery, która uformowała zupełnie nowe pokolenie księży i wiernych. Ci nowi katolicy żyli w przekonaniu, że jedynie duch misyjny, polegający na nieustannej zmianie form i optymalizacji środków ewangelizacji, katechizacji, ale i zwykłego życia pobożnego może uratować Kościół. Stało się odwrotnie, duch aktywizacji, wzmożenia, reform przeciążył życie kościelne, które miało się znacznie lepiej, niż sądzili gorliwi w swojej nowoczesności duszpasterze. Dodajmy, że Cuchet ma na poparcie swoich tez naukowe dowody, autor nie jest publicystą, nie jest też katolickim tradycjonalistą, któremu by ta narracja pasowała.

SŁABNĄCA WIĘŻ

Także w polskim Kościele może powstać atmosfera alarmistyczna. Pandemii

towarzyszy napięcie polityczne, w które katolicy się angażują. Trwa także proces ujawniania i rozwiązywania problemu nadużyć seksualnych. Wielu katolików, duszpasterzy i świeckich może mieć poczucie, że znaleźli się w centrum kataklizmu. Na wiosnę doświadczyliśmy bardzo znaczących ograniczeń w dostępie do liturgii. Polscy biskupi starali się działać w sposób wyważony, czyli z jednej strony uniknąć całkowitego zamknięcia kościołów – jak działo się to w wielu krajach – a z drugiej jednak nie kwestionować zadań, jakie państwo realizuje w ramach swojej świeckiej autonomii. Jednak właśnie ten wyważony, ale siłą rzeczy ograniczony dynamizmem sytuacji sposób działania spowodował, że hierarchów krytykowano ze wszystkich stron. Zwolennicy wyższości przepisów sanitarnych nad wolnością religijną grzmieli o skrajnej nieodpowiedzialności w sytuacji, gdy uczestnictwo w mszach św. zostało ograniczone do pięciu osób. Z kolei wielu ludzi pobożnych zirytowanych presją sanitarną wywieraną na praktyki religijne – momentami znacznie większą niż ta, z którą spotykał się szczególnie na wiosnę handel – atakowało biskupów za uległość.

Szczególnie bolesny był realny lockdown nałożony na zeszlóroczne liturgie święta Zmartwychwstania Pańskiego, które kapłani odprawiali w samotności. My mogliśmy najwyżej śledzić je przez internetowe streamingi. Dzisiaj emocje te coraz słabiej pamiętamy, jednak wystarczy zerknąć do pisanych wtedy w mediach społecznościowych komentarzy czy artykułów publicystycznych, by je sobie odświeżyć. Jak będzie w tym roku? Zobaczymy. Wiemy, że odpowiedzialny za liturgię kard. Robert Sarah wydał specjalną instrukcję modyfikującą obrzęd Popielca. Formułę „Pamiętaj, że z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” ksiądz wypowie przy ołtarzu do wszystkich wiernych, a potem zaopatrzony w maseczkę, rękawiczki i środki do dezynfekcji posypie nasze głowy popiołem. Może to nieco dziwaczne, jednak czy nie warto znieść pewnej niedogodności, by dobra duchowe, które wynikają z życia liturgia, mogły zostać ocalone?

Determinacja Stolicy Apostolskiej, by zwykły tryb życia religijnego mógł się toczyć względnie normalnie także w sytuacjach niezwykle trudnych, jest całkowicie zrozumiała. Pandemia, ale i obecność polskiego Kościoła w centrum sporów cywilizacyjnych dotyczących naszego kraju, mobilizuje wielu katolików do większego zaangażowania religijnego. Tu i ówdzie można przeczytać o pojawianiu się kręgów wierzących, którzy ożywiali ruch modlitwy liturgią godzin, jak się to dzieje chociażby poprzez stronę adiutorium.pl. W czasie niemal całkowitego ograniczenia dostępu do kościołów osoby z tak różnych środowisk, tak jak teolog ks. prof. Grzegorz Strzelczyk czy dr Paweł Milcarek z kwartalnika „Christianitas”, przypominały o skodyfikowanej w czasach Soboru Trydenckiego praktyce Komunii duchowej. Z drugiej jednak strony mieliśmy znaczny zanik zwykłego życia liturgicznego, skutkujący łatwo usprawiedliwionym brakiem udziału w niedzielnej mszy św. Dla części wierzących był to dodatkowy czynnik osłabiający ich więź kościelną. Oczywiście dotyczy to zapewne głównie mniej zaangażowanych, mniej osobiście religijnych czy z jakichś innych względów zobojętniałych katolików, jednak i o takich Kościół musi się troszczyć.

UPRZYWILEJOWANIE KOMUNII NA RĘKĘ

Czy jednak i o zaangażowanych nie potrzeba czasem większej troski? Dość

dobrze pokazał to jeden z najgorętszych sporów czasów pandemii. Dotyczył on tego, czy przez konsekrowany komuni-kant można się zarazić wirusem. Wielu gorliwców przekonywało, że to jest rzecz nie do pomyślenia. Jednocześnie w swoim zapale zapominali o podstawowej nauce Kościoła, że hostia, która w swej istocie staje się Ciałem Chrystusa, nie zmienia swojej postaci. Skoro zaś postać pozostaje niezmienną, to znaczy, że dotyczą jej wszystkie procesy, które obowiązuja w świecie fizycznym. Nieprzypadkowo niezwykle rzadkie sytuacje, gdy hostia po interwencji Bożej zmieniała także swoją postać – np. na fragment mięśnia sercowego – określa się mianem cudów eucharystycznych. Można powiedzieć, że to jest dodatkowe nadprzyrodzone działanie o charakterze nadzwyczajnym. A Kościół nie może swojej zwyczajnej praktyki opierać na fałszywym rodzaju zaufania, że Bóg zawsze będzie obowiązywał w cudowny sposób ratował z braku rozsądku.

Nie sposób też pominąć trudnej kwestii komunii na rękę. Jest historycznym faktem, że współczesna formuła przyjmowania Ciała Pańskiego w Kościele katolickim na rękę stanowi rodzaj zalegalizowanego nieposłuszeństwa. Paweł VI zdecydował się na nie z obawy przed buntem niektórych europejskich episkopatów. Dodatkowo trzeba wskazać na odpowiedź Stolicy Apostolskiej z roku 2009, która rozstrzygała, że nawet w sytuacji epidemicznej Kościół nie może odmawiać wiernym prawa do przyjmowania komunii św. do ust i na kolanach, co pozostaje właściwą i najdogodniejszą postawą. Tu wskazania polskich biskupów i jeszcze bardziej praktyka wielu księży nie były najszcześniejsze. Uprzywilejowanie komunii na rękę czy nawet do niej nagminne namawianie na podstawie raczej wątpliwych argumentów sanitarnych było częste. Spowodowało to zrozumiałą i usprawiedliwioną reakcję wielu wiernych. Szybko jednak pojawiły się argumenty, że komunია na rękę jest „wewnętrznie zła”, że jest profanacją, co także nie jest prawdą. Jest obrzędem, który posiada tak wiele wad szczegółowych, że powinno się go po prostu unikać.

Biskup Adam Białabuch w Episkopacie odpowiedzialny za dyscyplinę sakramentów zwracał uwagę, że komunია św. na dłoń grozi nieposzanowaniem drobin Ciała Chrystusa. Może ona także desakra-

lizować świadomość wierzących, a także ułatwia zadanie tym, którzy świadomie dążą do jakiejś formy profanacji. Sytuację natychmiast wykorzystywali ci duchowni, którzy widzieli w pandemii szansę na przeprowadzenie w polskim Kościele małej rewolucji obyczajowej – przynajmniej w obszarze liturgii. Ataki na obrońców komunii św. do ust często wyrażane były bezpardonowo.

WYZWANIE PRZED KAŻDYM Z NAS

Powiedzmy także jeszcze o dobrych zjawiskach – mobilizacja ludzi Kościoła, by Internet stał się rzeczywiście protezą wspólnotowego życia religijnego, jest warta zauważenia. Oczywiście obejrzenie mszy św. w Internecie nie jest uczestnictwem i nie powinniśmy się do tej formy przyzwyczajać, ale jednocześnie wierzący nie zostali w osamotnieniu. Warte uwagi było wzruszenie proboszcza mojej parafii zamieszkania, który po pierwszych poważnych ograniczeniach dziękował wiernym za to, że spontaniczne przelewy na konto parafii zastąpiły tace. Czasem nieco gorzej w różnych miejscach wyglądał dostęp do sakramentów dla ludzi w trudnej sytuacji, np. ciężkiej choroby. „Wirtualny” Kościół wytworzył w części duchowieństwa poczucie, że teraz wszystko załatwia się „duchowo”, czyli na odległość. Z pewnością sakrament chorych czy być może ostatnia w życiu spowiedź dramatycznie domagają się obecności kapłana, nawet jeśli żal w obliczu śmierci głodzi grzechy.

Guillaume Cuchet w swojej książce pisze, że we Francji najgłębsza sekularyzacja nastąpiła tam, gdzie w roku 1791 posługiwało duchowieństwo skłonne do uległości wobec rewolucji. Jednocześnie trwała silnie tam, gdzie posługiwali księża rozłamowcy, odmawiający podpisywania aktów lojalności wobec rewolucji. Nasza sytuacja jest bardziej złożona, ponieważ na kwestie polityczne nakłada się chaos pandemii i chaos w samym Kościele.

Dzisiaj każdy katolik w jakimś aspekcie swojego życia stoi na placówce obrony wiary. To trudna sytuacja. Wzrasta potrzeba badania i rozumienia swojej wiary, wzrasta potrzeba gotowości do posłuszeństwa, wierności, ale i nonkonformizmu – we właściwym momencie i proporcjach. To wyzwanie stoi nie tylko przed Kościołem, lecz także przed każdym z nas, ponieważ jego realizacja lub zaniechanie będą miały konsekwencje dla przyszłości.

Wyzwanie trenerki



Agnieszka Niewińska

Zamknięte baseny i siłownie sprawiły, że jest nas więcej. Średnio każdemu z nas przybyły 2 kg. Z pomocą przychodzą popularne promotorki fitnessu. Wymyślają wyzwania, lansują chwytliwe hashtagi. Czy to działa?

Specjaliści nie mają złudzeń. Rok z pandemią sprawił, że przybyło nam kilogramów. – Dane z grudnia, jeszcze przed świętami, mówiły, że średnio ważymy 2 kg więcej niż przed pandemią. A w święta tyjemy też średnio

2 kg. W tym roku ze względu na zamknięte siłownie i baseny wielu osobom nie udało się ich zgubić przy okazji noworocznych postanowień. Jeśli ktoś i tak miał dodatkowe 2 kg do zrzucenia, to daje razem sześć, czyli całkiem sporą nadwagę – mówi dietetyk Ewa Ceborska-Scheiterbauer i dodaje, że kolejek w gabinetach dietetyków jeszcze nie widać. – Przychodzą przede wszystkim osoby chore, które bez względu na wszystko muszą zadbać o zdrową dietę i zgubić nadmiarowe kilogramy. Jeśli chodzi o pozostałych, to wielu z nich wciąż obawia się osobistych spotkań i odkłada wizytę w nadziei na poprawę sytuacji epidemiologicznej. Niektórzy pacjenci decydują się na wizyty on-line, ale te nie są tak motywujące jak spotkania twarzą w twarz.

Za motywowanie Polaków on-line wzięły się popularne trenerki. W sieci rzucają wyzwania. Przypominają o codzien-

nych zadaniach, oznaczając je hashtagiem i dodają licznik dni.

Z początkiem stycznia nową 30-dniową próbę pod nazwą „Fighter Challenge 2021” zaproponowała Anna Lewandowska (3,1 mln obserwujących na Instagramie). „Wyzwanie jest dla wszystkich: bez względu na wiek, stopień zaawansowania czy rodzaj wykonywanej pracy. Każdy się w nim odnajdzie. I obiecuję – wytrwa do samego końca” – zachęcała do udziału trenerka. Wystarczyło wykupić dostęp do jej aplikacji. Co kilka dni proponowała ogólnodostępny trening na żywo w swoich kanałach społecznościowych.

„JESTEŚ WYJĄTKOWA”

Inna słynna trenerka, Ewa Chodakowska (1,9 mln obserwujących na Instagramie), z nowym rokiem postawiła na 55-dniowe wyzwanie, któremu także dała nazwę w języku angielskim. „BODY and

wykonywać trzy razy w tygodniu. Były ćwiczenia – „spalacze tłuszczu”, zestaw „płaski brzuch i krągłe pośladki” czy „odchudzające turbo”.

Na portalach trenerek pod postami o wyzwaniach sypią się deklaracje tych, którzy je podejmują. Zachwalają treningi, proszą o dodatkowe wskazówki, dzielą się efektami.

Doktor Teresy Sikory, psycholog z Uniwersytetu Śląskiego, nie dziwi internetowe społeczności, które wyrastają wokół promoterek fitnessu i zdrowego odżywiania. – Nasze społeczeństwo się sekularyzuje, badania pokazują, że coraz mniej z nas wierzy w życie wieczne, a jednak wciąż szukamy sensu. Dowartościowując życie doczesne, stawiamy, tym samym, na cielesność. W dobie płytkich kontaktów międzyludzkich to ciało jest naszą wizytówką i ważnym źródłem informacji o nas. Jeśli dobrze wyglądamy, trzymamy linię, to manifestujemy, że jesteśmy zdrowi i szczęśliwi – mówi psycholog. I dodaje, że samorealizacja to credo współczesnego człowieka. – Poszukujemy i odkrywamy możliwości autokreacji, żyjemy w przekonaniu, że to my sami jesteśmy odpowiedzialni za kształt naszego życia. Nie ma już miejsca na wspólne idee: zostały one sprywatyzowane. W tej chwili możemy mówić o perspektywie, którą w skrócie określiłabym zapożyczeniem filmowym „Ave ja”.

Dlaczego jednak tak chętnie wchodzimy w internetowe wyzwania, chwalimy się uczestnictwem w nich przed znajomymi, wrzucamy do sieci zdjęcie porannej jajecznicy, by pokazać, że ściśle trzymamy się dietetycznego planu opublikowanego przez fitcelebrytkę?

– Wyzwania rzucane w sieci przez internetowe trenerki to odpowiedź właśnie na to credo współczesnego człowieka. Przy samorealizacji chcemy się bawić, rywalizować z innymi, chwalić się efektami. Nasza przemiana ma być szybka, łatwa i jednoznaczna. Wyzwania w rodzaju „przemiana w 30 dni”, „superbody challenge” doskonale się do tego nadają. Nie podajemy w wątpliwość tego, co mówią trenerki, uznając je za ekspertki – mistrzynię gry – przyjmujemy, że przy zastosowaniu się do ich porad efekt jest gwarantowany – mówi dr Sikora i nie dziwi się, że formy i zdrowia szukamy dziś, przesuując kciukiem po ekranie smartfona. – Psychologowie opisują już nawet „mentalność prawego kciuka”. Smartfon niczym nas nie zaskoczy. Chcemy podkre-

cić klimatyzację? Wystarczy odpowiednie kliknięcie w smartfonie. Potrzebujemy poprawić sobie nastrój? Przesuwamy kciukiem i wybieramy coś zabawnego do obejrzenia. Chcemy się zrelaksować? Wybieramy w telefonie odpowiednią muzykę. Tu nie ma miejsca na dwuznaczności. Tymczasem jeśli zamiast relaksu ze smartfonem wybierzemy się na spacer do lasu, to efekt może być inny, niż się spodziewaliśmy. Wystarczy, że spotkamy stado dzików, i zamiast doświadczyć spokoju i harmonii, najemy się strachu.

LEPSZY NORDIC WALKING I SANKI?

Czy internetowe wyzwania realizowane przed ekranem komputera czy smartfona to recepta na pandemiczną nadwagę?

Ewa Ceborska-Scheiterbauer potwierdza, że zdrowa dieta to za mało, jeśli chcemy zrzucić nadmiarowe kilogramy. – Zachęcamy pacjentów do ruchu. Aktywność fizyczną wpisujemy w kontrakt, który z nimi zawieramy. Z doświadczenia wiem jednak, że wyzwania aktywnych w sieci trenerek w rodzaju „Nowa Ty w 30 dni” na dłuższą metę nie działają. W domu trudno nam się zmotywować. Zwłaszcza teraz, kiedy pracujemy z domu, dzieci mają zdalną szkołę. Zawsze jest coś do zrobienia, więc trening odkładamy na później. W przypadku części osób szybko przychodzi zniechęcenie, bo takie treningi nie zawsze są dostosowane do potrzeb początkujących, ze znaczną otyłością, którzy z kanapy wstali czasem po bardzo długim okresie bez aktywności fizycznej. Bardziej skuteczne jest zobowiązanie się np. do regularnych spacerów, uprawiania nordic walking czy wychodzenia na sanki z dziećmi, które dają nam okazję do tego, by pobiegać – uważa dietetyk.

Przeglądam treningi jednego z internetowych wyzwań. Pierwszy odtworzyło ponad pół miliona osób. Ostatni już nieco ponad 100 tys. Trenerki jednak nie ustają w motywowaniu. Chętnie zamieszczają zdjęcia użytkowniczek swoich programów treningowych i diet. Ewuśka z Chodakowską odchudza się od kwietnia. Na wadze ma 54 kg mniej. Angelika podjęła 90-dniowe wyzwanie i chwali się utratą 7 kg. Anna Lewandowska przedstawia Paulinę, która ćwiczyć zaczęła w marcu 2020 r. Po niespełna roku waży 27 kg mniej. Metamorfoza Andrzeja to 25 kg mniej. Ogląda się świetnie. Ale jak tu samemu wstać z kanapy?

W styczniu nową 30-dniową próbę odchudzania pod nazwą „Fighter Challenge 2021” zaproponowała Polakom Anna Lewandowska

FOT. GRZEGORZ GAŁAŚIŃSKI/DZIENNIK ŁÓDZKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

MIND SelfLove/SelfCare”. „Zostaw lajka na znak obecności i napisz w komentarzu: Czy podejmujesz wyzwanie sama? Czy nominujesz/nominowałaś już kogoś? Jeśli tak, to kogo? Stwórz swój gang” – przekonywała w mediach społecznościowych Chodakowska. Trening i dietę można wykupić w jej serwisach. Trenerka udostępnia na swoich profilach przepisy, recepty na domowe spa i codzienne zadania. „SelfLOVE/CARE Dzień 26. Kochana... rozpoczynaj każdy dzień z przekonaniem, że JESTEŚ WYJĄTKOWA” – doradzała.

Trenerka Monika Kołakowska (271 tys. obserwujących na Instagramie), której treningi są bezpłatne i można je odnaleźć na YouTube (kanał subskrybuje 553 tys. internautów), po pandemicznych wyzwaniach oznaczonych hashtagiem #trenujwdomu zaproponowała noworoczną próbę „Nowa ja w 30 dni”. Darmowe treningi udostępnione w sieci trzeba było

Dzień przed rewolucją



Piotr Gociek

Bij bogatych, grab zagrabione – powieść i film „Biały Tygrys” podpalają świat. Zaczynając od Indii i wieszcząc kres dominacji białego człowieka

Na wieść o zbliżającej się wizycie przywódcy Chin, podczas której dostojny gość zamierza zaznajomić się z indyjskimi przedsiębiorcami, Balram Halwai zaczyna pisać do niego list o własnym życiu. Nie jest to zwyczajne życie, a Balram nie jest zwyczajnym przedsiębiorcą. Tak jak powieść Aravinda Adiga „Biały Tygrys” nie jest zwykłą książką o współczesnych Indiach. To znakomicie napisane sztylerstwo, błyskotliwy i bolesny atak na obyczaje kraju, w którym „garstka ludzi nauczyła pozostałe 99,9 procent – pod każdym względem równie silnych, równie utalentowanych, równie inteligentnych – egzystować w stanie permanentnej służebności”.

Balram urodził się sługą, przyszedł na świat we wsi, o której biedzie najlepiej świadczy to, że pożądaną i cenioną posadą w okolicy było stanowisko rozbijacza węgla na potrzeby miejscowej herbaciarni. W chwili, gdy go poznajemy, biedakiem już jednak nie jest. Został przedsiębiorcą. „Podobno wy, Chińczycy, przewyższacie nas pod każdym względem, ale nie macie przedsiębiorców” – pisze Balram do Wena Jiabao. „A nasz kraj – chociaż brak mu wody pitnej, elektryczności, kanalizacji, transportu publicznego, dbałości o higienę, dyscypliny, uprzejmości, punktualności – przedsiębiorców ma”.

Debiutancka powieść Aravinda Adiga jest historią społecznego awansu głównego bohatera, czarną komedią, w której z jednej strony słychać echa Dickensa, a z drugiej

majaczy cień „American Psycho”. Była jedną z literackich sensacji roku 2008 (m.in. nagroda Bookera), a film Ramina Bahranięgo na jej podstawie, który niedawno trafił na Netflix, niemal dorównuje literackiemu oryginałowi. Adiga i Bahrani studiowali razem na Columbia University i bardzo się wtedy zaprzyjaźnili. Reżyser miał okazję czytać pierwszą wersję „Białego Tygrysa” kilka lat przed premierą książki (była mu zresztą zadedykowana, gdy już ukazała się drukiem), a 15 lat później doczekał chwili, w której może zbierać zasłużone pochwały za ekranizację.

Bahrani urodził się w USA, w rodzinie irańskich imigrantów. W chwalonych przez krytykę filmach („Człowiek z wózkiem”, „Żegnaj, Solo” czy „99 Homes”) przyglądał się uważnie współczesnej Ameryce. Tym razem, obrawszy Adigę za przewodnika, zabrał się do odkręcania mitu stworzonego w filmie Danny’ego Boyle’a „Slumdog, milioner z ulicy”. W tamtej nagrodzonej ośmioma Oscarami opowieści Indie były dużo bardziej kolorowe, choć równie okrutne wobec tych, którzy nie mają nic. Trudne życiowe przejścia głównego bohatera wyposażyły go jednak w wiedzę, dzięki której wszystko skończyło się szczęśliwie. Bohater „Białego Tygrysa” uczy się czegoś zupełnie innego: jeśli chcesz do czegoś dojść, to musisz podpatrywać bogatych i bezlitosnych, a następnie okazać się od nich bardziej okrutnym i bardziej bezlitosnym. Bez żalu, bo na to zasłużyli.



Główną rolę w „Białym Tygrysie” zagrał Adarsh Gourav, hinduski aktor i piosenkarz przebijający się do świadomości zachodniego widza występami w serialach wyprodukowanych w Indiach dla Netflix („Leila”) i Amazona („Hostel Daze”). Jestem przekonany, że teraz posypią się dla niego także propozycje z Hollywood, bo film Bahranięgo swój sukces w dużym stopniu zawdzięcza właśnie Gouravowi. Musiał wiarygodnie pokazać Balrama w kilku wersjach: od niewykształconego wieśniaka przez ambitnego służącego bogatej rodziny, ofiarę odkrywającą głębię swojej krzywdy do mściciela i wreszcie niezależnego przedsiębiorcy. Hinduski aktor zrobił to perfekcyjnie.

WSZYSCY CHCIWI I PRZEKUPNI

„Biały Tygrys” jest wielowarstwową opowieścią o niesprawiedliwościach i nieprawościach. Pokazuje głęboką pogardę żywioną wobec niższych kast przez tych, którzy mieli szczęście urodzić się w kastach wyższych. Pokazuje prowincjonalny kapitalizm, który w istocie jest feudalizmem, lokalni bogacze wyzyskują lokalnych biedaków gorzej, niż kiedyś w Europie wyzyskiwano pańszczyźnianych chłopów. A kiedy ktoś się wychyli, może oczekiwać wizyty nieznanych sprawców, którzy po prostu zastrzelą niepokornych albo poderzną im gardła i psa z kulawą nogą to nie zainteresuje. Bogacze działający na większą skalę nie tylko łupią innych



Adarsh Gourav musiał wiarygodnie pokazać Balrama w kilku wersjach. I zrobił to perfekcyjnie. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

mieszkańców, lecz także pasożytują na państwie, sownie opłacając skorumpowaną policję i polityków.

Bogacz pan Ashoka, u którego kierowcą jest nasz bohater, słyszy od wizytującej go Wielkiej Socjalistki (w powieści był to mężczyzna, Wielki Socjalista): „Za darmo wydobywasz węgiel z państwowych kopalń. To się kręci, bo ja się na to godzę. Kiedy cię znalazłem, byłeś drobnym wsiowym właścicielem ziemskim. Sprowadziłem cię tutaj, zrobiłem, kim dziś jesteś, a ty mi się sprzeciwiasz. Jak Boga kocham, wrócisz na wieś. Kiedy mówię półtora, to, k... znaczy, że półtora... [milionu rupii łapówki – przyp. P.G.]”. To nie pojedynczy przypadek, to zorganizowany system, bo później obserwujemy wraz z ciekawskim Balramem, jak jego jaśniepaństwo torby z gotówką wożą i do rozmaitych urzędów, i ministrów.

Partia socjalistyczna, partia narodowa – nieważne, wszyscy są równie chciwi i przekupni. Transformacja ustrojowa, to znaczy budowanie kapitalizmu w wydaniu indyjskim, sprawia, że nasze narzekania na to, co dzieło się w Europie Środkowej i Europie Wschodniej, brzmią jak nieistotne utyskiwania sytych białych niewiedzących o tym, jak wyglądają prawdziwa bieda oraz zorganizowany z odpowiednim rozmachem system grabieży. „Gdybym to ja miał stworzyć państwo, najpierw bym zdobył rury kanalizacyjne” – kpi Balram. „Dopiero potem demokrację, a potem bym się wziął do rozdawania

broszurek i posążków Gandhiego. Ale co ja tam wiem?”. Oczywiście dostaje się też kolonizatorom. „Tylko trzy państwa nigdy nie pozwoliły na rządy obcych: Chiny, Afganistan i Abisynia. I tylko te trzy państwa podziwiam” – wyznaje Balram.

Ostra społeczna krytyka, wątki polityczne, czarny humor i głęboki sarkazm – tak, ale najważniejsze pytanie leżące w centrum tej opowieści brzmi inaczej: Czy bogaci to tacy sami ludzie jak my? Balram z początku traktuje swoich panów (tak wprost ich nazywa i twierdzi, że wierna służba jest jego największym marzeniem) niczym bóstwa. Potem daje się uwieść poczuciu fałszywego bezpieczeństwa: główny pan jest co prawda niemiły, ale młody pan zdaje się całkiem ludzki, a jego amerykańska żona – wręcz do rany przyłóż, prawdziwy anioł! Lubią Balrama! Cenią Balrama! Uczą go, jak myć zęby, podpowiadają, że warto się umyć od czasu do czasu, warto nawet zmienić koszulę na czystą! W chwili, gdy odkryje, ile warta jest ta przyjaźń i jaki los szykują mu „mili państwo”, będzie już za późno. Nadejdzie pora na wzięcie spraw w swoje ręce, nawet jeśli oznaczać to będzie gwałtowną śmierć zarówno winnych, jak i niewinnych.

Czy to bogactwo czyni ludzi bogatych potworami? A może odwrotnie, wzbogacili się właśnie dlatego, że nie mają sumienia?

Balram w chwili, kiedy sam stanie się człowiekiem zamożnym, będzie próbował zachowywać się inaczej, ale z całą pewnością nie można o nim powiedzieć, że ma czyste ręce. Czyżby cała wściekłość, cała gorycz, cała nienawiść „Białego Tygrysa” prowadziły tylko do oczywistej dość konstatacji, że lepiej być w miarę ludzkim panem niż panem całkowicie bez skrupułów? Balram, który sam jest ofiarą pogardy, żywi pogardę wobec swych rodaków, których porównuje do kurczaków w klatkach: nie buntują się, nawet widząc, jak rzeźnik tuż obok obcina im łby i ich patroszy. Ta wyuczona bezradność, potulność, zgoda na życie niewolnika to zdaniem bohatera powieści i filmu powód, dla którego Indie są tam, gdzie są.

OBRAZ NIERÓWNOŚCI

Żadna rewolucja (nawet jednoosobowa) nie byłaby jednak pełna bez wskazania lepszej przyszłości. Owszem, trzeba będzie wymierzyć sprawiedliwość hinduskiemu bogaczom, ale czekają już inne wyzwania: „Dziś, gdy biały człowiek, nasz dawny pan, sam się zniszczył swoimi zboczeniami, telefonami komórkowymi i narkotykami, przyszłość świata leży w rękach ludzi brązowych i żółtych” – pisze Balram do chińskiego przywódcy.

Obraz nierówności namalowany w „Białym Tygrysie” wzruszyłby Dickensa, ale angielski powieściopisarz nigdy nie wzywał do tego, by biedni wymordowali bogatych. Tymczasem dawne bolszewickie hasło: „Grab zagrabione” wybrzmiewa w powieści Adigi i filmie Bahraniego bardzo mocno. Możemy pocieszać się, że to tylko satyra, w dodatku z dalekiej i obcej nam krainy, ale przecież także w społeczeństwach Zachodu narasta przekonanie, że nie

żaden spór polityczny, tylko prosty podział na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych jest największym problemem współczesnego świata. Przekonanie, że kapitalizm, który miał przynieść równe szanse, przyniósł równą biedę (wszystkim, którzy nie należą do wąskiej grupy uprzywilejowanych), a demokracja, która miała być instrumentem korygowania nierówności, została przez uprzywilejowanych przechwycona i zamieniona w narzędzie utrzymywania status quo. Tyle tylko, że w świecie bez kapitalizmu i demokracji wygra czysta przemoc. Balram Halwai już to wie. I wskazuje drogę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Wolski

Przed laty Lenin stwierdził, że „kino jest najważniejszą ze sztuk”. I to jedno z niewielu twierdzeń tego kałmuka, które wytrzymało próbę czasu

Definicję Lenina należy tylko poszerzyć o telewizję, Internet i szeroko rozumiany sektor rozrywkowy. To tu rozstrzyga się przyszłość współczesnego świata, a także wynik cywilizacyjnego starcia między – mówiąc umownie – „prawem a lewem”.

Komunistom szło różnie. Z jednej strony ich propaganda była toporna, drętwa, a nade wszystko głupia. I udawała się jedynie w świecie pełnej izolacji. Jak bowiem miałyby spełnić swoje funkcje sztandarowy sowiecki film „My z Kronsztadu”, gdyby każdy widz mógł się dowiedzieć, że marynarze – wykonawcy szturm na Pałac Zimowy, kiedy tylko poznali dobrodziejstwa własnej rewolucji i zaczęli się buntować – zostali przez tę rewolucję wyróżnieni w pień?

Z drugiej strony, jeśli artyści biorący się za agitację robili to zbyt dobrze, efekt wychodził im zgola niezamierzony. Przydarzyło się to Wajdzie przy realizacji „Popiołu i diamentu”. Film stworzony na podstawie powieści Jerzego Andrzejewskiego z inspiracji Jakuba Bermana miał być kompromitacją antykomunistycznego oporu, sprzeciwiających się bezsensownie władzy ludowej, za sprawą postaci Maćka Chełmickiego zagranej przez Zbyszka Cybulskiego, stał się apologią właśnie tego „straconego pokolenia”.

Oczywiście bywały zamysły bardziej udane. Choćby „Stawka większa niż życie”, w sposób doskonały sprzedająca NKWD-zistę w hitlerowskim mundurze jako polskiego patriotę i geniusza dywersji.

NOWE NARZĘDZIE

Z czasem jednak „najważniejsza ze sztuk” zerwała się z łańcucha, zaczęła kasać rękę mecenasa. Komunistom nie udało się przemycić własnej narracji historycznej, wyłansować podrabianych bohaterów (Kostki Napierskiego, Karola Świerczewskiego), a nawet wyeliminować Kościoła. Co nie znaczy, że nie próbowano! Ślady tych prób można

znaleźć nawet w kreskówkach dla dzieci. Przekaz był czytelny – należało zożydzić ludzi starych, nośników tradycji, i zerwać ewentualną nić porozumienia między pokoleniami. Zwłaszcza w kreskówkach z NRD starzy ludzie to postacie wyłącznie negatywne. Podobnie kryminały miały wpajać właściwy obraz prywaciarza, z natury potencjalnego przestępcy.

Dziś zmutowany marksizm jest w swych poczynaniach o wiele inteli-

ogłądać na przyspieszonych obrotach nudniejsze sceny albo powtarzać smakowitsze momenty. Można też upajać się brakiem ogłupiających reklam. Na szczęście po okresie cielecego zachwyty przychodzi refleksja: Czemu naprawdę ma to służyć?

TA STRASZNA PRAWICA

Świat według Netflixa jest przestrzenią, w której zwyciężyła poprawność polityczna, wykreowany obraz ma



Świat według Netflixa

gentniejszy. Zdobył nowe narzędzie, jakim są telewizje internetowe – z Netflixem na czele – oferujące nieprzebrane, choć umiejętnie kształtowane, bogactwo produkcji filmowej, zwłaszcza serialowej.

Produkt jest tani, doskonale opakowany, do przyswojenia o dowolnej porze i w wymiarze uzależnionym od woli odbiorcy. Wykonanie waha się od perfekcyjnego do dostatecznego, chyba że za reżyserię bierze się latorośl pani Holland. Precyzyjna akcja, ciekawy temat, pełnokrwisti bohaterowie i zakończenie skonstruowane tak, by wręcz zmusić do oglądania następnego odcinka.

Jeśli ktoś traktuje tę produkcję jako gumę do oczu, atrakcyjny wypełniacz czasu – to wsiąka na dobre, uzależnia się, nieświadom politpoprawnych toksyn, które bezustannie sączone są do jego organizmu... W dodatku pilot w rękę pozwala

wymiar jednolicie postępowy, i raczej nie ma tam miejsca na inny kąt widzenia. Ludzie o prawicowych poglądach, jeśli się pojawiają, to przeważnie dewianci, przestępcy, fanatycy i bez wyjątku durnie. Ich racje są anachroniczne, a na pewno niezrozumiałe – Bóg przecież nie istnieje, a patriotyzm jest zagrożeniem...

Oglądałem ostatnio serial hiszpański opowiadający o zamachu terrorystycznym, zapowiadało się interesująco: realistyczne obrazy, brawurowy pościg za sprawcą... Tyle że wspólnota muzułmańska okazywała się niewinna (islam wszak to religia pokoju), a całość uknuły państwowe służby specjalne, aby dokonać zabójstwa jednego kapitalisty w interesie drugiego kapitalisty. Kuriozalna rzecz w kraju, w którym nie tak dawno – dzięki pokój miłującym muzułmanom – Madryt spłynął krwią! Ale taka optyka to norma. W większości filmów raczej

terrorystów są w znacznej mierze usprawiedliwiane, a głównym wrogiem bohaterów okazuje się (do wyboru): opresyjne państwo, jedna z jego struktur, najchętniej CIA, choć może być skorumpowana DEA, a w najlepszym razie – jakaś oligarchiczna grupa, działająca na własną rękę.

Dystopie pokazują straszne światy, w których wygrała prawica. Przepaja je strach, jaki lewactwo odczuwa przed konserwatystami. Oczywiście nikt się nie



FOT. ADRIAN STYLIK

zająknie, że wszystkie projekty totalitarne – komunizm, nazizm (w wersji soft ekologizm czy feminizm) – czerpały inspirację z lewicowych mrzonek, a każde ludobójstwo od rewolucji francuskiej do Mao i Pol Pota zaczynało się od „zabicia Boga”, podczas gdy prawica próbowała jedynie – czasem nieudolnie – konserwować świat taki, jaki był. Wyjątkowo pouczający jest tu serial „Opowieść podręcznej”, w którym świat chrześcijańskich fundamentalistów urządzony jest na modłę muzułmańskiego (bez, broń Boże, wymieniania muzułmanów).

Co do rzeczywistości, w większości filmów widać wysiłki twórców, żeby przedstawiać świat nie takim, jaki jest, ale takim, jaki powinien już być. Już wcześniej nawet w produkcjach kinowych zauważałem narastającą walkę ze stereotypami – coraz częściej występowali w nich Murzyn in-

telektualista, Żyd superodważny policjant i homoseksualista wzorzec moralny. Tylko Polak tradycyjnie nadal mógł być najwyższej sprzątaczem, taksówkarzem lub kryminalistą, a na pewno osobnikiem prymitywnym. Skądinąd trudno dziś znaleźć utwór bez wątku gejowsko-lesbijskiego. Tym wymogom poddała się nawet „Ania z Zielonego Wzgórza”, sama chwilowo jeszcze hetero, ale kto wie, jak będzie przy kolejnej ekranizacji. Zresztą stanowisko Akademii Filmowej jest tu jednoznaczne. Bez udziału mniejszości żadne dzieło nie ma szans na Oscara. Co gorsza, twórcy potraktowali te zalecenia dosłownie i obecnie sceny łóżkowych kotłowanek pederastów – często dla fabuły przeważnie zupełnie niepotrzebne – wypełniają znaczące fragmenty produkcji.

Warto też podkreślić, że w odróżnieniu od rodzin tradycyjnych – patologicznych i kryminogennych – związki monoplciowe jawią się tam jako ideał zrozumienia, miłości i partnerskiej wierności. Poza tym więzi międzypokoleniowych właściwie nie ma. Czas „Czułych słówek” minął. Dzieci się wyprowadziły, a dziadków odesłało się do domów starców. Rodzice żyją w kolejnych związkach z partnerami w wieku swych latorośli. Wyjątkiem są jedynie sytuacje, gdy wątek sensacyjny każe ojcu bądź matce stanąć w obronie potomka. Jednak – co do międzyludzkiej wspólnoty – poza uroczystościami korporacyjnymi widać ją jedynie podczas spotkań klubów Anonimowych Alkoholików.

Kościół – jeśli nie jest widownią afer pedofilskich i zbrodni na tle seksualnym – pojawia się wyłącznie w scenach pogrzebów, rzadziej ślubów. A do konfesjonatów najchętniej zaglądają mordercy...

Osobiście szczególnie boli mnie gwałt dokonywany na historii w filmach kostiumowych. Kiedyś w rozmaitych superprodukcjach dało się zauważyć jedynie grzech nieuctwa – rzymscy cesarze zachowywali się jak współcześni celebryci, a gladiatorzy jak kowboje, obecnie manipulowanie Biblią, historią starożytną czy nowożytną służy głównie doraźnym celom propagandowym lub czerzy rozrywce (nikogo już nie dziwi grecki hoplita walczący jak ninja). Pogodziliśmy się z kłamstwami dotyczącymi zbrodni Kościoła, inkwizycji, polowań na czarownice, wybielania rewolucji francuskiej i... rosyjskiej! Przy zmoiwie milczenia dotyczącej takich gigantycznych zbrodni lewicy jak tragedia Wandei czy ateistyczne ekscesy podczas masońskiej rewolucji w Meksyku (film „Cristiada” z roku 2012 jest chlubnym wyjątkiem)

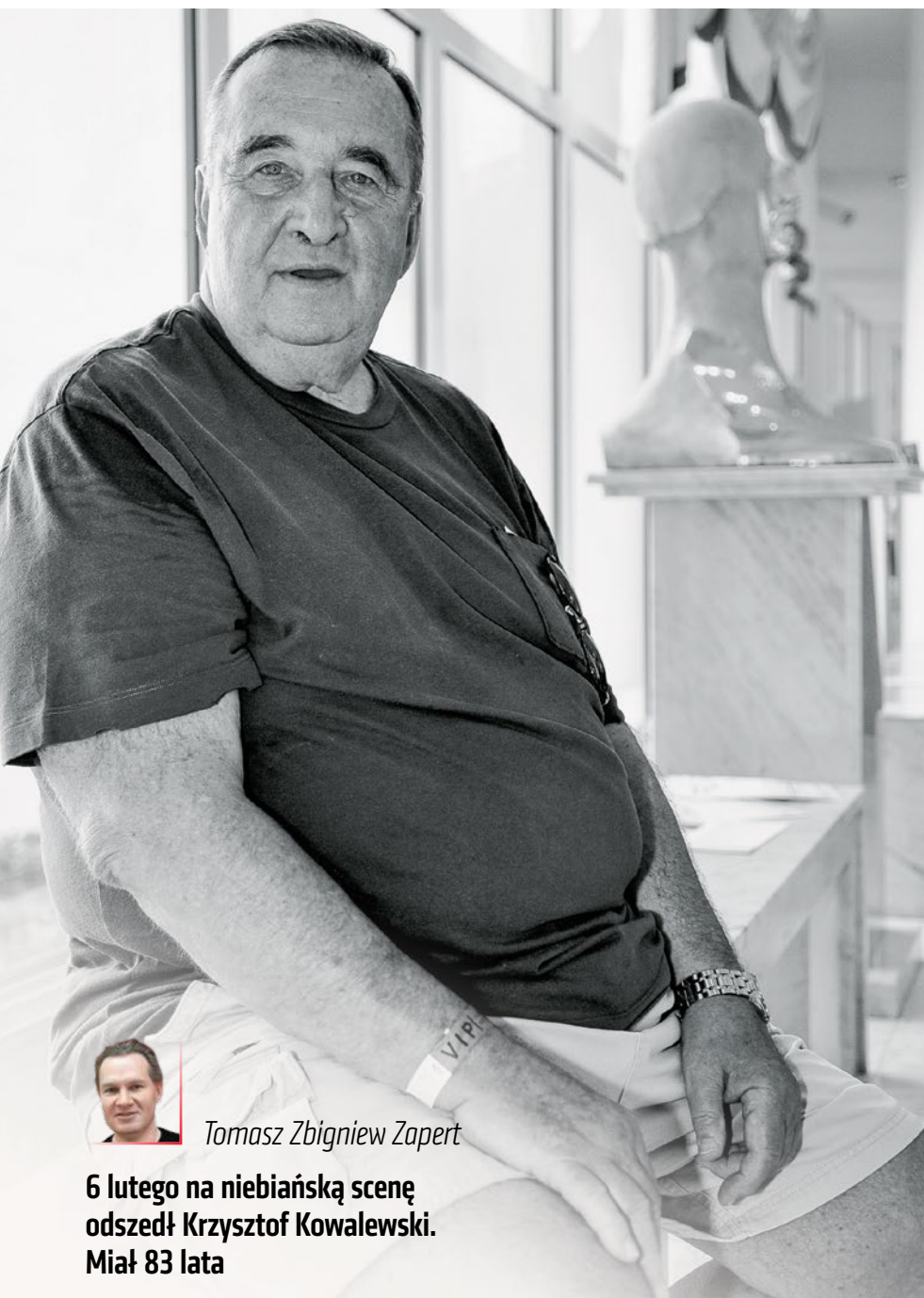
mamy wbijaną w głowy jednoznaczną ocenę gen. Franco, Pinocheta czy senatora McCarthy'ego, przy nieskrywanej sympatii dla Che Guevary, Fidela czy Wietkongu.

Całkowicie poddaliśmy się jednostronnym uproszczeniom, jeśli idzie o problem niewolnictwa czy kolonializmu... Pojęcie „brzemie białego człowieka” zastąpiła „wina kolonialisty”. Za wszystko. Bo czemu innemu mają służyć bzdury dowartościowywania na siłę „białych inaczej”? W ostatnim bodajże „Robin Hoodzie” parytet rasowy uwzględniono jeszcze dość inteligentnie – ciemnoskóry Maur, poznany w Ziemi Świętej, towarzyszył bohaterowi w jego przygodach w puszczy Sherwood. Obecnie nie ma już potrzeby do takich pretekstów. W serialu historycznym „Bridgertonowie” roi się od czarnoskórych lordów, a producenci chyba nawet nie uświadamiają sobie, że w swej gorliwości popadli w śmieszność.

A GDZIE POLSKA?

Ciekaw jestem, jakie karkołomne zabiegi uchronią przed wyrzuceniem z kanonu kultury światowej „Przygód Hucka Finna”, „Winnetou” czy „Chaty wuja Toma”? Chyba że Tom, Huck i Finn okazaliby się „homo”, podobne więzy połączyłyby wodza Apaczów i białego gringo, a wuj Tom miaby romans z małodletnią Ewangeliną i razem stanęliby na czele powstania niewolników.

Co zastanawiające, w tym barwnym świecie, mającym zawłaszczyć naszą wyobraźnię, w ogóle nie istnieje Polska ani jako naród, ani jako państwo, a i o pojedynczego Polaka trudno. Nawet szpiegowskie epizody kina akcji rozgrywają się w Pradze, Budapeszcie, a nawet w Bukareszcie. Nigdy w Warszawie. Żadne dzieje z naszej historii, które mogłyby zapłodnić pięć Hollywoodów, nie ciekawią światowych filmowców. W kręgu ich zainteresowań nie ma ani kultury sarmackiej, ani zaborów, ani Cudu nad Wisłą, ani Państwa Podziemnego, ani nawet Solidarności. Żaden z tych fascynujących problemów nie skłonił – jak do tej pory – wziętych producentów do zajęcia się nimi. Oczywiście eksploatuje się – i to nad miarę – Holokaust, jednak opowiadany przeważnie nie z życzliwej dla nas optyki. Ostatnimi czasy kino odkryło historie Szkotów, Irlandczyków, Ormian, Turków, Greków... My możemy stać nadal na końcu kolejki i urozmaicać sobie stanie oglądaniem filmów o spreparowanym świecie. Bez świadomości, co właściwie oglądamy.



Tomasz Zbigniew Zapert

6 lutego na niebiańską scenę
odszedł Krzysztof Kowalewski.
Miał 83 lata

Człowiek śmiechu

Do aktorskiego kanonu przejął jego kreacje w komediach, wobec których wyświechtany termin „kultowe” nadużyciem nie jest. Przede wszystkim w tych reżyserowanych przez Stanisława Bareję. Milicjant z „Nie ma róży bez ognia”, korektor Michał Roman z „Bruneta wieczorową porą”, dyrektor Krzakoski z „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”, a także kapitan Molibden z „Rozmów kontrolowanych” Sylwestra Chęcińskiego czy szef kompani z „C.K. Dezerterów” Janusza Majewskiego bawią kolejne pokolenia Polaków.

Chyba tylko raz w swym komizmie przeszarżował. Mam na myśli zagranego karykaturalnie Onufrego Zagłobę z ekranizacji „Ogniem i mieczem”. Mieczysław Pawlikowski w „Panie Wołodyjowskim” przedstawił tę figurę w pełniejszym wymiarze. W „Potopie” – u boku Zagłoby-Kazimierza Wichniarza – Kowalewski wypadł jednak niezmiernie przekonująco, odtwarzając ciężko myślącego oficera dragonów, Rocha Kowalskiego.

PODWÓJNY DEBIUT

Był człowiekiem witalnym, więc bawienie widowni stanowiło jego żywioł, chociaż po ukończeniu warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, gdzie dostał się za drugim podejściem, myślał o aktorstwie dramatycznym. Jeszcze będąc studentem, debiutował przed kamerą. W „Krzyżakach” Aleksandra Forda odtwarzał zarówno łucznika, jak i krzyżackiego piechura. „Kazali mi tylko tak profilem biegać, żeby uważnego widza nie zdeprimować. Tu była ogromna produkcja, pełny priorytet; jak na tamte czasy zupełne nieliczenie się z kosztami. Studentów ze szkół teatralnych zwożono hurtem [...]. Strach wspominać, co myśmy tam wyprawiali. Piętrowe kace. Romanse. Byli tacy, którzy zarazili się tryprem. Rekordzista, pominiemy nazwisko, siedem razy” – wspominał.

Potem nastał czas epizodycznych ról mundurowych. W kryminale „Zbrodniarz i panna” Janusz Nasfetera, na podstawie powieści Kazimierza Kwaśniewskiego alias Macieja Słomczyńskiego, jako milicjant z komisariatu w (Między)Zdrojach zabezpieczał pod mołem zwłoki uduszonej turystki (Ewa Wiśniewska). Czy już wtedy między tym aktorskim mikstem namieszał Kupidyn? „Nie ma co ukrywać, byłem kochliwy. Zresztą środowisko aktorskie w kwestiach łóżkowych to jednak nie jest norma społeczna. Mało kto ma za sobą jedno małżeństwo. Specyfika bran-

FOT. PIOTR KAWONKA/REPORTER

ży” – opowiadał. Ustatkował się w wieku emerytalnym, ożeniwszy się z aktorką Agnieszką Suchorą. Mieli córkę Gabriellę. Z wcześniejszego związku – z kubańską tancerką – doczekał się syna, Wiktora. Wychowywał też pasierba.

Jego pasierb – Janusz Heathcliff Iwanowski Pineiro – razem z publicystą „Trybuny” Jakubem Kopciem opublikowali w 2000 r. książkę „Po drugiej stronie lustracji”, oskarżając liderów Porozumienia Centrum, że u progu lat 90. usiłowali zbudować imperium finansowe za pomocą pieniędzy z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, gdzie pod pozorem wykupu polskiego długu wyprowadzono z budżetu państwa setki milionów dolarów. Na kanwie tej książki TVP zrealizowała agitkę pt. „Dramat w trzech aktach”, która przyniosła autorom – Witoldowi Krasuckiemu i Grzegorzowi Nawrockiemu – nagrodę Hieny Roku przyznaną przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. W uzasadnieniu werdyktu stwierdzono, że: „nie zachowali bezstronności, rzetelności i dokładności w relacjach, nie przedstawili również dokumentów mogących potwierdzić finansowanie znanych polityków ze źródeł FOZZ, ponadto manipulowali materiałami filmowymi”. Po emisji filmu – w którym Kowalewski wystawił pasierbowi świadectwo uczciwości – bracia Lech i Jarosław Kaczyńscy wytoczyli TVP proces i wygrali. Zaś Pineiro za wyłudzenie pieniędzy trafił do więzienia.

Z polityką Kowalewski zetknął się już w PRL: „Rok 1968 właściwie spędziłem w szkole teatralnej. W czasie strajku myśmy siedzieli w takim pokoju naprzeciwko szatni, [...] ktoś się zainteresował metalową szafą, która tam stała. [...] otworzyła się [...], wysypały się rozmaite papiery. Zaczęliśmy w nich grzebać i okazało się, że to DONOSY... Łaniewskiej, Listkiewicz... między innymi na Swinarskiego. Widziałem na własne oczy owoce ich »działalności«. Kupa tego leżała. Wszystkie z lat ich ZMP-owania, PZPR-owania w PWST. Donosy na kolegów, na profesorów. W kratkę, w linię, do wyboru, do koloru. Sprawy prywatne, a jakże! i zawodowe, studenckie. Z tej kupy losowaliśmy, czytając potem z ciekawością na głos. [...] Potem w szkole wiedzieli o nich już wszyscy. Tego odszczekać się nie dało” – wspominał.

Pierwszą miłością aktora była młodsza koleżanka ze stołecznej PWST, Ewa Jastrzębowska: „Bardzo ładna, o niezwykłych oczach. Niestety zginęła przedwcześnie w wypadku samochodowym. Jej ojcem był

Tadeusz Jastrzębowski. Też aktor. Miernota i kryptoantysemita [...] Jakoś dowiedział się, że córka spotyka się z Żydem, i zaczął robić jej wyrzuty” – wspominał.

Kowalewski był plonem małżeńskiego megalomanu. Ojciec, Cyprian, rodem z Łodzi, uczestnik wojny z bolszewikami i powstaniec śląski, absolwent Szkoły Głównej Handlowej, u schyłku II RP kierował papiernią w Jeziornie. Zmobilizowany jako podporucznik rezerwy we wrześniu 1939 r. trafił do niewoli sowieckiej, a następnie dołóżka kaźni pod Charkowem. Matka, Elżbieta, aktorka, lwowianka – de domo Herszaft – wywodziła się z rodziny o korzeniach rabinicznych. Jej brat i rodzice zginęli w Treblince.

MOZOLNA WSPINACZKA

Kowalewski mozolnie i wytrwale wspinał się po szczeblach aktorskiego wtajemniczenia. Ani w Klasycznym, ani w Dramatycznym miejscu długo nie zagrał. W repertuarze Polskiego się nie odnalazł. Pokłady drzemiącego talentu ujawnił dopiero w Studenckim Teatrze Satyryków, gdzie natknął się na Stanisława Tyma, co zaowocowało ścisłą współpracą na niwie satyry, lecz także rezygnacją z roli nie byle jakiej: „Dostałem propozycję zagrania Stanisław Anioła (w serialu »Alternatywy 4« – przyp. T.Z.Z.), ale [...] byłem wtedy zafascynowany Staśkiem Tymem i jego opinie były dla mnie ważne, a on dosyć lekceważaco mówił o tym scenariuszu”.

Na scenie zauroczył mnie od pierwszego wejrzenia – w Teatrze Rozmaitości podczas premiery sztuki Dobrowolskiego i Tyma pt. „Ciemny grylaż”, demaskującej funkcjonowanie środowiska dziennikarskiego w krajach demokracji ludowej. Trwał akurat karnawał Solidarności i komunistyczna cenzura nieco pofolgowała. Po krótkim, acz owocnym pobycie w Kwadracie – pod dyktando Edwarda Dziewońskiego – znalazł Kowalewski przystań teatralną we Współczesnym Erwina Axera, a później Macieja Englerta. Wielokrotnie podziwiałem tam nieprzeciętne wcielenia aktora: (Pełnomocnik w „Ambasadorze” Mrożka, Nikanor Bosy w „Mistrzu i Małgorzacie” Bułhakowa, Tobiasz Czkawka w „Wieczorze Trzech Króli” Szekspira, Cziczikow w „Martwych duszach” Gogola, Edek w „Tangu” Mrożka, kierownik w „Bambini di Praga” Hrabala).

ETER I EKRAN

Najważniejszym mentorem artysty stał się Jerzy Dobrowolski, poznany w radiowej

Trójce. Tamtejsza redakcja rozrywki w latach 70. ubiegłego stulecia wyznaczała poziom poczucia humoru w Polsce. W rozgłosni przy ul. Myśliwieckiej 3/5/7 stworzył kreację flagową. Oczywiście mowa o cyklu słuchowisk Jacka Janczarskiego „Kocham pana, panie Sułku”. Lśniące konwersacje żartobliwie-miłosnego duetu (z Martą Lipińską) wywoływały u radiosłuchaczy paroksyzmy śmiechu. W pamięci pozostaną też gigantyczne dokonania Kowalewskiego w Teatrze Polskiego Radia.

Chętnie występował także na małym ekranie. Dowodem często wznawiane seriale: „Trzecia granica”, „Czterdziestolatek”, „Szaleństwo Majki Skowron”, „Rodzina Leśniewskich”, „Janka”, „Zmiennicy”, „Komediantka”, „Siedlisko”, „Wszystkie pieniądze świata”, purnonsensowy sitcom Krzysztofa Jaroszyńskiego „Szpital na perypetiach”, a zwłaszcza spektakle Teatru Telewizji. Prostolinijny Siekierowy w „Rozmowach przy wycinaniu lasu” Tyma, dobrotliwy zbój Sarka-Farka w „Igraszkach z diabłem” Drdy, ludyczny Napoleon w farsie Jiřego Hubača, „Napoleon V.S.O.P.”, jowialny komisarz Fuddler w „Upiorze w kuchni” Clarka vel Majewskiego, ponadto postacie klasyczne: Abdułin w „Rewizorze” Gogola, Grabiec w „Balladynie” Słowackiego, Kontroler w adaptacji powieści Jerofiejewa, „Moskwa-Pietuszki”, Argan w „Chorym z urojenia” Moliera...

Najbardziej ubolewał nad totalnym upadkiem kabaretu: „Kiedy zaczynałem swoją drogę na estradzie, miała ona klasę. Występowali na niej artyści, od których można było się uczyć. Zresztą chętnie udzielali wskazówek. [...] w tej chwili jest to kompletne bezhołowie, a po tekstach patrząc, słuchając tego, co się przelewa z tego bezmózgowia, to horyzont myślowy autorów – tragedia, przełamana wulgarnością. To są wygłupy, schlebienie najniższym... o gustach nie ma tu właściwie co mówić. Właściwie nie mam nic do powiedzenia w sprawie tego, co dziś nazywane jest kabaretem. [...] Zaczął już wchodzić w fazę analną, wszystko musiało się kojarzyć z czterema literami. [...] Skończył się dla mnie, kiedy zobaczyłem na własne oczy i usłyszałem na własne uszy: »Jestem jak sracz na dworcu. Wszystkie dupy moje« [...] W polskiej telewizji to poszło. Jako przykład zły, ale padło. I rozrechało tłuszcz”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty pochodzą z książek Romana Dziewońskiego „Skarpetka w rękę. Krzysztof Kowalewski w garderobie” i „Taka zabawna historia. Krzysztof Kowalewski w rozmowie z Juliuszem Cwieliuchem”.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Żona gangstera



★★★★★
REŻ. JULIA HART
„TWOJA KOBIETA”
(„I'M YOUR WOMAN")
USA 2020

wyst. Rachel Brosnahan, Arinze Kene, Marsha Stephanie Blake

W gangsterskich dramatach kobiety zwykle pokazywane są jako matki w kuchni, żony-trofea, kochanki na boku i pałętają się po obrzeżach opowieści, podczas gdy chłopcy z ferajny zajmują się swoimi wendetami, haraczami i innymi interesami. „Twoja kobieta” odwraca ten schemat. Znana sytuacja (mąż gangster znika w tajemniczych okolicznościach) pokazana jest oczami kobiety. Piękna Jean mówi w pewnej chwili do nas z ekranu: „Nigdy dotąd nie byłam zdana na siebie”. Teraz, z pomocą współnika męża, będzie musiała wyruszyć w nieznane. Zadanie tym trudniejsze, że ma ze sobą niemowlę, które pojawiło się w jej życiu bardzo niespodziewa-

nie (nie, nie jest jego biologiczną matką).

Jean nie umie gotować, nie wie nic o dzieciach ani o tym, jak ukrywać się przed zbirami, którzy chcą ją skrzywdzić, film Julii Hart jest więc opowieścią o jej dorastaniu do nowej roli. Najwięcej nauczy się od innych kobiet napotkanych na drodze, ta żeńska solidarność nie jest jednak dla twórców filmu okazją do agresywnego feminizmu. „Twoja kobieta” to film bardzo wyważony, precyzyjny, o scenariuszu, który mógłby być ekranizacją prozy Elmore'a Leonarda, świetny przykład współczesnego kina noir. Pozbawiony jest krzykliwości i dosłowności współczesnych produkcji rozrywkowych, w których fabuła gna na oślep

od wybuchu do wybuchu. Tutaj najważniejsze rzeczy dzieją się między ciekawie zarysowanymi bohaterami, a prawdę o tym, co się dzieje, zarówno Jean, jak i my musimy rekonstruować na podstawie okruszków informacji z oszczędnych dialogów.

Akcja rozgrywa się w latach 70., barwa i muzyka odgrywają istotną rolę w wykreowaniu na ekranie półświatka, w którym Jean walczy o przetrwanie. W jej roli błyszczy Rachel Brosnahan („House of Cards”, „Wspaniała pani Maisel”), dając kreację wybitną, godną oscarowej nominacji. Reszta obsady też jest ciekawa, choć daleka od gwiazdorskiej (choćby utalentowany Arinze Kene jako Cal, przewodnik Jean w ucieczce). Brak wielkich nazwisk pomaga filmowi zyskać na autentyczności, całość opowiedziana jest bardzo efektywnie i jest po prostu mądra, zwiastując wejście na nowy poziom reżyserki znanej dotąd z filmów tyleż zgrabnych, co błahych („Stargirl”, „Fast Color”). ©



NOWE SERIALE: „KID COSMIC”

Twórca kultowej serii animowanej „Atomówki” powraca. Tym razem Craig McCracken pracuje nie dla Cartoon Network, lecz dla Netflix, gdzie w lutym miała miejsce premiera nowej kreskówki. Główny bohater, dzieciak z Nowego Meksyku, spełnia swe marzenie o karierze superbohatera u boku dziwacznych sprzymierzeńców

obdarzonych dość specyficznymi mocami (kot, który przewiduje przyszłość, dziadek potrafiący się multiplikować). Styl animacji to, jak mówi twórca, połączenie „Dennisa rozrabiaki” z „Przygodami Tintina”. Jedna z najciekawszych nowości dla młodszych widzów. ©

Piotr Gociek

• Sezon 1 „Kid Cosmic”; USA 2021

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Farhad Safinia, „Profesor i szaleniec” („The Professor and The Madman”), USA 2019
- reż. Marika Bobrik, „Smak pho” („The Taste of Pho”), Polska/Niemcy 2019
- reż. Sam Levinson, „Malcolm & Marie”, USA 2021

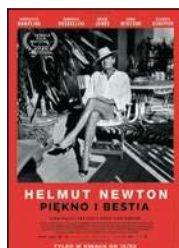
Naga prawda

KINO

Gdy inni próbowali zajrzeć w głąb duszy, jego interesowały ciała. Urodził się jako Helmut Neustädter, nie żyje od 17 lat. Uwieczniał aktorów i polityków, lecz zostanie zapamiętany jako autor czarno-białych zdjęć posągów, rozebranych kobiet. Trochę się ich bał i dlatego fotografował je spętane łańcuchem, z siodłem na plecach albo pożerane przez aligatora. Feministka Susan Sontag uznała Newtona za pożąłowania godnego mizogina, jednak modelki wcale nie czuły się upokorzone jego perwersyjnymi pomysłami. Czy był psychoanalitykiem? Raczej dużym chłopcem, który nieprzypadkowo wypłynął na szerokie wody w latach 60., gdy na Zachodzie zaczynała się

epoka hedonizmu. Związał się z branżą reklamową i modową. Okładki „Vogue’a” i „Sterna” ozdobione fotkami naszego bohatera robiły furorę. Uwielbiał prowokować i był zachwycony, gdy ktoś poczuł się zgorszony, jednak we własnym mniemaniu nigdy nie przekraczał granicy wulgarności. Dokument, nakręcony przez rodaka, pokazuje twórcę „porno chic” jako rebelianta, tymczasem był raczej zwierciadłem przechadzającym się po gościńcu. Skojarzenia stylu Newtona ze sztuką III Rzeszy też wydają się ciut naciągane, choć miał niewątpliwy sentyment do Berlina, miasta jego dzieciństwa. Miał też poczucie humoru, nawet na własny temat. A to już naprawdę bardzo dużo. © ©

Wiesław Chełmniał



★★★★★
REŻ. GERO VON BOEHM
„HELMUT NEWTON. PIĘKNO I BESTIA” („HELMUT NEWTON: THE BAD AND THE BEAUTIFUL”)
USA 2020, BEST FILM

wyst. June Newton, Charlotte Rampling, Isabella Rossellini



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „WEREWOLF: THE APOCALYPSE – EARTHLOOD”

Trudno pisać o zawiedzionych nadziejach, bo i wielkich oczekiwań nie było. A jednak gracie po cichu liczyl, że francuskie Cyanide Studio wypuści produkt zbliżony choćby do ich ostatniej produkcji, udanego „Call of Cthulhu”. Niestety, jest gorzej. „Werewolf: The Apocalypse – Earthblood” to

zmarnowanie potencjału Świata Mroku (lepiej zagospodarowanego np. w serii „Vampire”). W „The Apocalypse – Earthblood” wcielamy się w postać wilkołaka, choć możemy przybierać także formy wilka i człowieka. Brzmi ciekawie, ale to w gruncie rzeczy płytka rozgrywka, podczas której często zada-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



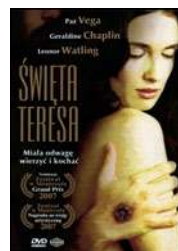
jemy sobie pytanie: „Daleko jeszcze?” Niedaleko. Gra na kilka godzin. © ©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** RPG akcji/TPP
- **Platforma:** PC/PS4/PSS/XONE/XXS
- **Producent, dystrybutor:** Cyanide Studio, Nacon (Bigben Interactive)
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+

NIEBEZPIECZNE WIZJE

vod.pl



wyst. Paz Vega, Geraldine Chaplin, Leonor Watling

★★★★★
REŻ. RAY LORIGA
„ŚWIĘTA TERESA” („TERESA, EL CUERPO DE CRISTO”)
HISZPANIA/FRANCJA/WIELKA BRYTANIA 2007

W 27. minucie seansu bohaterka umiera, by narodzić się na nowo. Nie jest to solenna biografia św. Teresy z Ávili, raczej impresja. Poświęcona tyleż słynnej mistyce, co hiszpańskiej religijności – bezkompromisowej, zbudowanej na skrajnych emocjach, rozpiętej między fanatyzmem a wątpliwością, uduchowieniem i cielesnością, wyrafinowaniem i prostotą, strachem przed diabłem i uwielbieniem męczeństwa, ocierającym się o sadomasochizm. Z racji pochodzenia i majątku Teresa Sánchez de Cepeda y Ahumada mogła w klasztorze miło spędzać czas. Wolała się jednak modlić i umartwiać swe ciało chłostą oraz głodówką. Jej wizje wstrząsnęły XVI-wiecznym Kościołem, który wcale nie był monolitem. Świętość od herezji dzielił jeden krok. Na szczęście karmelitanka oprócz wrogów miała wpływowych przyjaciół. Autorzy filmu w kwestiach teologicznych zachowują neutralność, bardziej kręci ich komponowanie malarskich kadrów.

A STATEK TONIE

HBO GO



wyst. Leonardo DiCaprio, Kate Winslet, Billy Zane

★★★★★
REŻ. DAVID CAMERON
„TITANIC”
USA 1997

W 23. rocznicę polskiej premiery można obejrzeć najbardziej kosztowną (i dochodową) produkcję kinową XX w. Podobno powodem zagłady „Titanica” była kiepska jakość stali, z której wykonano kadłub. Jeszcze bardziej kruche okazało się życie załogi i pasażerów. W tamtej epoce obowiązywały jednak zasady: kapitan i konstruktor, poczuwając się do odpowiedzialności, poszli na dno razem z okrętem. Większość panów czekała zaś z ewakuacją, aż miejsca w szalupach zajmą kobiety i dzieci. Orkiestra grała na żywo i do końca, i to lepsze kawałki niż „My Heart Will Go On”. Wielbiciele melodramatów oglądają film Camerona od początku, smakosze katastrof – od połowy. Dla pierwszych są pocałunki na tle zachodzącego słońca, dla drugich nieco przesadzone efekty specjalne. Nakręcenie „Titanica” kosztowało drożej niż jego zbudowanie, lecz reżyser oszalał z innych powodów. © ©

recenzuje Wiesław Chełmniał

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Łobodowski na Kubaniu

Mało która edycja sprawiła mi ostatnio tyle czytelniczej satysfakcji, co wydanie powstałego na emigracji w drugiej połowie lat 50. cyklu powieściowego Józefa Łobodowskiego (1909–1988), nazywanego od tytułu pierwszego z tomów „Komysze” lub trylogią ukraińską.

Akcja powieści dzieje się w latach 1920–1922 na Kubańszczyźnie. Rozpoczyna się w mieście Jejsku, następnie przenosi do stanic kozackich, a w końcu w okolice Taganrogu i do Rostowa nad Donem. Docierają tu echa wojny polsko-bolszewickiej, nie zakończyła się wojna domowa, a w regionie wybucha powstanie przeciw władzy sowieckiej. Bohaterem jest młodzieńki Polak, Staś Majewski, nie tylko z imienia przypominający Stasia Tarkowskiego z „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza, zaś jego perypetie są odzwierciedleniem rzeczywistych przeżyć autora.

Skąd się Łobodowski wziął na północnym Kaukazie, nad brzegiem Morza Azowskiego? Jego ojciec był pułkownikiem armii carskiej, oddelegowanym w czasie wielkiej wojny do Rosji. Rodzina najpierw mieszkała w Moskwie, potem przeniosła się do Jejska. Rewolucja bolszewicka oznaczała dla Łobodowskich koniec dostatniego życia, walkę o byt, o uchronienie się przed wywózką, podjęcie starań o powrót do Polski. Ten ostatni doszedł do skutku dopiero w 1922 r., już po śmierci głowy rodziny. Józio miał 12 lat, gdy musiał zapomnieć o nauce i zająć się nielegalnym handlem, sprzedając samogon i papierosy wyprodukowane domowym sposobem przez matkę i siostry. Chłopiec zaprzyjaźnił się wtedy z miejscową łobuzerią, trafił nawet do aresztu. Wszystko to i wiele więcej znajdziemy w „Komyszach”, wzbogaconych jeszcze o wątki bardziej awanturnicze i romantyczne.



FOT. MAC

Oukraińskiej trylogii dowiedziałem się dawno temu ze „Szkieł o literaturze emigracyjnej” Marii Danilewicz-Zielińskiej, która zawyrokowała: „Powieść przeładowana jest tanim erotyzmem i jaskrawymi opisami bez wartości artystycznej”. Była to opinia, jak teraz widzę, krzywdząca; powieści Łobodowskiego, choć dalekie od maestrii, nieprzypadkowo cieszyły się na emigracji ogromnym powodzeniem i szkoda, że w kraju były niemal zupełnie nieznane. Dopiero trzy lata temu lubelski Test po raz pierwszy wydał „Komysze” w kraju, miały one jednak ograniczony zasięg. Może teraz trafią w ręce tych wszystkich, którym bliscy są nie tylko Sienkiewicz i Reymont, lecz także „Kontra” Józefa Mackiewicza i „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, a także duch Kozaczyzny przepajający „Cichy Don” Szołochowa oraz „Chłopca z Salskich Stepów” Igora Newerlego.

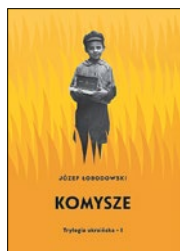
W tym miejscu warto jeszcze zwrócić uwagę na drugi cykl Łobodowskiego – „lubelski” – składający się z jeszcze bardziej nasyconych autobiografizmem powieści: „Czerwona wiosna” (1965), „Terminatorzy rewolucji” (1966), „Nożyce Dalili” (1968), „Rzeka graniczna” (1970). I znów sytuacja

jest podobna; książki te są w Polsce nieznane, czego wypada żałować, ponieważ „Łobodowski – pisała Irena Szypowska – nie miał ambicji tworzenia powieści awangardowej, w wysłużony schemat wprowadził jednak żywe postaci, stworzył znakomite sceny rodzajowe, rozgrywające się w wiernie zarysowanej topografii Lublina i okolic, brawurowo poprowadził akcję, a o losach bohatera opowiedział zajmująco i z dużą dozą humoru”.

Cykl lubelski jest naturalnym rozwinięciem i dopełnieniem „Komyszy”, które jednak każą się zastanowić nad wyborem przez Łobodowskiego w młodości ideologii komunistycznej, z którą wprawdzie stosunkowo szybko się rozstał, niemniej zdążyła nieźle mu pokiereszować życiorys. To nie najlepsze porównanie, ale przypomina dzieje tych naszych rodaków, którzy po przeżyciu sowieckich łagrów po powrocie do Polski stawali się komunistami. Łobodowski w 1935 r. nielegalnie wyjechał do Kijowa i na Wołyń (co jednak nie jest pewne) i dopiero wtedy, jesienią tegoż roku, ogłosił w „Wiadomościach Literackich” artykuł „Smutne porachunki”, w którym ogłosił definitywne zerwanie z bolszewiakiem, na co Wanda Wasilewska zareagowała w „Robotniku”, nazywając go „plugawcem” i „nacionalistycznym agentem w służbie faszyzmu”.

Zapamiętał jej to i po latach odpowiedział fraszką:
*Wasilewskiego córka, krwię zacnej panienka,
razem ze złodziejami?! Azjatycka ręka
ludzi z domów porывa, w noc,
w zimowa porę,
a oważ Wandzia Moskwie dziś służy?
O, horror!
O, crimen!
– I głos rzekł mi, gdy w w żałości urwał –
Czasem i z senatora urodzi się kurwa!*

© ©



★★★★★
**JÓZEF
ŁOBODOWSKI**
**TRYLOGIA
UKRAIŃSKA**
**(T. 1 „KOMYSZE”;
T. 2 „W STANICY”;
T. 3 „DROGA
POWROTNA”)**
**INSTYTUT
LITERATURY,
KRAKÓW 2020**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zeus i inni ziomale

Oto książka cenna w czasach, kiedy przeciętny konsument popkultury zapytany o mity, odpowie pytaniem: „A czy chodzi o mitologię »Gwiezdných wojen« czy raczej o uniwersum Marvela?”. Ale może zmieni to Stephen Fry? W brytyjskiej kulturze to człowiek orkiestra: aktor, komik, twórca seriali telewizyjnych, wreszcie pisarz (w Polsce znany z dwóch zabawnych i niegłupich powieści – „Hipopotam” oraz „Blagier”). Teraz Fry zabrał się do przybliżenia greckiej mitologii współczesnemu odbiorcy, przepisując mity współczesnym językiem i upraszczając. Ten sposób promowania klasyki ma długą tradycję – Polacy mieli szczególnie z Parandowskim i Zygmuntem Kubiakiem, w Ameryce z kolei grecką mitologię w wersji dla najmłodszych przygotował Nathaniel Hawthorne. Niekoniecznie rzecz musiała dotyczyć dziedzictwa antyku – brytyjskie dzieci często zaczynały poznawanie Szekspira od prozatorskich, skróconych wersji Charlesa Lamba (ten ostatni przerobił także „Odyseję” Homera na opowieść dla dzieci).

Na tle tego szacownego towarzystwa Stephen Fry wypadł przyzwoicie. „Nigdy moim celem nie było interpretowanie ani wyjaśnianie mitów, chciałem jedynie

te historie opowiedzieć” – podkreśla w posłowie. Choć podśmiewa się, że dziś zaglądając do Internetu, trzeba potem „umieć się otrząsnąć po przeczytaniu, że »Kadmos był ziomem«, z Hermesa był »spoko koło«, a Hades był »pacjentem z problemami«, to sam chwilami niebezpieczny w tym kierunku przejaw nowawania grawituje. Ot, na przykład, gdy Zeus rozmawia z Prometeuszem, mówi mu: „Zawsze miałem cię za intelektualistę”. Na szczęście jednak Stephen Fry granicy śmieszności nie przekracza, za to robi dobry użytek ze swego poczucia humoru, bo mitologiczne opowieści Greków w jego wykonaniu nie są śmiertelnie poważne.

Są natomiast ułożone, i to już poważny zarzut, choć oczywiście trzeba spierać się o to, gdzie przebiegać powinna granica. Mity pozbawione elementów krwawych, ponurych, drastycznych i tragicznych tracą jednocześnie część znaczeń, znikają wszystko to, co analizowali Eliade, Bettelheim i inni myśliciele.



★★★★★
STEPHEN FRY
„MYTHOS”
WYDAWNICTWO
MAG 2020

Tak samo jak baśnie poddane procesowi ułożenia i udisnejowania zamieniają się w zwykłe opowieści. A przecież i mity, i baśnie w swej pierwotnej formie zwykłymi opowieściami nie są. Nadzieja w tym, że kto przeczyta „Mythos”, ten zacieka się wielką spuścizną antyku na tyle, by sięgnąć także do źródeł. ©©

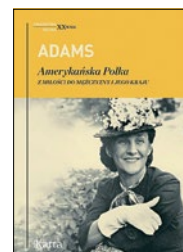
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

„Mapa cywilizacji w dobie świecenia” – głosi podtytuł. Pasjonująca praca pokazująca, jak postrzegano naszą część Europy, skąd brały się stereotypy i uprzedzenia, jak wykorzystywano je w wielkiej polityce. Lektura obowiązkowa.



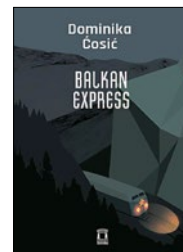
LARRY WOLFF
„WYNALEZENIE
EUROPY
WSCHODNIEJ”
MOCAK

Przyjechała do Polski w połowie lat 20., na chwilę. Została niemal do wybuchu drugiej wojny światowej. Tutaj znalazła męża, nowe życie, dom i drugą ojczyznę, o której z wielką miłością opowiada w tej niezwykłej książce.



DOROTHY ADAMS
„AMERYKAŃSKA
POLKA”
OŚRODEK KARTA

„Jak to się stało, że dekada lat dziewięćdziesiątych zniszczyła wszystko? I nikt nie zatrzymał nadchodzącej katastrofy” – zastanawia się dziennikarka specjalizująca się w tematyce międzynarodowej, analizując los Jugosławii.



DOMINIKA ĆOŚĆ
„BALKAN
EXPRESS”
OŚRODEK MYŚLI
POLITYCZNEJ

Subiektywnie, lekko, z humorem i zajmująco – profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego oprowadza czytelnika po dziejach medycyny w sposób idealny, by nieco odetchnąć od grozy pandemii, obostrzeń i kryzysu. ©©

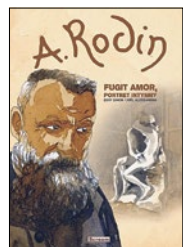
poleca Piotr Gociek



ZDZISŁAW GAJDA
„HISTORIA
MEDYCYN
DLA KAŻDEGO”
FRONDA

KOMIKS TYGODNIA:

„RODIN – FUGIT AMOR” Wspaniały obrazkowy hołd dla wielkiego artysty, komiks stworzony we współpracy z paryskim Muzeum Auguste’a Rodina. Sceny z życia artysty i najważniejszych dla niego kobiet (Camille, Rose, Claire) zamieniają się zarazem w opowieść o jego sposobie postrzegania świata i sztuki. Chociaż świat pamięta go jako genialnego rzeźbiarza, to Rodin pozostawił po



**SIMON EDDY,
JOEL ALESSANDRA**
„RODIN – FUGIT
AMOR”
SCREAM COMICS
2020

sobie tysiące rysunków. „Rysował tak, jak rzeźbił – szaleńczo, z pasją” – pisze we wstępie Catherine Chevallot. Komiksowy album to idealna forma, by upamiętnić tego niezwykłego twórcę. ©©

poleca Piotr Gociek



Korepetycje z muzyki

W całej działalności Agaty Steczkowskiej skierowanej do dzieci, w prowadzonych przez nią audycjach radiowych, szkoleniach (także on-line), w książeczkach do pobrania z jej strony etc., etc. chodzi o to, by najmłodszych rozśpiewywać. Zachęcać do śpiewu i ich go nauczać. Podobny cel mają płyty

Chóru Dziecięcego Agaty Steczkowskiej. Przeznaczenie albumów zdradzają już ich tytuły – „Śpiewajmy z Agatą Steczkowską” z tradycyjnym polskim repertuarem, doskonale nadającym się do rodzinnego podśpiewywania, czy „Piosenka łączy pokolenia” (wydanie dwupłytowe: na pierwszej zarejestrowane

piosenki, na drugiej podkłady fortepianowe, aby śpiewać w domu).

Najnowsza płyta Chóru Agaty Steczkowskiej to międzypokoleniowe spotkanie w repertuarze z polskich i zagranicznych bajek oraz filmów. Zestawiono tu wykonywane przez dzieci piosenki, takie jak utwór z czołówki

„Misia Uszatka”, „Witajcie w naszej bajce”, „Na wyspach Bergamutach” czy „Kaczkę Dziwaczkę”, z repertuarem „dorosłym”. Nie wszystkie piosenki nadadzą się do rodzinnego śpiewania, ale większość tak, a karaoke będzie łatwe do zorganizowania, bo „Piosenki filmowe” to także dwie płyty – na tej drugiej znalazły się fortepianowe podkłady.

A jeśli ktoś chciałby zafundować swoim dzieciom muzyczne korepetycje na poważnie, to ma taką możliwość. Agata Steczkowska, dyrygentka, pianistka, kompozytorka, wiolonczelistka, z „tych Steczkowskich”, a więc na scenie od dziecka, która chwali się, że w ciągu 35 lat pracy kształciła tysiące młodych mniejszych i większych talentów, prowadzi fundację, która naucza gry na instrumentach, śpiewu, teorii muzyki. W COVID-owej rzeczywistości – on-line. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Gorączka sobotniej nocy

Dave Grohl, były perkusista Nirvany, na 10. albumie Foo Fighters zaprasza na nostalgiczną potańcówkę w szalonym tempie.

Przez ortodoksyjnych fanów przyzwyczajonych do stadionowego rocka opartego na przesterowanych gitarowych riffach i piorunującym dudnieniu sekcji rytmicznej nowy album został przyjęty jako herezja. Zmiana brzmienia jest wyraźna, ale o bezpieczeństwach nie ma tu mowy. Mimo że pojawiły się synkopowane rytmy, śpiewne refrezy, żeńskie chórki, melodyjne pasaże to wciąż jest ostre rockowe granie, a sama płyta przepelniona jest dobrym, imprezowym samopoczuciem. Potężne riffy ścierają się z natarczywymi melodiami, których zespół unikał przez lata.

Do tego w tekstach pojawił się dowcip, którego dotąd w nagraniach Foos było jak na lekarstwo.

Odniesienia do muzyki lat 70. są jak zwykle wyraźne, ale tym razem inspirację stanowił: David Bowie z okresu „Let’s Dance” (utwór tytułowy), disco (refren w „Cloudspotter”) czy melodyjny Badfinger i Boston w otwierającym „Making a Fire”. Natomiast w balladzie „Chasing Bird” Grohl uzyskał w głosie kruchość samego George’a Harrisona. Dwie ballady, druga to „Waiting on a War”, dają słuchaczom niezbędne wytchnienie.

„Potrzebowaliśmy odnaleźć w tym, co robimy, radość i przyjemność” – tłumaczy Dave Grohl. „Groziło nam, że kolejne płyty będziemy nagrywać z przymusu, a tak nieźle się sami bawiliśmy”. ©©



★★★★★
FOO FIGHTERS
„MEDICINE AT MIDNIGHT”
RCA



★★★★★
DELVON LAMARR
ORGAN TRIO
„I TOLD YOU SO”
COLEMAN

Organy Hammonda

B-3 lidera wraz z funkową gitarą Jimmy’ego Jamesa gwarantują stylową zabawę. Nieważne, że Delvon czerpie garściami z soul jazzu lat 60., ważne, że te dziewięć kawałków buja rewelacyjnie, a do tego nagrania są wyjątkowo eleganckie.



★★★★★
VIAGRA BOYS
„WELFARE JAZZ”
YEAR0001

Szwedzka ekipa „underdogów”

walczących z społeczną hipokryzją. Agresywny wokal, obłąkany saksofon, ostry dowcip, syntetyczne bity... Sen szaleńca, który zmutował stare disco z mrokiem The Bad Seeds Nicka Cave’a. Rozkoszna prywatka bez trzymanki. ©©

KONIEC systemu



wtorek
21:30

zaprasza **Dorota Kania**



Oglądaj również na www.tvrepublika.pl

Grzegorz
Kondrasiuk

Otwieramy 12 lutego teatry, kina i filharmonie – ogłosili na wspólnej konferencji prasowej Mateusz Morawiecki i Piotr Gliński.

Zniesienie tzw. lockdownu jest obwarowane kilkoma zastrzeżeniami – wprowadzono je na początek na próbę, na dwa tygodnie, z możliwością przedłużenia. Zajęte może być 50 proc. miejsc na sali, obowiązkowe będą noszenie maseczek i zakaz konsumpcji.

Wiadomość, ogłoszona 5 lutego, była dla środowiska kulturalnego kompletnym zaskoczeniem – przewidywano przedłużenie lockdownu w kulturze (tak jak w Niemczech czy Czechach), ewentualnie warunkowe dopuszczenie działalności instytucji kultury przy zezwoleniu na sprzedaż 25 proc. miejsc. Takie rozwiązanie, znane z ubiegłego roku, zarówno dla kin, jak i dla dużych teatrów czy oper oraz dla teatrów prywatnych z mniejszymi salami, skutkowało funkcjonowaniem poniżej kosztów. Dezaprobatą tych ograniczeń połączyła dyrektorów dużych państwowych teatrów (z Teatrem Narodowym na czele) z dyrektorami teatrów prywatnych, takich jak Kamienica czy Polonia. Sytuację skomplikowało jeszcze ogłoszenie wyników Funduszu Wsparcia Kultury, idące w poprzek podziałów politycznych oraz podziału na instytucje publiczne i prywatne. Ostatecznie, pomimo dwukrotnego przeliczania przyznanych kwot i prób politycznego utracenia tej inicjatywy, Fundusz przyczynił się do uratowania licznych inicjatyw kulturalnych, nie tylko w metropoliach, lecz także w mniejszych ośrodkach. Od początku roku 2021 większość teatrów zdążyła się przystosować do trudnej sytuacji, uruchamiając sprawnie działające platformy VOD, pokazując niektóre premiery w wersji on-line, a inne przekładając na bliżej niesprecyzowaną przyszłość. Teatry i instytucje kultury mimo wszystko pracowały: można było odbywać próby i organizować cykliczne spotkania w małych, stałych, warsztatowych grupach.

I oto niespodziewanie przyszło tak oczekiwane uwolnienie. Co się jednak okazało – dla teatrów powrót do częściowej choćby normalności nie jest rzeczą łatwą. Dwa dni przed wielkim dniem



Krakowski teatr Variete

FOT. ŁUKASZ POPIELARZYK

Czterdzieści premier w dwa tygodnie

12 lutego (kiedy piszę te słowa) część instytucji nie jest w stanie ogłosić pełnych repertuarów. Bywa i tak, że teatry wciąż nie wiedzą, co będą grały przez te dwa tygodnie niespodziewanego otwarcia, albo przesuwają dzień faktycznego otwarcia na kolejny weekend – po 19 lutego. Można dopatrywać się różnych przyczyn takiego stanu rzeczy: atmosfera niepewności nie sprzyja planowaniu, a część aktorów choruje na COVID-19 lub przechodzi kwarantannę. Wielu wziętych twórców korzysta również z sytuacji, z uwolnionego przez lockdown kalendarza – zajmując się pracą na planach filmowych i telewizyjnych. Jakiekolwiek plany w wywiadzie z Jakubem Morozem i Przemysławem Skrzydelskim przyznał szczerze: „Paradoksem jest to, że mam dużo pracy, mimo że teatry nie działają. Po prostu w tym momencie na potęgę kręci się filmy i seriale, bo przez ten rok wytworzyła się zasada, że daty premier teatralnych stały się opcjonalne, na czym w dużym stopniu skorzystała sfera producencko-filmowa”.

Jednak większość polskich teatrów rusza pełną parą, proponując „niewygrane” jeszcze niedawne premiery z okresu pomiędzy pierwszym a drugim lockdownem, te, które można było zobaczyć wyłącznie w Internecie, oraz przygotowane podczas zamknięcia. W weekend 12–14 lutego teatralna Polska zobaczyła blisko 20 premier, a w ciągu najbliższych dwóch tygodni – 40! W Narodowym Starym Teatrze wraca Józef Opalski („Savan-

nah Bay”), w Poznaniu w Teatrze Nowym Jan Klata („Czerwone nosy”), w Krakowie w Variete Wojciech Kościelniak („Pretty Woman”), w Łaźni Nowej Iwona Kempa, w Rzeszowie – Katarzyna Szyngiera. Gdański Teatr Wybrzeże daje, jedna po drugiej, trzy premiery, w tym „Lilię Wenedę” Juliusza Słowackiego w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego.

Pełny i zróżnicowany repertuar proponuje większość warszawskich teatrów: Teatr Narodowy – premiera „Trzech siostr” w reżyserii Jana Englerta, Studio, Powszechny, Dramatyczny – premiera sztuki Tadeusza Słobodzianka „Fatalista. Singerowska historia w V aktach”, Teatr Polski – premiera sztuki o Magdzie Gessler „M.G.” duetu Strzępka-Demirski.

Lista wydarzeń najdziwniejszego od lat teatralnego sezonu wciąż się powiększa, nie sposób w tak krótkim tekście wszystkich wymienić, i wciąż ogłaszane są kolejne tytuły. Bilety sprzedają się w zawrotnym tempie. Wygląda więc na to, że polski teatr przeżywa wielkie chwile, a nadzieję na popandemiczną przyszłość przynoszą nawet wyniki sondaży. Narodowe Centrum Kultury przeprowadziło w grudniu 2020 r., po drugim lockdownie, sondaż na temat „gotowości do podjęcia aktywności kulturalnej po zniesieniu ograniczeń” przez Polaków. 75 proc. badanych zadeklarowało w nim, że brakuje im wyjść do instytucji kultury, z tej grupy 38 proc. w pierwszej kolejności chce się wybrać do kina, a 16 proc. do teatru. ©©

DODATEK SPECJALNY – część 6



Polska zapora ***dla ataków kulturowych***

- Jak ONZ promuje ideologię LGBT
- Od choroby do standardów edukacji seksualnej
- Kogo wolno dyskryminować, a kogo nie



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI



eprasa.pl 9078652e23



GRZEGORZ
KUCHARCZYK

WSTĘP

Zdobycz nieodwracalna

Równouprawnienie ludzi LGBT – czego wyrazem ma być legalizacja tzw. małżeństw jedнопłciowych – stało się w ostatnich 20 latach „oczywistą oczywistością” dla tych, którzy uważają, że w ten sposób stanęli „po dobrej stronie historii”. To nie tylko „stara” i „nowa” lewica, lecz także „nowoczesny konserwatyzm”. Zachodnioeuropejska chadecja, która już dawno zapomniała o literce „c” w swojej nazwie, brytyjscy torysi i establishmentowi konserwatyści w Ameryce – wszyscy uważają, że legalizacja „małżeństw” jedнопłciowych jest „trwałą zdobyczą”, niemożliwą do cofnięcia.

Na uwagę zasługuje to, że ów konsensus dosięga również środowisk politycznych czy osobistości życia publicznego, które sytuują się jako walczący z „systemem” najprawdziwsi prawnicy. Dość wspomnieć w tym kontekście francuski Front Narodowy, którego szefowa Marine Le Pen niejednokrotnie w swoich przemówieniach publicznych podkreślała, że „nie ma odwrotu od małżeństw jedнопłciowych”. Podobnie zachowuje się Alternatywa dla Niemiec.

W analogiczny sposób myślał i działał Donald Trump, kreujący się na „ostatnią nadzieję amerykańskiego konserwatyzmu”. Jednak akurat w tej fundamentalnej kwestii – uznania redefinicji małżeństwa – pozostawał jako urzędujący prezydent Stanów Zjednoczonych w całkowitej zgodności z takimi lewackimi organizacjami (darzącymi go szczērą nienawiścią) jak Antifa czy ruch BLM. Jak wiemy, wysłana przez prezydenta Trumpa jako amerykańska ambasador w Warszawie pani Georgette Mosbacher dołączyła do kilkudziesięciu innych ambasadorów zatroskanych rzekomym łamaniem „praw ludzi LGBT” nad Wisłą.

Później, w wywiadzie dla mediów, ani nie zamierzała się wycofywać ze swojej decyzji, ani nie powstrzymała się przed pouczeniem Polaków sprzeciwiających się nadawaniu przywilejów „ludziom LGBT”, że w ten sposób znaleźli się „po złej stronie historii”.

A przecież należy jeszcze uwzględnić przedstawicieli „katolicyzmu otwartego”, którzy mają już za sobą całą drogę od pierwszego etapu „porozmawiajmy o...” przez stadium empatii („nie bądźmy okrutni, oni też mają prawo do szczęścia”) aż do domagania się „błogosławienia” przez Kościół tzw. małżeństw jedнопłciowych. Święty Jan Paweł II – choćby w encyklice „Fides et ratio” (1998) – wskazywał, że najpierw

oddął swój głos za tym projektem, przesądając o tym, że środowiska homoseksualne wygrały tę kluczową batalię sądową stosunkiem głosów 5:4.

Sędzia Kennedy napisał uzasadnienie wyroku, które oparł na błędnej filozofii, niewłaściwym rozróżnieniu pojęć. Skoro bowiem – argumentował sędzia Kennedy – istotą małżeństwa jest „wspólne dążenie do szczęścia” (fałszywa przesłanka), to dlaczego pozbawiać tego prawa dwóch ludzi tej samej płci (fałszywy wniosek). Należy zwrócić uwagę, że ten sposób rozumowania, wzmacniony jeszcze argumentem fałszywie pojętego miłosierdzia („nie bądźmy rygorystami”, „kimże jestem, aby ich sądzić”) jest coraz

Zachodnioeuropejska chadecja, brytyjscy torysi i establishmentowi konserwatyści w Stanach Zjednoczonych – wszyscy uważają, że legalizacja „małżeństw” jedнопłciowych jest nie do cofnięcia

potrzebna jest zdrowa filozofia (metafizyczna), na której można oprzeć zdrową teologię. Ta zaś jest warunkiem odpowiedniej formacji seminaryjnej przyszłych kapłanów, którzy z kolei będą w stanie prowadzić pracę duszpasterską z prawdziwego zdarzenia.

Czym się kończy brak zdrowej filozofii, czyli „elementarnego rozróżnienia pojęć” (jak mówił Jan Paweł II w 1991 r. w Polsce), pokazuje przykład sędziego Sądu Najwyższego USA Anthony’ego Kennedy’ego. Katolik, nominat na to stanowisko prezydenta Ronalda Reagana, w grudniu 2015 r. w kluczowym głosowaniu nad legalizacją na poziomie federalnym (czyli w całych Stanach Zjednoczonych) „małżeństw” jedнопłciowych

bardziej rozpowszechniony wśród hierarchów Kościoła na Zachodzie. Dość przyjrzeć się temu, co dzieje się u naszych zachodnich sąsiadów, gdzie najważniejsi przedstawiciele tamtejszej hierarchii kościelnej – na czele z przewodniczącym konferencji Episkopatu Niemiec – wprost nawołują do rewizji nauczania Kościoła w odniesieniu do homoseksualizmu, a tym samym w odniesieniu do „małżeństw” jedнопłciowych.

Nie wiadomo tylko, czy biskupi podnoszący to zagadnienie jako jedną z „najbardziej palących kwestii duszpasterskich” do załatwienia na „drodze synodalnej” kierują się – nazwijmy to – mocno spersonalizowanymi interesami, czy ogólną empatią wobec potrzeb „człowieka współczesnego”. ©



Jak ONZ promuje ideologię LGBT



Karolina Pawłowska

Organizacja Narodów Zjednoczonych przestała odgrywać rolę niezależnego organu mającego stać na straży ochrony fundamentalnych praw człowieka. Za sprawą radykalnego „marszu przez instytucje” stanowi ona dziś główny wehikuł ideologicznej inżynierii społecznej

Każdy, kto choć pobieżnie interesuje się historią prawa międzynarodowego oraz organizacji mających na celu monitorowanie jego przestrzegania, wie, że pierwotnym, deklarowanym celem tego systemu miało być zabezpieczenie społeczności międzynarodowej przed arbitralnym i niesprawiedliwym prawem. Doświadczenia XX w. pokazały, że charakterystyczny dla nowoczesności kultury pozytywizmu – czyli przeświadczenia, że prawo jest wyłącznie kwestią umowy społecznej, której treść może być dowolna – prowadzi do katastrofalnych skutków. Żeby zapobiec w przyszłości takim tragediom, do jakich doprowadzały zbrodnicze rządy,

państwa zdecydowały się na skatalogowanie praw człowieka w Powszechnej deklaracji praw człowieka, a następnie w kolejnych traktatach. Co istotne, prawa te nie zostały przez państwa „stworzone”, lecz „rozpoznane”, „uznane”, co podkreśla ich uniwersalny i naturalny charakter.

NARZĘDZIE PRESJI

Paradoksalnie, choć prawa człowieka powinny stanowić kategorię uniwersalną i niepodlegającą zmianom ze względu na ich obiektywny charakter, dziś pojęcie to wykorzystywane jest jak żadne inne jako narzędzie wywierania politycznej presji i podważania podstawowych struktur społecznych. Radykalne grupy

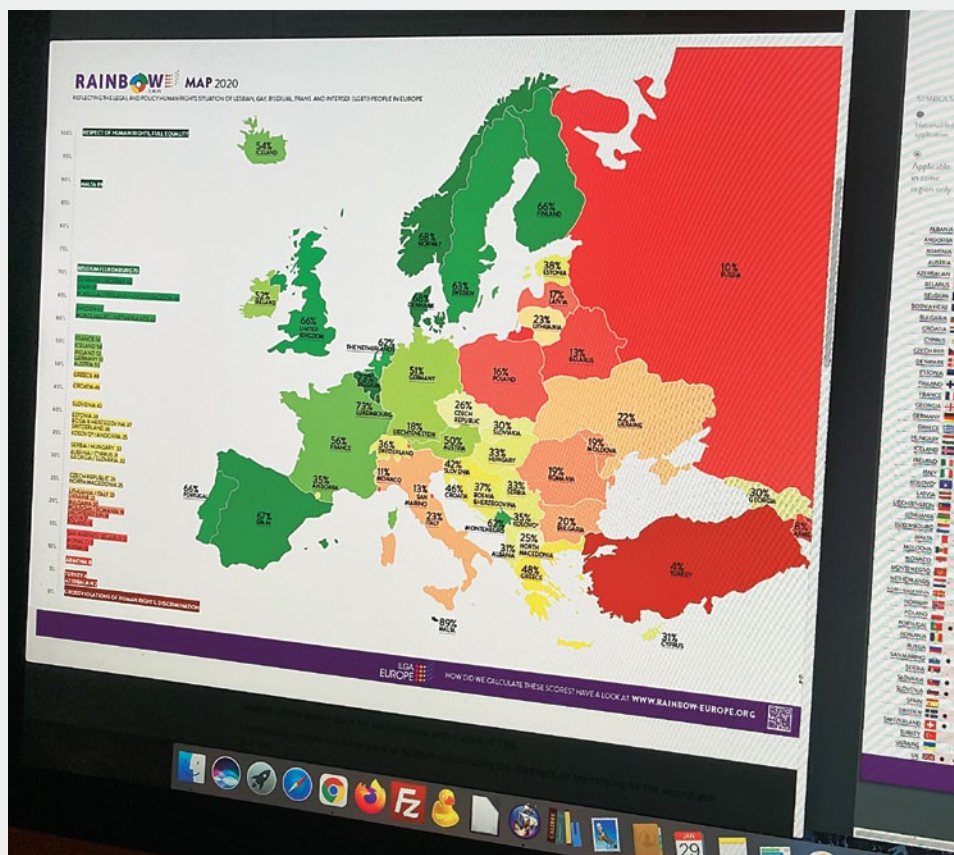
określają mianem praw człowieka każde swoje roszczenie, nawet wówczas, gdy pozostaje ono w głębokiej sprzeczności z systemem. Jest to szczególnie widoczne na przykładzie działalności ruchu LGBTI+, który stale oskarża państwa chroniące tożsamości rodziny i małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny o łamanie praw człowieka.

Dzieje się tak pomimo faktu, że wiążące dokumenty stanowiące podstawę funkcjonowania Organizacji Narodów Zjednoczonych nie tylko nie formułują tego typu kategorii „praw”, lecz także w sposób niepozostawiający wątpliwości chronią naturalną rodzinę jako podstawową komórkę społeczną. Mówią o tym wprost Powszechna deklaracja praw człowieka oraz przyjęte 20 lat później Międzynarodowe paktów praw obywatelskich i politycznych oraz Międzynarodowy pakt praw gospodarczych, społecznych i kulturalnych. O tym, jak ważna jest dla rozwoju dziecka rodzina oparta na związku kobiety i mężczyzny, jasno mówi także Konwencja o prawach dziecka.

Przykłady wspomnianych już oskarżeń, szczególnie względem Polski, można jednak mnożyć. Żeby nie szukać daleko – Polska została niedawno uznana przez organizację ILGA-Europe (największe zrzeszenie aktywistów LGBTI+ w Europie) za miejsce najbardziej wrogie osobom o skłonnościach homoseksualnych czy zaburzeniach tożsamości płciowej w Europie. Podstawą tej krzywdzącej oceny nie były jednak żadne empiryczne badania rzeczywistej sytuacji tych osób w Polsce, lecz... zniekształcone doniesienia medialne i fake newsy oraz całkowicie wymyślone kategorie „praw człowieka”, których nie sposób szukać w żadnym międzynarodowym dokumencie wysokiej rangi. Okazuje się, że ochrona praw rodziców, rodziny czy tożsamości małżeństwa, która przecież wynika wprost z polskiej konstytucji i ma swoje źródło we wspomnianych już traktatach, dla ILGA-Europe ma być koronnym dowodem na systemowe łamanie „praw” człowieka osób LGBTI+ w naszym kraju. Trudno takie tezy traktować poważnie – niestety, są one pożywką dla różnej maści lewicujących polityków.

MOTOR ZMIANY

Wydawać by się mogło, że międzynarodowe instytucje mające stać na straży systemu praw człowieka nie powinny poddawać się ideologicznej presji, jaka



Promocja postulatów LGBT jest elementem szerszego procesu, który można zaobserwować nie tylko w ONZ

jest wywierana przez organizacje skrajnej lewicy. Przecież międzynarodowy system ochrony praw człowieka powstał właśnie po to, by nie dopuścić do kolejnych eksperymentów społecznych i arbitralnej ingerencji w jego podstawowe struktury. Niestety, mamy do czynienia z sytuacją zupełnie odwrotną – instytucje międzynarodowe, w tym w szczególności ONZ, są obecnie głównym motorem ideologicznej zmiany i działają w niemalże doskonałej symbiozie z neomarksistowskimi ruchami. Stosują one już od lat z powodzeniem taktykę, która otwarcie zakłada celowe pominięcie lokalnych i „opornych” na postępowe pomysły struktur społecznych po to, by narzucić je z góry.

Jak to się więc stało, że jasna i będąca przedmiotem międzynarodowej zgody treść traktatów jest dziś ignorowana lub wypaczana?

Promocja postulatów LGBT jest elementem znacznie szerszego procesu, który można zaobserwować nie tylko w ONZ, lecz także w innych organizacjach międzynarodowych. Jego celem jest – pisząc w skrócie – uniezależnienie się w największym możliwym stopniu od państw członkowskich i stworzenie z międzynarodowych gremiów organizacji autonomicznych, a nawet pod niektórymi względami nadrzędnych.

Realizacji tego procesu służyć ma, po pierwsze, stopniowe zwiększanie kompetencji powstałych w ramach ONZ (ale także UE) ciał monitorujących realizację postanowień traktatów. To właśnie zasiadającym w nich samodzielnym „ekspertom” zawdzięczamy w dużej mierze coraz to nowsze „kategorie praw człowieka”, do których zaliczają się „prawo do bezpiecznej aborcji”, „prawa tęczyowych rodzin” czy „prawa do samookreślenia płci”. Tworzone przez nie coraz to nowsze urzędy (choćby utworzony w 2016 r. Specjalny Sprawozdawca ONZ ds. LGBT) zajmują się powielaniem tworzonej przez nie narracji, przez co niewprawiony obserwator rzeczywiście może odnieść wrażenie, że stanowi ona element uzgodnionego już od lat języka.

Po drugie, w bezpośrednim związku z tendencją przywłaszczania coraz



mylnego – jednym z jego postanowień ma być wprowadzenie do oficjalnego, traktatowego języka ONZ nowej definicji pojęcia „gender”, tak by odnosiło się ono do koncepcji samookreślenia płci, czyniąc z płci kategorię całkowicie płynną i zależną wyłącznie od subiektywnych odczuć. Postulaty te nie biorą się znikąd – są bezpośrednim efektem prowadzonej od lat działalności wspomnianych już organów „eksperskich”, czego dowodem jest otwarte powoływanie się we wspomnianych dokumentach chociażby na niewiążące raporty Sprawozdawcy ONZ ds. LGBTI+.

Podsumowując – celem mnożenia coraz to nowszych niewiążących wytycznych, raportów, poradników, postanowień, komentarzy jest stworzenie niepostrzeżenie podkładki pod nowe, rewolucyjne prawa, a ich celem będzie głęboka, odgórna ingerencja w istniejące struktury społeczne.

OD „MOWY NIENAWIŚCI”

Promocja postulatów ruchów LGBTI+ na forum publicznym nie zaczęła się jednak wczoraj, ale trwa już od wielu lat.

szerszych prerogatyw przez tzw. organy eksperckie pozostaje stale zwiększająca się rola „soft law”. Wpływ na rzeczywistość i język, jakim posługują się organy międzynarodowe, pierwotnych ustaleń traktatowych czy nawet decyzji podejmowanych przez państwa większością głosów podczas zgromadzeń ogólnych jest coraz mniejszy. Głównym punktem odniesienia stają się zamiast tego niewiążące dokumenty, wytyczne, techniczne poradniki czy raporty – wszystkie pisane według ideologicznego klucza.

To właśnie w odwołaniu do takich dokumentów powstają projekty nowych rezolucji czy nawet pierwsze projekty traktatów. W ostatnim roku dużym echem odbił się projekt rezolucji, która miała być przyjęta podczas sesji Rady Praw Człowieka w Genewie, a której celem było pod pozorem walki z dyskryminacją kobiet... umożliwienie mężczyznom brania udziału w sportowych zawodach kobiet na podstawie samej deklaracji o identyfikowaniu się jako kobieta!

Wciąż toczą się również obrady nad traktatem dotyczącym ścigania zbrodni przeciwko ludzkości. Na pierwszy rzut oka jest to dokument, który wydaje się nie mieć nic wspólnego z ideologicznymi postulatami, jakimi zarzucają nas dziś radykalni działacze. Nic bardziej

Pierwszym pojęciem wykorzystywanym do promocji ruchów LGBTI+ była „mowa nienawiści”, która z czasem zaczęła być interpretowana przez niektóre międzynarodowe organy w sposób rozszerzający. Mało kto wie, że propagatorem tego pojęcia był już od 1948 r. Związek Sowiecki

Pierwszym pojęciem do tego wykorzystywanym była „mowa nienawiści”, która z czasem zaczęła być interpretowana przez niektóre międzynarodowe organy w sposób rozszerzający. Mało kto wie, że propagatorem tego pojęcia był już od 1948 r. Związek Sowiecki. Jest swoistym paradoksem, że penalizacja mowy nawołującej do nienawiści i przemocy pojawiła się w prawie międzynarodowym za sprawą państw, w których krytyka panującej władzy i totalitarnej ideologii była surowo zakazana.

W ciągu kolejnych dziesięcioleci po przyjęciu przepisów dotyczących mowy nienawiści w Międzynarodowym pakcie praw obywatelskich i politycznych pojęcie to zaczęło być stopniowo rozszerzane i coraz częściej używane do cenzurowania niewygodnych poglądów. Na marginesie można wspomnieć, że Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu już dziś jako

przykład „homofobicznej mowy nienawiści” wskazuje wszystkie opinie prowadzące do „dyskomfortu psychicznego”, a mianem negatywnych stereotypów określa przywiązanie do tradycyjnych wartości.

Do poruszenia pozostaje jeszcze jeden wątek – jasne jest już, że przedstawiane jako „prawa człowieka” roszczenia ruchu LGBTI+ dotyczące podważenia małżeństwa, ingerencji w wolność słowa czy wolność gospodarczą nie mają z „prawami człowieka” wiele wspólnego. Czy mają one jednak jakiekolwiek uzasadnienie w faktach?

Okazuje się, że wbrew forsowanej przez te środowiska narracji polityka antydyskryminacyjna oparta na ideologicznych przesłankach i głębokiej ingerencji w podstawowe struktury społeczne wcale nie jest skuteczna. W grudniu 2020 r. Agencja Praw Podstawowych Unii Europejskiej opublikowała badania dotyczące samopoczucia osób identyfikujących się z subkulturą LGBTI+ w Europie. Jak można się z nich dowiedzieć, Polska nie odstaje pod względem poziomu życia tych osób od podawanych za przykład państw zachodnich.

Co więcej, w pewnych obszarach, takich jak skala bullingu w szkole, która w Polsce jest niższa niż w innych państwach europejskich, czy dostęp do służby zdrowia, nasz kraj pozytywnie się wyróżnia.

Wszystko zmierza do tego, byśmy byli sterowani przez wybieranych w całkowicie nietransparentny sposób „ekspertów” wydających z pominięciem wszelkich procedur dokumenty kreujące międzynarodową rzeczywistość, a następnie wpływające na systemy prawne państw członkowskich. Nie ma to nic wspólnego ani z praworządnością, ani z demokracją, ani z prawami człowieka, ani z faktami. Świadomość toczących się na arenie międzynarodowej procesów może jednak skutecznie pomóc nam w sprzeciwianiu się tym niebezpiecznym tendencjom.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest dyrektorką Centrum Prawa Międzynarodowego Instytutu Ordo Iuris.



ks. Paweł Bortkiewicz

Dzieje ekspansji homoseksualizmu to dzieje – delikatnie mówiąc – wyjątkowo ostentacyjnego mijania się z prawdą

Pytanie, od którego warto zacząć, brzmi: Czy homoseksualizm jest chorobą, zaburzeniem czy problemem etycznym? Świadomie pomijam w nim tezę, że homoseksualizm nie jest ani chorobą, ani problemem etycznym, gdyż jest to teza narzucana dzisiaj. Wiadomo, że narracja współczesna, dyktatura poprawności politycznej określa „homoseksualizm” co najwyżej jako „inność”. To określenie, unikające jak diabeł święconej wody prostej odpowiedzi na pytanie, czy zjawisko, o którym mowa, jest chorobą, zaburzeniem czy normą, próbuje zasugerować jakąś bliskość normalności.

DOGMAT GENETYCZNY

Z pytaniem o istotę zjawiska wiąże się pytanie o przyczyny jego powstania. Wchodzimy tutaj w bardzo ożywioną, choć zarazem zaledwie kilkudziesięcioletnią dyskusję. Do niedawna obowiązującym dogmatem środowisk homoseksualnych był ten o genetycznych uwarunkowaniach homoseksualizmu. Można tu przytoczyć informację prasową z niedalekiej przeszłości: „Jak donosi brytyjski »Guardian«, podczas dorocznego spotkania Amerykańskiego Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju Nauki (American Association for the Advancement of Science) ogłoszono wyniki badań, z których wynika, że na orientację seksualną mogą mieć wpływ geny zlokalizowane na dwóch różnych chromosomach. [...] Które dokładnie geny wchodzi w rachubę i jaki jest mechanizm ich działania, nie jest jeszcze jasne, ale wszyscy z 400 badanych mężczyzn o orientacji homoseksualnej mieli podobne markery genetyczne w tych obszarach”.

Gdyby faktycznie istniały dowody na bezwarunkowo wrodzony charakter homoseksualizmu, miałyby to ogromne konsekwencje. Przede wszystkim niemożliwa byłaby reorientacja seksualna (tak jak niemożliwa jest np. zmiana rasy). A skoro homoseksualiści stanowiliby naturalną mniejszość w społeczeństwie,



FOT. ADÖBE STOCK

Od choroby do standardów edukacji seksualnej

niezdołną do modyfikacji, należałoby im nadać przywileje podobne do posiadanych przez inne naturalne mniejszości.

Simon LeVay dowodził także, na podstawie zróżnicowanej liczby neuronów INAH3 w podwzgórzu homoseksualnych i heteroseksualnych mężczyzn, że orientacja seksualna jest w jakiś sposób uwarunkowana biologicznie. Niekoniecznie zauważał przy tym, że jego badania objęły grupę 19 homoseksualistów zmarłych na AIDS, co mogło dowodzić przede wszystkim tego, że wirus HIV może powodować zmiany w mózgu, stąd obserwowane różnice mogą być skutkami AIDS, a nie przyczyną homoseksualizmu.

Z czasem, gdy elementarna uczciwość zaczęła dochodzić do głosu, zaczęto przyznawać, że nie ma żadnego „genu homoseksualizmu”, a skłonności homoseksualne są uwarunkowane przede wszystkim wpływami środowiska i kultury. Udział genetyki można w tych przypadkach szacować na 1 proc. Ostatnim głosem w tej dyskusji wydaje się publikacja wyników badań naukowych amerykańskich ekspertów z Broad Massachusetts Institute of Technology, opublikowanych w 2019 r. w „Science”. Teza postawiona w wyniku tych badań brzmi: homoseksualizm nie jest wrodzony, nie istnieje „gen homoseksualizmu”.

Czy zakończy to dyskusję? Raczej należy w to wątpić. Dzieje ekspansji homoseksualizmu to dzieje – delikatnie mówiąc – wyjątkowo ostentacyjnego mijania się z prawdą. Inaczej ujmując – to doskonała ilustracja marksistowskiego rozumienia prawdy, która nie jest zgodnością umysłu z rzeczywistością, ale kreowaniem rzeczywistości mocą narzuconej z pomocą propagandy siły.

Wystarczy spojrzeć na kluczowy dla ekspansji ruchu homoseksualnego Raport Kinseya.

WIELKA KREACJA KINSEYA

Od XIX w. do lat 60. XX w. w kulturze znany był męski homoseksualizm utożsamiany z pasywnością i ze zniewieszczeniem, traktowany jako zaburzenie nie-licznych. O miłości lesbijskiej praktycznie nie było słyhać. I oto nagle w połowie XX w. pojawiła się wyłoniąca z nicości „uciskana społecznie mniejszość”. A stało się to za sprawą pierwszego Raportu Kinseya z 1948 r. i pierwszych danych statystycznych w nim zawartych. Według nich 10 proc. (sic!) Amerykanów popadło w zachowania homoseksualne.

Na podstawie tych danych „specjaliści”, tacy jak psycholog E. Hooker, Rorschach czy były duchowny Laud Humphreys, okazali „wsparcie” grupowej tożsamości homoseksualistów. Stało się to podstawą do walki o prawa cywilne rozpoczętej w 1968 r. W ramach tej walki „prześladowania za homoseksualizm” stały się porównywalne z prześladowaniami za rasę, przy czym w tej poruszającej analogii nie brano pod uwagę, że w przypadku rasy nie ma wyboru, w przypadku zaś orientacji seksualnej – wybór jest.

Ojcem rewolucji seksualnej okazał się Alfred Kinsey. To jego „badania” miały udowodnić, że życie seksualne Amerykanów wygląda zupełnie inaczej, niż to opisywano, i że zdrada oraz perwersje są w Stanach Zjednoczonych na porządku dziennym.

Nie było i dla wielu nadal nie jest istotne to, że „badania” Kinseya są wątpliwe naukowo, a także karygodne etycznie. Wyznawcy Kinseya nie baczą na to, że w swoich „pracach badawczych” ściśle współpracował z gwałcicielami dzieci, a nawet z nazistą – pedofilem i mordercą dr. Fritzem von Balluseckiem. Podczas procesu w 1957 r. wyszły jego powiązania z Kinseyem, które jednak zostały ujawnione tylko w prasie niemieckiej, amerykańska je przemilczała.

Niektórzy, choćby autor biografii Kinseya, Jonathan Gathorne-Hardy, uważają, że prawdziwe motywy działań nie były związane z nawet pozorowaną nauką, ale z programem społecznym, którego celem była rewolucja moralna w Ameryce. Kinsey wywołał ją za pomocą „badań”, które „wstrząsnęły Ameryką”: 10 proc. amerykańskich mężczyzn było w pełni homoseksualnych przez okres co najmniej trzech lat, a 37 proc. mężczyzn przynajmniej raz w życiu miało kontakt homoseksualny zakończony orgazmem.

Siła tych „rewelacji” musiała być ogromna, skoro na przykład niejaki Harry Hay, po zapoznaniu się z „badaniami” Kinseya, porzucił swoją żonę oraz dzieci i „zapoczątkował rewolucję w prawach gejów w latach 60. ubiegłego wieku”.

Wiele wyników badań ulega korektom, ale nie dotyczy to „badań” Kinseya. Na przykład w artykule „Zbrodnie nienawiści” z 2003 r. w piśmie „Niebieska Linia” autor, przyznając asekuracyjnie, że nie ma twardych danych, lecz jedynie szacunkowe, pisze: „W Polsce organizacje zrzeszające osoby homoseksualne i biseksualne (m.in. Lambda, Kampania Przeciwko Ho-

mofobii) oceniają, że mamy do czynienia z co najmniej 2 mln osób o tej orientacji seksualnej. Zdaniem Krzysztofa Boczkowskiego 10 proc. mężczyzn w Polsce było, co najmniej przez trzy lata swojego życia, aktywnymi homoseksualistami (Boczkowski 1992, s. 25)”.

Kiedy przeprowadzano badania w latach 80. i 90. XX w. w Stanach, tylko 1 proc. mężczyzn twierdził, że jest homoseksualny, a 2–3 proc. brało udział w jakichkolwiek kontaktach homoseksualnych w swoim życiu. Cóż, tym gorzej dla faktów...

Swoje rewolucyjne wyniki Kinsey pozyskał w co najmniej rewelacyjny sposób. Zarówno współautor Raportu Kinseya, Paul Gebhard, jak i autorka krytycznego filmu o Kinseyu, dr Reisman, wskazują, że autor owego raportu znalazł od 1,3 tys. do 1,4 tys. przestępców seksualnych, których zakwalifikował jako „normalnych, przeciętnych mężczyzn”.

ZABURZENIE DO 1993 R.

To właśnie na podstawie tego raportu, tych „badań” homoseksualiści w latach 1970–1973 przypuścili szturm na Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne (APA). Dotychczas zdecydowana większość psychiatrów, psychologów i wychowawców stwierdzała, że homoseksualizm jest zaburzeniem, którego istotą jest brak adaptacji do heteroseksualnych norm współżycia, przyjętych we współczesnej cywilizacji. W 1972 r. pojawiło się jednak formalne żądanie do Komisji Terminologicznej APA o klasyfikację „zaburzeń orientacji seksualnej”, która obejmuje „wyłącznie osoby niezadowolone z orientacji bądź pragnące ją zmienić”. Zarazem postulowano, by tę kategorię odróżnić od homoseksualizmu, „[...] bowiem sam w sobie nie musi być on zaburzeniem psychicznym”. W 1981 r. Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy skierowało rezolucję do WHO, by usunąć homoseksualizm z Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób (ICD). W 1987 r. WHO przychyliła się do tych żądań, a w 1993 r. wydała oświadczenie, że „orientacja seksualna nie może być rozpatrywana jako zaburzenie”.

Niemal nikogo dzisiaj nie zastanawia, że decyzja WHO nie jest owocem badań naukowych, ale chorego umysłu Kinseya i wynikiem presji oraz konformizmu społeczno-politycznego. To nie jest istotne. Istotne jest to, że WHO locuta, causa finita. Tylko czy to satysfakcjonuje człowieka myślącego?





Z wiceministrem sprawiedliwości Marcinem Romanowskim rozmawia Tomasz Rowiński

TOMASZ ROWIŃSKI: Czy Ministerstwo Sprawiedliwości dostrzega zagrożenia związane z presją ideologiczną wywieraną na Polskę?

MARCIN ROMANOWSKI: Istnieje całe spektrum zagrożeń oraz narzędzi do wywierania takiej presji na Polskę. Wykorzystanie części z nich mogliśmy obserwować w ostatnich miesiącach na forum międzynarodowym. Przykładem takiej presji jest „mechanizm warunkowości”, który wiąże budżet unijny z przestrzeganiem wartości unijnych, takich np. jak równość, niedyskryminacja. W interpretacji aktualnego lewicowego establishmentu brukselsko-berlińskiego są one całkowicie arbitralnie, ideologicznie pojmowanymi antywartościami. Mogą oznaczać np. wymóg legalizacji

Sformułowania w rodzaju „obiektywizm”, „rzetelność”, „równość państw członkowskich” to jedynie puste słowa.

Polska jest traktowana na równi z innymi państwami członkowskimi Unii Europejskiej?

Niestety nie. Podam przykład. W grudniu ubiegłego roku, tego samego dnia wydane zostały dwie całkowicie wykluczające się opinie rzeczników generalnych Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w bliźniaczo podobnych sprawach. W pierwszej, która dotyczyła Malty (C-896/19), nie stwierdzono naruszenia prawa UE, a w drugiej, dotyczącej Polski (C-824/18), znaleziono odpowiedni „paragraf”. Jak na dłoni widać, że europejski establishment inaczej traktuje

W tym kontekście warto wymienić też niedawny projekt rezolucji Parlamentu Europejskiego w sprawie aborcji w Polsce.

To projekt, który bezprawnie wykracza poza regulacje traktatowe i jest niekonstytucyjny w polskim porządku prawnym. Zarówno Komisja, jak i Parlament Europejski pozatraktatowo starają się wywierać nacisk ideologiczny na Polskę, oczekując od nas ustępstw w innych obszarach. My natomiast oczekujemy partnerskiego dialogu zamiast kolejnych grózb odebrania unijnych funduszy samorządom. Komisarz Dalli zrobiła to z pominięciem polskiego rządu, a jej oskarżenia w sprawie rzekomych stref wolnych od LGBT były całkowicie fałszywe i dawno zdemaskowane jako marna prowokacja lewicowego aktywisty. Takimi działaniami pani komisarz wraz z politykami opozycji niszczą reputację Polski, a także przyczyniają się do tworzenia atmosfery strachu i nienawiści.

Polska stawia tamę obcym ideologiom

związków homoseksualnych i adopcję przez nie dzieci w Polsce.

Problem w warunkowości widzą zresztą także zagraniczni profesorowie prawa konstytucyjnego. Chociażby Francuzka Anne-Marie Le Pourhiet. Jej zdaniem mechanizm ten stanowi ograniczenie w Unii Europejskiej prawa do samostanowienia narodów poprzez uniemożliwienie obywatelom wyboru konserwatywnych idei w ramach demokratycznych procedur wyborczych. Może to doprowadzić do całkowitego marginalizowania, a wręcz wykluczenia myślenia konserwatywnego w Europie. Kryteria oceny przestrzegania prawa unijnego są całkowicie arbitralne, co pokazał już Raport Reyndersa dotyczący stanu praworządności w krajach UE.

Polskę. W ocenie TSUE każda prawna procedura może być naruszeniem prawa Unii, o ile pochodzi z polskiego systemu prawnego. Jeżeli jest obecna w prawie innego kraju, to problemu nie ma. Dlatego wiara, że UE nie ma zamiaru ingerować w polską tożsamość i wartości, jest lekkomyślnością. Mam tego przykłady. Orzekając o zgodności prawa polskiego z europejskim, TSUE chciałby decydować o definicji rodziny w Polsce. Polskie sądy, opierając się na polskim prawie, odmawiają bowiem wpisania do polskich akt obcego aktu urodzenia, w którym jako rodziców wskazano osoby tej samej płci. Można jednak obawiać się ewentualnego rozstrzygnięcia TSUE wkraczającego w wyłączne kompetencje państw członkowskich.

Czy Polska ma sukcesy w zmaganiach z presją ideologiczną?

Oczywiście, w pamięci mam chociażby słowa byłego już premiera Holandii Marka Ruttego, który załżył się, że Polska i Węgry skutecznie zablokowały szkodliwą inicjatywę dotyczącą upowszechniania ideologii gender. Rutte chciał, żeby termin „gender” został włączony do tekstu rezolucji o Afryce. Nasze stanowisko, jako Ministerstwa Sprawiedliwości, jest zawsze jednoznaczne: w aktach prawnych i dokumentach UE nie ma miejsca na ideologię, oczekujemy poszanowania naszej tożsamości narodowej w ramach Unii. Tak było i tym razem. Zablokowanie takich inicjatyw to wielki sukces Polski na forum międzynarodowym! Musimy stać na straży

■ swojej konstytucyjnej tożsamości oraz suwerenności. Nie usiedliśmy przy europejskim stole dla samego siedzenia. Obowiązują bowiem zasady partnerskiej gry, w której gracze są równi, nie równi i równiejsi.

Jakie inne działania ministerstwa może pan wskazać?

Wśród sukcesów Ministerstwa Sprawiedliwości trzeba też wymienić walkę o uratowanie holenderskiego dziecka przed eutanazją. Tuż przed Wigilią tzw. wolne sądy zadecydowały o odebraniu dziecka rodzicom i wydaniu go Holendrom. To skandal. Ministerstwo Sprawiedliwości i prokuratura stanowiąc zainterweniowały w tej sprawie, podejmując próbę wstrzymania wykonania tego orzeczenia. Istnieje bowiem uzasadnione ryzyko, że chłopiec może być poddany eutanazji w Niderlandach. Zresztą Holandia od wielu lat stanowi forpoctę lewackiej ideologizacji, z którą mamy do czynienia w Unii Europejskiej. Na szczęście bronimy się przed tym skutecznie. Niedawno Holendrzy przegrali w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie odmowy wykonania europejskich nakazów aresztowania, które wydały dwa polskie sądy.

A co z konwencją stambulską?

To przede wszystkim dzięki wzmoczonej presji ze strony Ministerstwa Sprawiedliwości i środowiska Solidarnej Polski została ona skierowana do Trybunału Konstytucyjnego celem zbadania zgodności jej postanowień z polską konstytucją. To oczywiście krok w dobrą stronę, chociaż jako środowisko Solidarnej Polski niezmiennie stoimy na stanowisku, że konwencja jest na tyle szkodliwa, iż powinna zostać po prostu wypowiedziana na gruncie prawa międzynarodowego.

Jaka jest tu podstawa tego wniosku do Trybunału Konstytucyjnego?

Zgodnie z polską konstytucją źródłem praw i wolności jest wrodzona, równa, nienaruszalna oraz niezbywalna godność każdego człowieka, a także równość między kobietami a mężczyznami oparta na ich komplementarnej roli, zarówno w rodzinie, jak i w całym społeczeństwie. Natomiast konwencja to genderowy koń trojański, który promuje totalitarną nowomowę rodem z dystopii Orwella. Wystarczy

Jako środowisko Solidarnej Polski stoimy na stanowisku, że konwencja stambulska powinna zostać po prostu wypowiedziana

wychowanie nazwać presją, a normalność stereotypem, by propagandowo legitymizować inwazję państwa w sferę życia rodzinnego. Podam tutaj przykład. Artykuł 6 konwencji domaga się włączenia pojęcia i tym samym ideologii gender do wszystkich istotnych sfer życia społecznego, co budzi poważne wątpliwości w kontekście polskich standardów konstytucyjnych, takich jak art. 18, którego celem jest ochrona małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Ważna jest tutaj także sfera językowa. Przede wszystkim pojęcie „gender” nie można tłumaczyć jako „płeć społeczno-kulturowa”, lecz należy je starannie odróżniać od pojęcia płci. W Konstytucji RP nie znajdziemy także przepisu zobowiązującego do indoktrynowania dzieci niestereotypowymi rolami „genderowymi” (art. 14 konwencji). Dlatego liczę na to, że Trybunał Konstytucyjny wprost wskaże, że konwencja stambulska jest niezgodna z polską konstytucją, polskim porządkiem prawnym oraz istotą praw człowieka. Nie widzę tutaj innej możliwości pod kątem prawnym i proceduralnym.

Środowiska lewicowe i liberalne mówią, że konwencja stambulska chroni kobiety przed przemocą.

To oczywiście kłamstwo lewicy i liberałów, którzy wykorzystują ofiary przemocy domowej do walki politycznej. Konwencja stambulska nikogo nie chroni. Poza warstwą genderową nie przewiduje bowiem żadnych konkretnych narzędzi chroniących ofiary przemocy. Zresztą konwencja błędnie identyfikuje same przyczyny przemocy, widząc je w tradycyjnych rolach męskich, kobiecych, w rodzinie i tradycji. To zwykły manifest neomarksistowski i promocja antykultury. Prawdziwy przełom w ochronie ofiar przemocy domowej stanowi dopiero powstała w Ministerstwie Sprawiedliwości tzw. ustawa antyprzemocowa, która weszła w życie w grudniu.

Przyznała ona policji uprawnienie do wydania sprawcy przemocy nakazu natychmiastowego opuszczenia mieszkania zajmowanego wspólnie z ofiarą lub jego bezpośredniego otoczenia. Różnica między prawem, które my stanowimy, a wcześniejszym „standardem” konwencji stambulskiej to natychmiastowa izolacja sprawcy.

Czy resort sprawiedliwości angażuje się w pomoc samorządom atakowanym w związku z implementacją Samorządowej Karty Rodziny i podobnych dokumentów?

Ministerstwo działa w tym zakresie w sposób zdecydowany tam, gdzie ma ku temu podstawy prawne. Przykładowo gmina Tuchów stała się przedmiotem takich szykan. Ministerstwo Sprawiedliwości uwzględniło wniosek gminy o wsparcie finansowe i przyznało jej z Funduszu Sprawiedliwości 250 tys. zł na zakup sprzętu ratującego życie i zdrowie. To kwota trzykrotnie wyższa niż ta, o jaką gmina zabiegała we wniosku o środki unijne.

To jednak niejedyny dział. Ostatnio Ministerstwo Sprawiedliwości zgłosiło też swoje uwagi do projektu „Krajowego Programu Działań na rzecz Równego Traktowania”, mając na względzie dobro polityki prorodzinnej w Polsce. Nie może bowiem być tak, że program równościowy w istocie pogłębia nierówności. W pierwotnym kształcie dokumentu można dostrzec m.in. dyskryminację rodziców pozostających w związku małżeńskim, którzy określani są mianem „partnerów”, czy dyskryminację kobiet wychowujących z satysfakcją swoje dzieci w domu, chociażby poprzez użycie pojęć takich jak „obarczenie” i „obciążenie” w stosunku do opieki nad dziećmi i wypełniania obowiązków rodzinnych. W ocenie Ministerstwa Sprawiedliwości program ten powinien zwrócić uwagę na sytuację odwróconej dyskryminacji, w której osoby zarzucające innym stosowanie dyskryminacji w stosunku do nich same nie chcą stosować przepisów prawa. Przykładem mogą być tu osoby utożsamiające się z ideologią LGBT.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Romanowski

– sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, doktor nauk prawnych, były dyrektor Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości.



Věra Jourová, wiceszefowa Komisji Europejskiej, jest zaangażowana w walkę o „prawa osób LGBT”

FOT. RICCARDO PAREGGIANI/EU/EP



Paweł Skrzydlewski

Prawdziwy charakter aktywności czołowych polityków UE to promowanie cywilizacji śmierci

• This with a view of adoption well in time ahead of the 2024 Elections
• To: summarize: On behalf of the Commission I can assure you that we will do our best to ensure that citizens' confidence in our democratic process and decision-making only increases in the years to come.

Europejscy rewolucjoniści

Czołowi politycy UE nie przestają nas zdumiewać ani szokować. Wyśuwają dziś nie tylko absurdalne żądania poprawy „stanu demokracji” w RP czy nowych form i zasad „polityki proekologicznej”, zgodnie z którymi musimy ostatnio zlikwidować wszystkie kopalnie węgla! Wymagają także wprowadzenia tzw. edukacji seksualnej w szkołach, kompleksowych

działań na rzecz „praw osób z grupy LGBTIQ” i wielu, wielu innych działań, które istotnie niszczą ład cywilizacyjny w Europie, przyczyniając się przede wszystkim do ruiny samego człowieka, jego rodziny, społeczności narodowej i państwowej.

O ile jednak z wielkim trudem możemy odbudowywać swą niepodległość w dziedzinie ekonomicznej

(materialnej), o tyle trudno zachować niepodległość i normalność w dziedzinie duchowej, tam, gdzie systemowo wprowadza się do ludzkiego ducha zniewolenie i nienormalność. To niestety dzieje się w wielu obszarach UE. I to zazwyczaj w jakiejś masce dobra, aby wyłudzić współpracę osób pragnących dobra. Istnieje więc pilna potrzeba pozbycia się tej maski dobra.

■ Gdy patrzymy dziś na działania licznych polityków UE, pojawia się w nas ciągle zdumienie i zadajemy sobie pytania: Jak mogło do tego dojść? Jak można tworzyć tak obłąkańcze ideologie i praktyki, realizować to wszystko na terenie Europy? Rodzi się także pytanie: Co mamy czynić, jako rodzice, osoby wierzące oraz przywiązane do cywilizacji łacińskiej, do swego narodu? Czy wobec tych działań mamy zachowywać się biernie i czekać, kiedy doprowadzą one do jeszcze większych niż współcześnie poważnych zaburzeń, nie tylko w dziedzinie kultury, edukacji i wychowania, lecz także w całej przestrzeni życia społecznego i gospodarczego?

Z całą pewnością bierność jest zawsze formą zgody na zło, a także ułatwieniem złu przenikania do życia ludzkiego. Jak jednak w praktyce przeciwdziałać temu złu? Przede wszystkim przez ukazywanie prawdy o człowieku, a także tych, którzy prawdy tej nie przyjmują, a nawet nią gardzą.

Pogarda ta jawnie i jasno się ukazuje tam, gdzie jest zgoda na eutanazję, aborcję i w ogólności promocję tego, co nazywamy cywilizacją śmierci. Gdy chcemy wyjaśnić prawdziwy charakter wielu aktywności czołowych polityków UE, takich jak Věra Jourová i komisarz do spraw równości Helena Dalli, musimy wskazać na cywilizację śmierci, której politycy ci służą i którą chcą pod maską równości, praw i wolności, tolerancji faktycznie wprowadzić. Czy im się to uda? Wiele w tej materii zależy od nas.

„UNIA RÓWNOŚCI”

Nie tak dawno – 12 listopada 2020 r. – Komisja Europejska przedstawiła „unijną strategię na rzecz równości lesbijek, gejów, osób biseksualnych, transpłciowych, niebinarnych, interseksualnych i queer (LGBTIQ)”. Strategia ta, jak to wyjaśniała Věra Jourová (serdeczna i niezmordowana obrończyni praw osób LGBTIQ), zrodziła się z przekonania, że „każdy powinien czuć się wolny, by być tym, kim jest – bez strachu, że będzie za to prześladowany”. Jourová dodała, wyjaśniając, o co tak naprawdę chodzi, że „taka jest Europa i takie jest nasze stanowisko”. Europa (a raczej UE) zatem jest zdaniem czołowych przedstawicieli władz UE już nie tyle kontynentem, na którym mają rozwijać się osoby ludzkie w oparciu o przyro-

Europa zdaniem czołowych przedstawicieli władz UE jest już nie tyle kontynentem, na którym mają rozwijać się osoby ludzkie w oparciu o przyrodzone i niezbywalne prawa człowieka dane od Pana Boga, ile przestrzenią, gdzie głównym problemem jest brak równości, wolności i przestrzegania praw osób LGBTIQ

dzone i niezbywalne prawa człowieka dane od Pana Boga, w ramach których istnieje rodzina powstała za sprawą związku małżeńskiego kobiety i mężczyzny, ile przestrzenią, gdzie głównym problemem jest brak równości, wolności i przestrzegania praw osób LGBTIQ. UE i jej władze mają zatem już nie tyle walczyć o prawo do życia człowieka, ile oddać się walce z tym wszystkim, co przeszkadza tzw. prawu do równego traktowania.

Věra Jourová, jak można przypuszczać, wie, co mówi i czego się domaga, gdyż jest z wykształcenia nie tylko filozofką, lecz także prawniczką, i jako czołowy polityk strzeże w całej UE „wartości i przejrzystości” (cokolwiek by to znaczyło). Jej zdaniem „ta pierwsza strategia na poziomie UE wzmocni nasze wspólne wysiłki, aby zapewnić wszystkim prawo do równego traktowania”. Unia Europejska ma się zatem stać przestrzenią równości. Oczywiście nie chodzi tu o równość osób wynikającą z przyrodzonej i niezbywalnej godności, z faktu bycia osobą, ale chodzi o taką równość, jaka miałaby rzekomo istnieć między osobami z racji ich preferencji i form pożycia seksualnego. Z czym jednak wiąże się w praktyce wspomniana tu strategia, która z całą pewnością dotknie także naszej ojczyzny?

DZIAŁANIA W RAMACH STRATEGII RÓWNOŚCI

Wyjaśnijmy, że w ramach tejże strategii w latach 2020–2025 ma w całej UE być uruchomiony program, który podejmie walkę prawną o tzw. zrównanie osób reprezentujących LGBTIQ w dziedzinie zatrudnienia. Będzie to element działań, który skoncentruje się na tzw. walce z dyskryminacją. Walka ta obejmie nie tylko dziedzinę prawa, lecz także obyczajowości, komunikacji, sztuki i – jak można sądzić – edukacji oraz nauki, bo przecież „walka z dyskryminacją” musi być totalna, aby przynieść efekty!

W dalszej kolejności w ramach programu podejmie się działania „zabezpieczające bezpieczeństwo”, gdyż – jak się wyjaśnia – osoby LGBTIQ ciągle w całej przestrzeni UE są narażone na nienawiść i przemoc, a szczególnie na doświadczanie mowy nienawiści z racji swych preferencji i praktyki życiowej.

Przewidziane są tu działania finansowe, które mają uruchomić inicjatywy informujące ogół o atakach i zagrożeniach, mówi się także o poważnym wsparciu tych przedsięwzięć i instytucji, które podejmą się skutecznej działalności na rzecz „zabezpieczenia bezpieczeństwa”.

Być może zatem osoby, które np. będą nazywały cały ruch LGBTIQ ruchem ideologicznym i niemoralnym, będą musiały być nie tylko dla „bezpieczeństwa” uciszane, karcone choćby finansowo, lecz także pozbawiane dotychczasowych funkcji oraz środków, którymi mogłyby sprzeciwić się tej nowej „strategii równości”.

Nic nie jest tu wykluczone, bo całe działanie, powstające tu prawo i praktyka mają swoje uzasadnienie w przyjętych „wartościach”, a te są wiadome i już ustanowione. „Przejrzystość w wartościach” i sam fakt poszanowania wartości „leży wszak głęboko na sercu” czołowym przedstawicielom UE. Nie należy się zatem dziwić, jeśli w ramach troski o „wartości i przejrzystość”, w ramach „zapewnienia bezpieczeństwa” będzie trzeba poddawać wiele osób „prawdziwej europejskiej resocjalizacji”, która skutecznie nakłoni do respektowania „tęczyowych wartości”.

Jakby tego miało być mało, pojawić się ma także cały wachlarz działań, które doprowadzą do „ochrony praw tęczyowej rodziny”, czyli wspólnot osób LGBTIQ, w których one trwają i często wychowują dzieci. Jak bowiem zauważono, „prawa tychże rodzin” są łamane, choćby przez istniejący w poszczególnych państwach system prawa, który np. nie uznaje tzw. tęczyowych rodzin.

Docelowo ma zatem powstać ustawa prawna, która zapewni równe, powszechne traktowanie tychże „rodzin” na terenie całej wspólnoty UE. Będą one nie tylko tolerowane, lecz także – jak należy sądzić – obdarowane analogicznymi uprawnieniami co rodziny oparte na związku małżeńskim kobiety i mężczyzny. Będą zatem mogły wychowywać, edukować potomstwo, które wcześniej w jakiś sposób „nabęda”, bo przecież nie mogą go począć. Nie przeszkadza tu, że prawdziwe dzieci stają się „majątkiem i własnością”, mogą zostać kupione. Nie jest to oczywiście dla wielu postępowych zwolenników „tęczowych rodzin” żadna forma powrotu do niewolnictwa i jego praktyk, ale konieczne wzmocnienie równości, wolności i praw osób LGBTIQ.

Wreszcie przedstawiciele UE w latach 2020–2025 mają podjąć cały szereg działań na arenie globalnej celem „wprowadzenia równości osób LGBTIQ na całym świecie”, gdyż – jak się wyjaśnia – osoby te w wielu częściach świata cały czas są prześladowane, doznają przemocy i nie mają szansy na ochronę swych praw.

A zatem ostatecznie nie chodzi tylko o samą UE, ale o zmianę na całym świecie!

IDEOLOGIE PRZYCZYNĄ NIEŁADU

Trzeba tu zaznaczyć, że główna przyczyna prześladowania osób LGBTIQ w świetle zakładanych tu przesłanek tkwi w religii, w przyjmowaniu przez ludzi przekonania o tym, że jest jakiś niezależny od człowieka (demokracji) ład dobra, z którym musimy się liczyć i który musimy szanować, że istnieje stała natura ludzka. Nic takiego dla wielu czołowych polityków UE nie istnieje, bo wszystko jest ostatecznie dziełem konsensusu, który ma prowadzić do powszechnego zadowolenia wszystkich.

Te wszystkie rewolucyjne działania na pewno ułatwi i wzmocni nowo wybrany prezydent USA, który „jako specyficzny katolik” otworzy niejedną drogę współpracy z „postępową, a nawet rewolucyjną” częścią UE, starając się w niemal każdej dziedzinie życia wprowadzić swe rewolucyjne pomysły na likwidację rzekomego rasizmu i faszyzmu.

Eutanazja osób starych lub chorych; małżeństwa jedнопłciowe wraz z „prawami osób LGBT+”, które mogą adopto-

wać dzieci; tzw. prawa kobiet, które dają szansę do „legalnej”, dotowanej z funduszu państwa aborcji – to tylko kilka elementów, które koniecznie muszą zostać urzeczywistnione na terenie UE i na całym świecie.

Gdzie leży źródło tego szaleństwa? Przede wszystkim w ideologiach, które zdomowały się w świadomości licznych społeczności UE. Społeczności te dbają o to, aby ci, którzy mają najwięcej do powiedzenia w zjednoczonej Europie, realizowali cele i zadania wynikające wprost lub pośrednio z wyznawanych ideologii. Nie zrozumiemy dziś UE, jej działań bez świadomości ideologii, które żywo inspirują polityków.

Eutanazja osób chorych lub starych, małżeństwa jedнопłciowe – to tylko kilka elementów, które muszą zostać urzeczywistnione w UE

Z perspektywy teologicznej, a także zdroworozsądkowej, filozoficznej, źródłem tego całego ideologicznego szaleństwa jest generalnie nienawiść do Pana Boga i Jego zamysłów, prawa, porządku, jaki On ustanowił. Szczególnie nienawiść ta dotyczy Kościoła katolickiego i głoszonej przez niego nauki społecznej, moralnej, antropologicznej. Postępowi Europejczycy zasiadający we władzach UE, najczęściej idąc za Marksem, widzą w religii „opium”, czyli środek otumaniający, alienujący człowieka, od którego trzeba wszystkich uwolnić nawet wtedy, jeśli nie ma na to zgody wierzących.

Wierzą oni także w Zygmunta Freuda, w jego wizję człowieka jako istoty czysto biologicznej, miotanej instynktem, zniewolonej różnymi kompleksami, z których może się on wyzwolić, jeśli porzuci w ogóle rozum i odda się orgii zmysłów, przełamując kolejne tabu.

Politycy ci podziwiają także i szczerze naśladują Fryderyka Nietzschego i jego przekonanie, że kultura jest oparta tylko na „wartościach”, które można dowolnie stanowić, by ostatecznie wybudować w Europie dom „dla ostatniego człowieka”. Człowiek ten już nie będzie musiał się rozwijać, ale będzie zawsze tym, kim chce być, będzie doskonały.

Wołanie Nietzschego oznajmiające „śmierć Boga” bardzo przypadło do gustu europejskim politykom. Uznaniem cieszy się także przekonanie niemieckiego myśliciela: „Co jest szkodliwsze niż jakikolwiek występki? – Litość czynna dla wszystkiego, co nieudane i słabe – chrześcijaństwo [...]”.

Żeby jednak ten nowy raj (raj przede wszystkim w kolorach tęczy) urzeczywistnić, decydenci muszą faktycznie zlikwidować to wszystko, co nowemu porządkowi się sprzeciwia. Tym czymś są ład i zasady świata zachodniego. Dlatego nowy człowiek zjednoczonej, nowej Europy nie może być już ani biały, ani czarny, nie może być kobietą ani mężczyzną, matką czy ojcem, Polakiem czy Węgrem – bo to by go określało, zakorzeniało w jakiejś tradycji i cywilizacji, naturze, w czymś, co byłoby pierwsze przed nim. On musi być wolny od determinacji, równy, a przede wszystkim szczęśliwy, tzn. zadowolony z siebie, żyjący przyjemnie, bez trosk. Dlatego potrzebuje uwolnienia od stereotypów, wierzeń, swej narodowości, swego państwa, a nawet rodziny i płciowości.

Nowy Europejczyk musi kierować się zaleceniami choćby Petera Singera, który poucza, że „musimy chronić swoją wolność i swoje prawo do zaprzeczania istnieniu boga, a także do krytyki nauczania Jezusa, Mojżesza, Mahometa i Buddy, które poznajemy z ksiąg przez miliardy ludzi uważanych za święte. Co więcej, ponieważ czasem trzeba pewnej dozy humoru, by upuścić powietrza z balonu świątobliwej pobożności, wolność słowa musi obejmować wolność do kpin i szyderstw”.

Czy jednak proponowany przez UE nieład zapanuje? Nie musi. Wiele zależy od nas, od naszej diagnozy tego, gdzie są źródła ideologiczne proponowanych zmian. Jeśli źródła te zostaną jasno rozpoznane, to z całą pewnością odrzucona zostanie także polityka na nich oparta i pojawi się szansa na normalność, na realizm. Realizmu i normalności tej uczy nie tylko Tradycja Kościoła, lecz także filozofia św. Tomasza z Akwinu. W tym musimy dziś szukać wsparcia dla naszych rodzimych działań, zmierzających do zachowania siebie, swej suwerenności i niepodległości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Chelmie.



Z Arkadiuszem Stelmachem, wiceprezesem Stowarzyszenia im. ks. Piotra Skargi rozmawia Łukasz Karpiel

Kogo wolno dyskryminować, a kogo nie?

ŁUKASZ KARPIEL: „Antydyskryminacyjna” – słowo to bardzo często słyszymy w kontekście ochrony podstawowych praw. Tymczasem praktyka pokazuje, że działania te noszą znamiona dyskryminacji i wymierzone są głównie w obrońców tradycyjnej rodziny, moralności. Dlaczego?

ARKADIUSZ STELMACH: Niejako drugą stroną antydyskryminacyjnego medalu jest „równość”. Jest to pojęcie – jak wskazywał Plinio Corrêa de Oliveira – naczelne dla rewolucji, która już od zarania renesansu jawi się jako pewien spójny,

zorganizowany ruch, mający na celu zlikwidowanie ładu opartego na prawie naturalnym i chrześcijańskim. W zamian wprowadzany jest nowy pseudoład wymyślony przez ideologów. Ta równość – co zauważył wspomniany brazylijski myśliciel – jest gnostyczna i egalitarna. Zatem też w głębokiej ideologii prądów rewolucyjnych ów aspekt równościowy odgrywa bardzo ważną rolę.

Główny problem polega na rozumieniu owej równości. Nakładają się tu dwie koncepcje. Pierwsza z nich mówi o uprawnionej równości. Tutaj każdy człowiek ze swej natury, z powołania do bycia z Bogiem, jest równy. Pewne zaś różnice wynikają – mówiąc językiem metafizyki – nie z samej „istoty” człowieka, ale z „przypadłości”. To podział naszych powołań wprowadza zróżnicowanie. Wraz z postępem cywilizacyjnym dochodziło do kolejnych podziałów zadań, charyzmatów, nastąpiła cała mozaika różnorodności. Owszem, bywało, że pojawiły się niesprawiedliwości, choćby podboje kolonialne. Mamy dokumenty kościelne z XVI w. potępiające niewolnictwo czy – mówiąc współczesnym językiem – dyskryminujące traktowanie. Sięgnijmy jeszcze wcześniej – do Pawła Włodkowica, który na soborze w Konstancji w obliczu konfliktu polsko-krzyżackiego dokonał kapitalnej wykładni katolickiej myśli. Wskazywał on, że nie możemy napadać ludów pogańskich, grabić ich dóbr, bo one ze swej godności przyrodzonej mają prawo do samostanowienia. Nie można ich do niczego przymuszać – tak jak państwo krzyżackie próbowało to czynić wobec Litwinów. Niby jest to rzecz oczywista, ale jesteśmy ludźmi grzesznymi, więc te błędy się zdarzają. Niemniej Kościół, państwo, ludzie dobrej woli winni dbać o to, by system prawa państwowego, prawa międzynarodowego eliminował wszelkie tego rodzaju nadużycia.

Druga koncepcja to nurt egalitarny, rewolucyjny, który cały czas się rozwija i radykalizuje. Tak oto na przestrzeni wieków już wskazywano nam, że w kontekście nauczania nie może być przywilejów dla urzędu papieskiego, dla Kościoła, bo każdy chrześcijanin jest równy, ma osobistą relację z Bogiem, więc sam może interpretować naukę Kościoła, jak chce. W dobie rewolucji francuskiej ta narracja uległa modyfikacji. Mówiono, że nie ma uprzywilejowanej grupy, która będzie nami rządzić. Równamy! Tak

skończono z arystokracją. Na tym nie koniec. Pojawiają się Hegel, potem Marks i komunizm. Co słyszymy? Że nie może być tak, iż jakaś grupa skupia spory kapitał w swoich rękach. Znów trzeba było „równać”. Wszystko w imię niedyskryminacji i dziejowej sprawiedliwości.

Kolejne mutacje komunizmu sprawiły, że pojawiły się sięgające do myśli marksistowskiej nurty feministyczne. Poczęły one postrzegać męskość i kobiecość jako wytwory kultury patriarchalnej. Nowymi burżujami stali się mężczyźni. To oni – wedle tej narracji – wymyślili sobie męskość oraz narzucili ją całej cywilizacji, i tak pognębili kobiety, które musiały się dostosować oraz zaakceptować swoją podległość. Na czym zatem będzie polegała sprawiedliwość? Ano na dekonstrukcji zastanego porządku. Na „uwolnieniu” się od skostniałego konceptu kulturowego, zrelatywizowaniu go, pokazaniu, że opiera się on na niesprawiedliwości. A skoro tak, to istnieje potrzeba „sprawiedliwego” rozłożenia przywilejów na wszystkich, po równo.

Nie jest żadną tajemnicą, że na pierwszym etapie rozwoju człowieka opiekę nad dzieckiem najlepiej sprawuje matka. Teraz jest to dyskryminujące podejście. Kobieta ma się realizować już nie jako matka i żona – to nie jest jej pierwsze powołanie. Kobieta ma funkcjonować na rynku pracy na równi ze wszystkimi. Macierzyństwo ma być rozłożone na innych. Nie mówię, że ojciec ma nie zajmować się dzieckiem. Przeciwnie. Niemniej zdrowy rozsądek podpowiada, że lepiej dla dziecka jest, gdy w tej wczesnej fazie rozwoju główną rolę odgrywa matka. Ojciec zaś winien zadbać o byt rodziny. Jest to model dziś bardzo mocno atakowany.

W efekcie macierzyństwem obdzielamy wszystkich, byle nie matkę, a państwo ma tej „uwięzionej w domu” kobiecie zapewnić pakiet usług, który pozwoli jej szybko funkcjonować w życiu społecznym, na rynku pracy itd. „na równi” ze wszystkimi.

Mamy tu do czynienia z poglądem, że ciąża, poród, dom, macierzyństwo, wychowanie dziecka sprawiają, iż kobieta jest wyłączona z tego lepszego, sprawiedliwego świata kariery, pracy, doskonalenia zawodowego i edukacji, z których to wynikają władza, przywileje. Zatem w tej koncepcji kobieta preferująca tradycyjny styl życia jest co do zasady dyskryminowana i schodzi niejako do niższej kategorii ludzi.

I tu z pomocą przychodzą UE, ONZ, które oferują pakiet działań „antydiskryminacyjnych”...

Już w latach 80. i 90. ideolodzy promujący rewolucyjny styl walki z dyskryminacją rozpoczęli marsz przez instytucje. Dzisiaj widzimy jego efekty. Udało się tę rewolucyjną myśl przemycić do wszystkich instytucji życia publicznego, także do Kościoła. Obecnie owa ideologia mocno widoczna jest w działaniach organizacji międzynarodowych, które zostały skażone radykalną myślą marksistowską, feministyczną. W tym kontekście pojawiła się koncepcja zrównoważonego rozwoju. Obowiązującym dziś dokumentem wyznaczającym tu kierunki działań jest Agenda 2030. Owo zrównoważenie ma dotyczyć każdej dziedziny życia. Widzimy zatem, że niedyskryminacja znakomicie tu pasuje.

Jednak radykalne, neomarksistowskie koncepcje idą jeszcze dalej. Przez to, że zrelatywizowano płeć, kiedy w dokumentach czytamy o wzmocnieniu roli kobiet, wiemy, że stwierdzenie to znaczy dziś co innego, niż nam się wydaje. Kobieta dziś może być np. transseksualny mężczyzna albo ktoś, kto identyfikuje się jako kobieta. Spójrzmy na przypadek „Margot”. Uznał on, że jest kobietą, więc liberalne media, politycy posłusznie tak go określali. Nowomowa międzynarodowej rewolucji stojącej za Agendą 2030 mówi „kobieta”, a tam już stoi całe grono chętnych, którzy chcą się załapać na ten wagonik.

Czy jeśli spojrzymy na podejmowane działania antydiskryminacyjne, to okaże się, że najbardziej chronioną i promowaną grupą są środowiska LGBT+?

Powiedziałbym, że na przywileje mogą liczyć mniejszości, ze szczególnym uwzględnieniem mniejszości seksualnych.

Dlaczego właśnie te środowiska są tu najważniejsze?

One najlepiej wpisują się w to postmodernistyczne szaleństwo dekonstrukcjonizmu rzeczywistości. W tej filozofii wrogiem jest rzeczywistość, włącznie z tą najwyższą rzeczywistością nadprzyrodzoną, jaką jest Pan Bóg. Trzeba pamiętać, że z Panem Bogiem marksiści już się „rozprawili”, teraz zaś za cel obrali sobie wszelkie przejawy Absolutu. Celem są niezmiennie, naturalne prawa, które zakorzenione są w Bogu. Wszystko, co może prowadzić do Stwórcy, jest znięta-

widzone. Dlatego owa rzeczywistość jest poddawana dekonstrukcji. Równocześnie tworzony jest miraż, że budowana jest lepsza rzeczywistość. Gdy jednak przyjrzymy się owemu lepszemu światu, przekonamy się, że nie ma w nim nic dobrego. Są tam tylko negacja i zniszczenie.

Dzisiaj już to doskonale widzimy, kiedy np. ideolodzy ogłaszają, że nie istnieje kategoria płci, bo tych jest kilkadziesiąt. A to szaleństwo równościowe rozciąga się dalej, międzygatunkowo – mowa tu o ekologicznie. W tej koncepcji wrogiem nie jest już mężczyzna, burżuj, arystokrata, papież, ale człowiek, który rości sobie prawo do miana korony stworzenia. Co zatem słyszymy? Że na równi trzeba traktować każdego robaczka i człowieka. To samo się tyczy strumyków, drzew, lasów...

Idąc za tą narracją, można odnieść wrażenie, że konserwatyści są szaleńcami i chcą doprowadzić świat do zagłady. Nic podobnego! Ruch ekologiczny wyrasta z myśli konserwatywnej. To te środowiska były przerażone skutkami rewolucji przemysłowej, rozszałałym kapitalizmem i wskazywały na prawidłowy sposób podejścia do ochrony przyrody.

Gdzie jest kres tego szaleństwa?

Kresem jest dekonstrukcja, czyli zniszczenie. Nie widać tu innego finału. Oczywiście ludziom serwowana jest panteistyczna wizja jakiegoś raj na ziemi, nowego, lepszego świata, w którym razem w jedność, ku szczęśliwej przyszłości mają podążać nie tylko ludzie, lecz także wszystkie gatunki. To odejście od zasady subsydiarności. To miraż. Ucieczka od rzeczywistości zawsze kończyła się porażką. Cóż nas może czekać, jeśli odrzucimy rozum, jeśli odrzucimy hierarchię i prawdę o stworzeniu świata przez Boga oraz o zbawieniu rodzaju ludzkiego? Człowiek nie zbuduje raju na ziemi. Oczywiście, owoce cywilizacji chrześcijańskiej są wspaniałe i możliwe jest ulżenie wielu ludziom w biedzie i nieszczęściu, ale trzeba tu współpracować z Bożą Łaską i szanować wolną wolę każdego człowieka. Tego nie ma w neomarksistowskiej wizji świata. Wprowadza się pod przymusem pewną ideologię. Dokumenty międzynarodowe opisujące Agendę 2030 na rzecz zrównoważonego rozwoju wyraźnie mówią, że nikt z tego projektu nie może być wyłączony. Ten plan musi objąć wszystkich, bez wyjątku – czy tego chcemy, czy nie.

Po co LGBT aborcja?



Krystian Kratiuk

Wydawać by się mogło, że osoby żyjące w związkach jedнопłciowych nie muszą się angażować w promocję aborcji. A jednak program wielu organizacji promujących tolerancję wobec „osób LGBT” zawiera również wezwania do legalizacji zabijania niechcianych dzieci. Dlaczego?

Kiedy z aresztu wychodził aktywista tzw. ruchów równościowych, znany opinii publicznej jako „Margot”, cieszył się już z finansowego wsparcia dla jego organizacji. Dzięki nagłośnieniu aresztowania „Margot”

jego koledzy aktywiści mieli zebrać ok. 400 tys. zł (choć zatrzymanie nie miało nic wspólnego z tożsamościowymi sprawami „Margot” – aktywista został bowiem oskarżony o to, że demolował furgonetkę fundacji pro-life i napadł na jej kierowcę).

Po wyjściu z aresztu, zapytany, na co zamierza wydać 400 tys. zł, odpowiedział: „[...] zebrane pieniądze będziemy przekazywać na rzecz organizacji, które nie mają szansy na dofinansowania, bo zajmują się organizowaniem aborcji na żądanie, kupując transmłodzieży bindery na święta czy organizują posiłki dla bezdomnych”.

„Nieheteronormatywna” jest także Marta Lempart, najbardziej znana w tej chwili promotorka aborcji w Polsce. Sama wielokrotnie przyznawała, że jest lesbijką, deklarując także, że nie lubi dzieci i nigdy nie miała instynktu macierzyńskiego. Żyjąc w lesbijskim związku, nie można zająć w niechcianą ciążę, więc

niejeden z obserwatorów życia publicznego zadawał sobie pytanie: Dlaczego pani Marcie tak zależy na tym, by można było w Polsce dokonywać aborcji? Lempart porwała za sobą prawdziwe tłumy, a wśród znaków proaborcyjnego protestu, wieszaków, plakatów z logo Strajku Kobiet i wulgarnych napisów powiewały dziesiątki, a nawet setki tęczowych flag i innych symboli okraszonych tą przejętą przez ruch LGBT kolorystyką. To model sprawdzony już w innych krajach – choćby w Irlandii czy Argentynie.

Co zatem łączy na zdrowy rozum w żaden sposób nieuzupełniające się postulaty? Łączy je chęć przeprowadzenia antychrześcijańskiej rewolucji. Założenia obu tych ruchów opierają się bowiem na chęci doszczętnego zniszczenia tego, co jeszcze pozostało z niegdyśiejszej cywilizacji chrześcijańskiej. Cała agenda lewicowa pragnie głównie odwrócenia dzieła Bożego Stworzenia, dlatego neguje się nienaruszalność ludzkiego

życia i nawołuje do depopulacji (wbrew biblijnemu zaleceniu: „Rozmnażajcie się”), neguje się naturalną wyższość monogamicznego damsko-męskiego małżeństwa nad innymi rodzajami relacji intymnych, podważa się istnienie jedynie dwóch płci (wbrew biblijnemu sformułowaniu „mężczyznę i niewiastę stworzył ich”), a nawet próbuje się zrównać zwierzęta i rośliny z ludźmi (wbrew nauce, rozsądkowi i biblijnemu zaleceniu: „Czyńcie sobie ziemię poddaną”). Jak widać, proces antychrześcijańskiej i antycywilizacyjnej, a w konsekwencji antyludzkiej rewolucji jest już bardzo zaawansowany, skoro jego piewcy zaprzeczają już nawet najbardziej podstawowym zapisom Księgi Rodzaju.

KONKRETY

Chcąc spojrzeć na zjawisko, o którym mówimy, nie poprzez pryzmat filozoficzno-teologiczny, ale przez okulary zwykłej, codziennej, krajowej i międzynarodowej polityki, odpowiedź na pytanie o relacje między organizacjami proaborcyjnymi a pro-LGBT zarówno w Polsce, jak i w innych miejscach świata brzmi następująco: łączy je wizja przyszłości, wizja, której realizacji pragną nie tylko przedstawiciele partii lewicowych chcących jak świat długi i szeroki zdobyć władzę dzięki poparciu ludzi przekonanych, że aborcja i przywileje dla mniej lub bardziej odchylonych od normy mniejszości seksualnych to wyraz „prawdziwej wolności”.

Chodzi o wizję nowego świata, z jak najmniejszą liczbą normalnych rodzin i co za tym idzie – z radykalnie zmniejszoną liczbą urodzeń. To kamień węgielny nowego świata. Wśród jego budowniczych i promotorów są ONZ, Unia Europejska i wielkie międzynarodowe korporacje. Brzmi to jak jedna z tysięcy teorii spiskowych krążących po sieci, jednak można tego dowiedzieć, korzystając z oficjalnych dokumentów.

Jesienią 2015 r. przywódcy państw ONZ przyjęli „Agendę na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030”, która według oficjalnego stanowiska jest dokumentem określającym „ambitny plan służący transformacji w pięciu dziedzinach mających kluczowe znaczenie dla ludzkości, do których należą: ludzie, planeta, dobrobyt, pokój i partnerstwo”. Określa 17 celów (w tym 169 zadań) znanych jako Cele Zrównoważonego Rozwoju, które należy osiągnąć do 2030 r., aby zapewnić wszystkim ludziom pokój i dobrobyt.

Agenda stanowi również polityczne narzędzie nacisku, gdyż – jak zauważyła Rozalia Kielmans-Ratyńska w raporcie Ordo Iuris na ten temat – po pierwsze, cele zawierają zalecenia konkretnych zmian prawnych oraz polityk, a po drugie – działania całego ONZ, w tym komitetów traktatowych oraz wszystkich agend około-ONZ-owskich i największych organizacji pozarządowych podporządkowane są Agendzie 2030.

To stwarza oczywistą możliwość wywierania presji na państwa w celu przyjęcia – zawartych w owych 17 celach – tzw. praw seksualnych i reprodukcyjnych odnoszących się do nieograniczonego dostępu do procedury aborcyjnej zabicia dziecka nienarodzonego, przyjęcia praw postulowanych przez środowiska homoseksualne oraz feministyczne, a także do upowszechniania i wdrażania „kompleksowej edukacji seksualnej”.

Według specjalistów Ordo Iuris – jednej z nielicznych organizacji w Polsce, która zwraca uwagę na plany tzw. zrównoważonego rozwoju oraz samej Agendy 2030 – zmierza to do osłabienia rodziny poprzez podważenie małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, a także do naruszenia dobra dziecka oraz podważenia praw i roli rodziców. Wszystko to dzięki sprytnemu zabiegowi – poprzez ideologiczną interpretację niejasnych terminów oraz wybiórcze dobieranie odpowiednich wskaźników mierzących postęp realizacji celów.

AGENDA A SPRAWA POLSKA

Unia Europejska, której Polska jest przecież członkiem, pragnie – jak czytamy na stronach Komisji Europejskiej – „zdecydowanie pełnić rolę prekursora we wdrażaniu agendy ONZ, wraz ze swoimi państwami członkowskimi. Cele zrównoważonego rozwoju znajdują odzwierciedlenie we wszystkich 10 priorytetach Komisji Europejskiej”.

Co na to polski rząd? Otóż Mateusz Morawiecki ogłosił kiedyś, że chcemy jako Polacy należeć do prymusów zrównoważonego rozwoju. Na forum unijnym polski rząd składał w 2018 r. obszerny raport z realizacji celów zrównoważonego rozwoju.

W Polsce, tak jak we wszystkich innych krajach Zachodu, zainstalowane są już komórki – najczęściej NGO – mające na celu promocję lub wprost realizację tych celów. Należą do nich organizacje zarówno homoseksualistów, jak i promo-

torek aborcji. To właśnie z tego powodu finansowane są one z zachodnich funduszy, dlatego czerpią z zachodniego know-how i z tego też powodu mają lepszy niż konserwatyści dostęp do wielkich mediów, a ostatnio nawet większą swobodę propagowania swych celów w mediach społecznościowych.

Co ciekawe, do „agentów zmiany” w Polsce należą nie tylko w żaden oficjalny sposób niezwiązane z instytucjami ONZ ruchy pro-death, pro-homo czy pro-animal, lecz także między innymi kilku celebrytów oraz... Szymon Hołownia (Polska nie 2030, ale nawet 2050!). Czy jest świadom, że jako oficjalny, certyfikowany przez ONZ „ambasador celów zrównoważonego rozwoju” służy między innymi dokończeniu rewolucji seksualnej i powszechnemu dostępowi do aborcji, od których przecież nieco się dystansował? Nie wiadomo.

CZY ZAREAGUJEMY?

Doskwiera brak poważnej analizy ONZ-owskiej Agendy 2030 przez środowiska konserwatywne. Czas się przebudzić, bo wraz z pandemią koronawirusa organizatorzy świata na nową modłę wyraźnie przyspieszyli. A większości polskich konserwatystów albo sprawa w ogóle nie interesuje, albo w mniej lub bardziej oficjalny sposób związani są oni z partią rządzącą, której liderzy wybrali taki, a nie inny kierunek rozwoju naszego kraju (składając przyjęcie 17 celów na ołtarzu stosunków z UE, USA i ONZ).

Jeszcze inne polskie organizacje konserwatywne całą tę opartą wszak wyłącznie na oficjalnych dokumentach opowieść o zagrożeniu płynącym z podpisanych również przez przedstawicieli Polski zobowiązań traktują jak historię o czarnej wółdze czy żelaznym wilku – a więc jako niewiarygodną teorię spiskową. Organizacje inne niż konserwatywne zwyczajnie zaś korzystają z rozlicznych ścieżek promowania Agendy 2030, propagując nad Wisłą radykalną zmianę paradygmatu, mającą diametralnie odmienić znany nam świat i pozbawić go jakichkolwiek cząstek cywilizacji tworzonej przez chrześcijaństwo w ciągu kilkunastu ostatnich stuleci.

Najwyższy czas na szeroką, poważną i nieogładową się na wewnątrzprawicowe podziały debatę na temat niezauważanej przez niemal nikogo Agendy 2030. Lada moment będzie za późno.



Jan Fiedorczuk

Co najmniej od sześciu lat opozycja gra według zasad, które wyznacza jej Jarosław Kaczyński. Ten, kto chce przejąć władzę, nie powinien ulegać regułom prezesa PiS, ale starać się wyznaczać własne

Profesor Antoni Dudek stwierdził niegdyś, że scenę polityczną III RP uformowały trzy fundamentalne podziały: postkomunistyczny, postsolidarnościowy oraz postsmoleński. Nie trzeba być szczególnie wnikliwym obserwatorem życia politycznego, by dostrzec, że każdy z nich zagospodarował na swój użytek Jarosław Kaczyński. Prezes PiS tym samym postawił się w centrum polskiej sceny politycznej. Fakt, że jest on obecnie najważniejszym politykiem w Polsce, nie podlega dyskusji, a zastanawiać się możemy jedynie nad tym, czy w historii III RP znajdziemy choć jedną postać podobnego formatu. Marcin Meller opowiadał kiedyś, jak podczas swoich zagranicznych podróży potrzebował jedynie 15 minut, aby z przypadkowo napotkaną Polką zacząć dyskutować o liderze Zjednoczonej Prawicy. „Jest w tym coś z jednej strony patologicznego, z drugiej strony myślałem, co on z nami zrobił? Czy brak rozmowy o Kaczyńskim nie jest udawaniem?” – zastanawiał się wówczas dziennikarz TVN24. Ta historia dobrze oddaje, jak mocno prezes PiS uzależnił od siebie scenę polityczną. Aby egzystować w polskiej polityce, trzeba odpowiedzieć na podstawowe pytanie: Czy należy się do zwolenników, czy przeciwników Kaczyńskiego? Wszystko inne to szczegóły.

Sęk w tym, że o ile był pewien okres, gdy ta polaryzacja działała na korzyść zarówno PO, jak i PiS, to co najmniej od 2015 r. zyskuje na niej jedynie obóz Jarosława Kaczyńskiego. Im większe wzmoczenie po stronie liberałów, tym obserwujemy większy kolaps sondażowy. Jest to skutkiem tego, że opozycja gra według zasad, które wyznaczył jej sam Kaczyński. Obrona sędziowskiej „nadzwyczajnej kasty” wpisuje się w PiS-owską krytykę elit III RP, maglowanie Polski przed europarlamentem pozwala rządzącym pozować na ostatnich patriotów, wielkie



Opozycja w świecie Kaczyńskiego

zjednoczenie opozycji w 2019 r. jedynie umocniło podział sceny na zwolenników i przeciwników Kaczyńskiego. Po sześciu latach siedzenia w ławach opozycji, po serii przegranych wyborów, po dwukrotnej zmianie szefa partii, na ostatniej konwencji liderzy PO zaprezentowali egzotyczną „koalicję 276”, której jedynym celem ma być... blokowanie wet Andrzeja Dudy. Gdyby krajową politykę porównać do partii szachów, to opozycja grałaby czarnymi. Każdy ruch PO jest jedynie odpowiedzią na wcześniejsze posunięcia rządzących. Aby dokonać przełomu, należy zaprzestać prób walki z prezesem PiS na jego zasadach.

ZMARNOWANY HOŁOWNIA

Przykładem ustawiania wszelkich działań pod dyktando PiS jest również ruch Szymona Hołowni. Powiedzieć, że

Polska 2050 jest zjawiskiem mgławicowym, to nie powiedzieć nic. To ugrupowanie całkowicie nijakie. A jednak były dziennikarz TVN cieszy się niestabilną popularnością, w niektórych sondażach nawet prześcigając Platformę Obywatelską. Dzieje się tak, bo ludzie jak powietrza poszukują partii, która będzie w stanie zastąpić PO na pozycji lidera opozycji. Przerażeni beznadziejnością partii Budki są gotowi pójść w ramiona nawet kogoś tak miękkiego jak Hołownia.

Tymczasem lider Polski 2050, jakby zupełnie nie rozumiejąc, że jego siłą jest stylizowanie się na alternatywę między Tuskiem i Kaczyńskim, próbuje dokonać tego samego manewru co Ryszard Petru kilka lat temu – chce przelicytować Platformę w byciu antypisem. Hołow-



Na ostatniej konwencji liderzy PO zaprezentowali egzotyczną „koalicję 276”, której jedynym celem ma być blokowanie wet Andrzeja Dudy

FOT. PLATFORMA.ORG

nia próbował już wcześniej dokonać tej wolty, podłączając się kilka miesięcy temu do Strajku Kobiet. Wówczas jednak Marta Lempart odprawiła go w swoim subtelnym stylu, tym samym (nieświadomie) wybijając go w sondażach. Polacy nie chcą zaostreżenia prawa aborcyjnego (pokazują to wszystkie badania), ale na pewno nie pochwalają też haseł typu „Aborcja jest OK”, jak również nie akceptują rynsztokowego zachowania Marty Lempart. Wynika to z tego, że Polacy ogólnie nie lubią radykalizmów, czego dowodzą wszystkie kolejne wybory. Wyborcy dali władzę Tusкови, bo ten obiecywał uspokoić sytuację po rządach PiS, dala zwycięstwo Kaczyńskiemu, gdy ten obiecał pogonić liberalne elity i zadbać o zwykłego Kowalskiego. Z tego samego powodu nie dopuścili do władzy KOD-ziarzy, tęczowej lewicy czy prawicy „na prawo od PiS”.

W ostatnich wyborach prezydenckich Szymon Hołownia był dla wielu „normal-sów” niezainteresowanych na co dzień polityką szansą na „trzecią drogę”, która pozwoli wyjść poza wojnę PO-PiS. Pełnił funkcję zbliżoną do tej, którą w 2015 r. odegrał Paweł Kukiz. Teraz jednak lider Polski 2050 sam siebie sprowadza do pozycji jedynie kolejnego pretendenta do tytułu największego antypisu. Nawet

jeżeli udałoby mu się połączyć PO, to nadal będzie jedynie świecił odbitym blaskiem Kaczyńskiego. Ludzie nie będą głosować na Hołownię, tylko na największego „nie-Kaczyńskiego”, a zatem zasady gry, które wytyczył prezes PiS, pozostaną niezachwiane. Scena polityczna będzie nadal kaczyńskocentryczna.

ODCIĄĆ PĘPOWINĘ

Obecnie rolę lidera sceny opozycyjnej odgrywa Platforma Obywatelska, która jednak pod czujnym okiem redaktorów TVN tak daleko zapędziła się w swym antypisowskim zaciętrzewieniu, że nie jest w stanie zaproponować żadnej konstruktywnej wizji dla Polski. PO jest zbyt słaba, by cokolwiek zmienić, i jednocześnie zbyt silna, by pozwolić na rozwinięcie się jakiegokolwiek partii zdolnej do zwycięstwa. Aby wyłamać się spod władzy Kaczyńskiego, aby wyrwać się z jego świata i stworzyć realną alternatywę dla Polaków, opozycja musi przestać grać rolę jedynie antypisu. Choćby dlatego, że miliony wyborców głosują na Zjednoczoną Prawicę i ignorowanie tych ludzi pozwala Kaczyńskiemu dzielić scenę polityczną według własnego uznania. Aby dokonać przełomu, potrzebny jest akt założycielski, który uwiarygodni aktora „trzeciej drogi” w oczach Polaków i pokaże, że nie jest on PiS-owcem, ale niekoniecznie jest mu po drodze z aferzystami, KOD-ziarzami, tęczowymi rewolucjonistami etc. Wierzę, że takim działaniem mogłoby być symboliczne odcięcie się od Donalda Tuska – największego lidera antypisu.

Nie tak dawno z okładki „Newsweeka” spoglądała na nas „Piątka Tuska”, czyli Borys Budka, Rafał Trzaskowski, Szymon Hołownia, Włodzimierz Czarzasty oraz Władysław Kosiniak-Kamysz. „Tylko zjednoczona opozycja może wygrać wybory z PiS. Trzeba wznieść się ponad urazy i antypatie, ale musi być ktoś, kto będzie łagodził spory, szukał kompromisów. Takim arbitrem może być Donald Tusk” – przekonywał Tomasz Lis, najwierniejszy fan byłego premiera. Problem w tym, że jest dokładnie na odwrót. Tekst naczelnego „Newsweeka” pokazuje, że czołowe środowiska wspierające opozycję mentalnie nadal tkwią gdzieś w latach 2014–2015 (a może i jeszcze głębiej), i to, jak bardzo są one zależne od narracji narzuconej przez Kaczyń-

skiego. Po pierwsze, nie wystarczy zjednoczyć opozycję, by pokonać PiS (co udowodniły choćby wybory do euro-parlamentu). Po drugie, Donald Tusk jest obecnie dla strony lewicowo-liberalnej obciążeniem, a nie atutem. Polacy po prostu już nie chcą jego powrotu. Dlatego w 2014 r. uciekał on do Brukseli, dlatego w zeszłym roku nie chciał zmierzyć się z Andrzejem Dudą. Dla urzędującego prezydenta Tusk byłby wymarzonym kontrkandydatem, byłby istnym szwarccharakterem z wizji, którą od lat snuje Kaczyński. Pomysł, że to właśnie założyciel Platformy ma być filarem, na którym oprze się opozycja, to najkrótsza droga do umocnienia władzy PiS. Tymczasem odcinając się od Tuska, opozycja wprowadziłaby dysonans w narracji prezesa PiS, umożliwiając sobie jednocześnie zejście do centrum i walkę o elektorat „normal-sów”.

Pierwszy, kto poważy się podnieść rękę na Tuska, zostanie okrzyknięty szaleńcem, a wiele „TVN-ów” obłoży go tymczasową infamią. Jednak poważnego polityka poznajemy właśnie po tym, że potrafi wyczuć odpowiedni moment i zaryzykować. Ba, czyż to nie sam Donald Tusk dokonał takiego „szaleństwa”, gdy zdecydował się, ku przerażeniu Michnika, złożyć do grobu jego ukochaną Unię Wolności? To właśnie ten manewr utworzył mu drogę do samodzielności politycznej. Bo koniec końców, kto przyszedł do kogo – Tusk do Michnika czy jednak Michnik do Tuska? Prawdziwy lider nie podąża ślepo za mediami. Czy opozycja jest w stanie wyłonić kogoś, kto miałby w sobie podobne spryt i determinację, by odciąć Tuskową pępówinę?

Przedstawiciele antypisu prezentują się jako oświeceni reformatorzy, którzy niosą na polskie ziemie zdobycze postępu. W rzeczywistości są jednak całkowicie uzależnieni od reguł, które wyznacza im Jarosław Kaczyński, od autorytetu Donalda Tuska czy od wieczornego wydania „Faktów”. Sapere aude, opozycjo! Jeżeli przeciwnicy PiS nie podejmą próby uniezależnienia się od prezesa PiS i nie wyjdą w końcu poza infantylną narrację o upadku demokracji, to zapewne rzeczywistą się niedawno zapowiedzi Krzysztofa Sobolewskiego, który w rozmowie z Radiem Zet wróżył Zjednoczonej Prawicy kolejne dwie kadencje samodzielnych rządów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Trzeba jasno powiedzieć, że neomarksizm stanowi obecnie ten nurt ideologiczny, który zdołał opanować świat akademicki oraz medialny mainstream. Kolejny atak jest właśnie przypuszczany na szkoły i dzieje się to na naszych oczach.

Jak narodził się i rozwijał ten nowy marksizm, czyli zrewidowana wersja poglądów Karola Marksa oraz Fryderyka Engelsa?

Najbardziej znana wypowiedź na temat transformacji klasycznego marksizmu pochodzi z książki prof. Jürgena Habermasa „Filozoficzny dyskurs modernizmu” z 1985 r. Najśłynniejszy żyjący przedstawiciel szkoły frankfurckiej (o której szerzej w kolejnych akapitach) opisał, w jakiej sytuacji znaleźli się epigoni Marksa na początku XX w.:

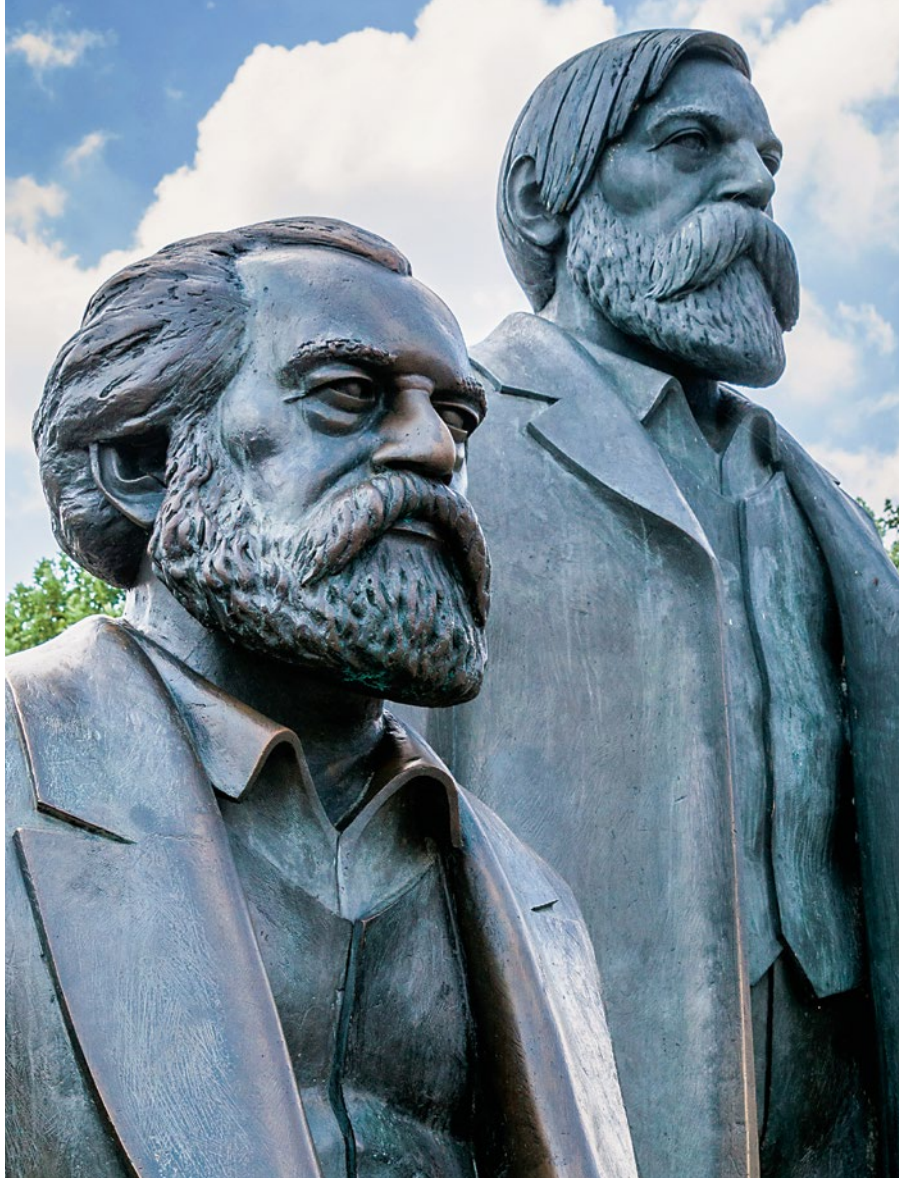
„Teoria krytyczna powstała w kręgu Horkheimera, aby przemyśleć przyczyny politycznego rozczarowania, jakie spowodowało fiasko rewolucji na zachodzie, rozwój stalinizmu w Rosji Sowieckiej i zwycięstwo faszyzmu w Niemczech. Teoria krytyczna miała wyjaśnić błędne marksistowskie prognozy, ale bez odrzucania marksowskich intencji”.

Zwróćmy uwagę na ostatnie zdanie, w którym Habermas przyznał, że frankfurczycy jedynie zweryfikowali przewidywania swojego mistrza, nie negując jednak dogmatów leżących u podstaw jego nauki. Tym samym ani nie zdradzili marksizmu, ani nie dokonali jego dekonstrukcji. Wręcz przeciwnie – wzbogacili go w duchu krytycznym, przenosząc rewolucyjną praktykę, owe „praxis”, na wyższy poziom zaawansowania.

TRANSFORMACJA KAPITALIZMU

Jak doskonale wiemy z historii, rewolucje komunistyczne, które wybuchły w Europie u schyłku pierwszej wojny światowej, zakończyły się całkowitym niepowodzeniem. Marksści pochwycili władzę jedynie w zacofanej Rosji. Klęska, którą ponieśli komuniści, zmusiła wielu teoretyków do poszukiwania przyczyn takiego przebiegu wydarzeń.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje postać Friedricha Pollocka, który wniósł ogromny wkład w marksistowską teorię ekonomii politycznej, czyli analizę procesów produkcji, podziału i wymiany dóbr. Otóż zajmował się przede wszystkim tzw. Staatskapitalismus, czyli kapitalizmem państwowym – systemem



FOT. JULIANE JACOBS/ADOBEE STOCK



Jakub Zgierski

Debatę publiczną w Polsce zdominowały spory światopoglądowe, głównie z pogranicza ekologii, feminizmu, idei multikulturowości czy praw mniejszości seksualnych. Przy tej okazji nie mogło zabraknąć oskarżeń o inspirację neomarksizmem, który w opinii wielu komentatorów kryje się za każdym z tych zjawisk

Szkoła frankfurcka

gospodarczym, w którym kapitalistyczne stosunki produkcji oparte na własności prywatnej zostały ograniczone przez kontrolę ze strony instytucji państwowych (etatyzm, interwencjonizm).

Wnioski, które wyciągnęli ówczesni lewicowi krytycy kapitalizmu, w tym Pollock, świetnie zreferował marksistowski prof. Harry Cleaver w książce z 1979 r. „Polityczne czytanie Kapitału”:

„Pod koniec lat 20. i w latach 30. krytyczny marksizm musiał uwzględnić nie tylko klęskę rad robotniczych, ale i dalsze dramatyczne zmiany w zarządzaniu kapitalistyczną akumulacją, związane z powstaniem europejskiego faszyzmu, »socjalistyczną« akumulacją w Związku Radzieckim i keynesowskim państwem z okresu amerykańskiego Nowego Ładu. Rezultaty są dość dobrze znane. Ustrój Związku Radzieckiego został uznany za kapitalizm państwowy (pogląd podzielany przez komunistów rad), Marcuse stworzył koncepcję jednowymiarowości, Horkheimer koncepcję kapitalizmu państwowego (w wersji »liberalnej«, »faszystowskiej« i »socjalistycznej«) jako państwa autorytarnego”.

W skrócie meritum sprawy można ująć następująco: w obliczu nadchodzącej rewolucji socjalistycznej system kapitalistyczny przepoczwarzył się w autorytarny, etatystyczny i – tu słowo klucz – faszystowski reżim, w którym tak naprawdę struktura własnościowa kapitału nie została naruszona. Liberalna burżuazja w obronie przed proletariackim zrywem nie tylko posłużyła się państwem jako narzędziem opresji, lecz także rozszerzyła jego funkcje socjalne. Masy robotnicze zostały z jednej strony siłą wyprowadzone poza obszar komunistycznej agitacji, a z drugiej skutecznie przekupione bogatą ofertą programów socjalnych, w tym możliwością organizowania się w związki zawodowe. Marksieści utracili poparcie społeczne, ponieważ proletariacki postawił na poprawę sytuacji doczesnej, odrzucając wizję pełnego „wyzwolenia”.

MIEDZY FASYZMEM A STALINIZMEM

W 1922 r. w mieście Ilmenau w środkowych Niemczech została zorganizowana specjalna konferencja pod nazwą „Pierwszy marksistowski tydzień roboczy”.

Wzięli w niej udział prominentni aktywiści i teoretycy ruchu komunistycznego, w tym m.in.: György Lukács, węgierski komunist, w okresie Węgierskiej Republiki Rad

Neomarksieści wiedzą, że upośledzenie takich instytucji jak Kościół czy rodzina musi doprowadzić do załamania fundamentów społeczeństwa

sprawujący funkcję komisarza ludowego ds. edukacji i kultury, odpowiedzialny za wdrażanie w szkołach agresywnej edukacji seksualnej; Eduard Alexander, członek Komunistycznej Partii Niemiec, zaangażowany wcześniej w rewolucyjny Związek Spartakusa; Konstantin Zetkin, członek Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, przez pewien czas kochanek Róży Luksemburg, i Béla Fogarasi, węgierski komunist i wysoki funkcjonariusz w czasie trwania Węgierskiej Republiki Rad.

Rok później przy Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie nad Menem został powołany Instytut Badań Społecznych. Był owocem wzmożonych dyskusji programowych, które znacząco wykroczyły poza zakres tygodniowej konferencji. Informacje o kulisach powstania tej placówki można odnaleźć m.in. w książce dr. Roberta Kościelnego „Śmierć Prometeusza albo lewą marsz! O marksizmie kulturowym”:

„Mimo dbałości o niezależność intelektualną i finansową uznano, że byłoby rozsądnie postarać się o afiliację przy tamtejszym uniwersytecie. Początkowo uważano, że nowo powstała placówka powinna nosić nazwę Instytutu Marksizmu (tak jak w Moskwie istniał Instytut Marksizmu -Leninizmu, na którym się wzorowano). Ostatecznie uznano jednak, że nazwa może być zbyt prowokacyjna, stąd wybrano inną nazwę – Instytut Badań Społecznych”.

Pierwsze lata funkcjonowania Instytutu nie przyniosły objawienia, chociaż obserwacje, które poczynili jego pracownicy, w tym wspomniany wcześniej Friedrich Pollock, okazały się trafne. Rewolucja na Zachodzie przegrała z socjalistyczno-etatystyczną konkurencją, chętnie sprowadzaną do etykiety „faszyzmu”, natomiast stalinowskie rządy w Związku Sowieckim zafundowały robotnikom nie raj, ale prawdziwe piekło na ziemi. Marksieści byli w kropce.

OD FABRYKI DO ŚWIATA KULTURY

Dariusz Rozwadowski w książce „Marksizm kulturowy. 50 lat walki z cywilizacją Zachodu” w następujący sposób

opisał przełom, do którego doszło w działalności instytutu:

„Zasadnicza zmiana nastąpiła w 1930 roku. Kierownikiem Instytutu został wówczas młody socjolog Max Horkheimer. Obok niego olbrzymi wpływ na zmianę oblicza szkoły mieli: Herbert Marcuse, psychoanalityk amator Erich Fromm oraz Theodor Adorno. [...] Pod przewodnictwem Maxa Horkheimera frankfurcki Instytut Badań Społecznych zaczął przekładać marksizm na terminy kulturowe. Olbrzymią w tym rolę odegrała psychoanaliza. Kluczem do przekonwertowania z kategorii ekonomicznych na kategorie kulturowe było zastosowanie freudyzmu”.

Metodę opisaną marksizmem w języku psychoanalizy wyjaśnił prof. Kevin MacDonald w swojej monumentalnej pracy „Kultura krytyki”:

„Na zasadnicze przejście z płaszczyzny socjologicznej na płaszczyznę psychologiczną Horkheimer i Adorno zdecydowali się w latach czterdziestych głównie dlatego, że proletariacki niemiecki poddał się faszyzmowi, a socjalizm w Rosji nie zapobiegł wyłonieniu się władzy autorytarnej [...]. Na tej nowej płaszczyźnie teoretycznej głównym problemem był autorytaryzm, którego źródła upatrywano w stosunkach rodzinnych, a przyczyny w wypaczeniu natury ludzkiej. Jednak szkielet formalny tej teorii wyrażono w tomie »Studien über Autorität und Familie«, poświęconym prezentacji stworzonej przez Fromma psychoanalitycznej teorii autorytarnych sado-masochistycznych stosunków rodzinnych i ich rzekomych związków z kapitalizmem burżuazyjnym i faszyzmem”.

O ile pierwsi pracownicy instytutu trafnie zdiagnozowali problem, o tyle dopiero nowy zespół, umownie określany mianem szkoły frankfurckiej, zdołał zaproponować skuteczny program działania. Jeżeli komuniści utracili wpływ na masy robotnicze w fabrykach, czyli w sferze produkcji, to należało zwrócić się w stronę kultury. Słusznie dostrzeżono, że system kapitalistyczny może funkcjonować dzięki instytucjom takim jak rodzina, Kościół czy oświata. Ich przejęcie i upośledzenie musi w efekcie doprowadzić do załamania fundamentów całego społeczeństwa. Trucizna, którą systematycznie wprowadza się do krwiobiegu, w końcu zabije nawet najbardziej odporny organizm. Ten mechanizm właśnie obserwujemy w Stanach Zjednoczonych oraz w Europie, w tym niestety w Polsce. Trwa długi marsz przez instytucje.



Teresa Stylińska

Mowa nasza powszednia, również w wydaniu publicznym, jest, niestety, coraz bardziej niechlujna, a Dzień Języka Ojczystego (21 lutego) staje się powoli dniem wołania na puszczy

Do telewizyjnych programów z udziałem polityków można mieć mnóstwo zastrzeżeń, ale jest z nich przynajmniej pewien istotny pożytek. Dzięki nim widz, a zatem potencjalny wyborca, ma możliwość ocenić, jak politycy mówią i jak się zachowują; kto jest dżentelmenem (albo damą), a kto dobrym obyczajom nagminnie uchybia; kto umie się poprawnie wyśłowić, a kto popełnia błędy, za które, jeśli chce się udzielać publicznie, powinien po stokroć się wstydzić.

Mowa nasza powszednia, również w wydaniu publicznym, jest, niestety, coraz bardziej niechlujna, a Dzień Języka Ojczystego (21 lutego) staje się powoli dniem wołania na puszczy. Większość gazet i innych mediów nawet nie pamięta, że jest dzień polszczyzny. Już chyba tylko Polskie Radio, jedyne medium, w którym nadal dba się o jakość słowa mówionego, poświęca mu należytą uwagę.

W kategorii osób publicznych poza politykami mieszczą się też naukowcy, eksperci, prawnicy, dziennikarze – wszyscy, którzy z wyżyn podium, z ekranu lub zza mikrofonu zwracają się do ogółu. Jak mówią? No cóż... Nie każdy jest świadom tego, że wypowiadanie się w Sejmie, w radiu czy w dyskusji na forum publicznym wiąże się z pewnymi wymogami, również językowymi.

W tym tekście nazwisk (z nielicznymi wyjątkami) nie będzie. Ważne jest meritum. Dodajmy też dla porządku, że krytyczne uwagi nie odnoszą się oczywiście do wszystkich. Nie brak ludzi, którzy nie ranią uszu słuchaczy albo nawet zasługują na brawa. Nie o nich jednak tu chodzi.

ZAPOMNIANE NAUKI

„Co do tych zarzutów z zaświatów, był taki film »Ghostbusters«, a ja jako wielbiciel »Gwiezdných wojen« dowiedziałem



się, że dziesiąty epizod to będzie, że dawno, dawno temu w odległej galaktyce znaleziono zeszyt, gdzie dziewczynka napisała, że w wieku pięciu lat Tomek Grodzki, również mający 5 lat, wyrwał jej zęba mlecznego, bo o to prosiła, dała mu 2 zł, a on jej nie dał faktury”.

Słowa te – cytat in extenso – padły w swoim czasie z ust marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, indagowanego przez dziennikarza o zarzuty korupcyjne. Każdy, komu choć trochę leży na sercu stan mowy ojczystej, słysząc to, musiał osłupieć. Żeby w paru krótkich zdaniach popełnić tyle błędów? W tym ten najdramatyczniejszy: „wyrwał zęba mlecznego”.

Przypomnijmy więc marszałkowi, że wyrwa się „zab mleczny”, bo w wypadku rzeczowników męskich nieżywoтных biernik równy jest mianownikowi. Taki błąd kompromituje nawet absolwenta liceum, a co dopiero profesora i trzecią osobę w państwie.

Druga sprawa to nieporadne przedstawienie wieku dzieci. Skoro „... dziewczynka napisała, że w wieku pięciu lat...”, można by sądzić, że chodzi o małego Tomka. Okazuje się, że jednak o nią samą, bo Tomek „również ma pięć lat”. Nic dziwnego, że litościwi dziennikarze to zdanie poprawiali, pisząc o „pięcioletniej dziewczynce”. Podobnie jak zmieniali

„epizod” na „część” – bo marszałek, wyraźnie ulegając przemożnemu wpływowi języka angielskiego, zapomniał, że angielski „episode” w odniesieniu do filmów czy seriali wcale nie znaczy epizod.

Przykro to skonstatować: niewielu jest dziś ludzi, których słucha się z przyjemnością czy choćby bez przykrości. I wcale nie chodzi o treść, lecz wyłącznie o formę: poprawność gramatyczną, trafne używanie porównań i zwrotów frazeologicznych, należyte akcentowanie, bezbłędne cytowanie sentencji łacińskich, wreszcie poprawne, acz bez przesady używanie obcych nazw i nazwisk.

PONAD PODZIAŁAMI

U specjalistów, którzy zajmują się wypowiedziami osób publicznych, da się zauważyć przekonanie, że choć błędy językowe nie mają wymiaru politycznego, bo popełniają je ludzie zarówno lewicy, jak i prawicy, to nie są to te same błędy. Lewicowcy, według ich obserwacji, mają kłopoty z wymawianiem końcówek „-ą”, stąd tak częste „robim” i „głosujom” albo też, w innym wariacie, „robio” i „głosujo”. Prawicowcy natomiast mają skłonność do niechlujnego wymawiania wyrazów i zwrotów czy do ich skracania, tak że w efekcie do odbiorcy docierają bełkotliwe strzępy słów i wyrażań.



FOT. AUBREY STUCK

wyborców innymi walorami. Można więc traktować ich braki językowe z większą wyrozumiałością. Naukowcy, analitycy, dziennikarze to zupełnie co innego. Powinni mówić poprawnie. Tymczasem ich wypowiedzi coraz częściej słucham ze zgrozą i choć wierzę, że politolog (socjolog, historyk, prawnik czy znawca wojskowości...) zna się na swojej dziedzinie, nie mam pewności, jak jest z jego wykształceniem ogólnym. A gdy mówę kaleczy dziennikarz, trudno nie pytać, co robi w zawodzie.

Co jednak zdumiewa najbardziej, to to, że wcale się tego nie wstydzą. Pewnie dlatego nie widać starań o poprawę, inaczej niż w owych zamierzczłych czasach, gdy starano się równać w górę. Niejednemu ekspertowi przydałyby się ćwiczenia z logopedą albo lekcje z polonistą. Margaret Thatcher brała lekcje, by poprawić swój wysoki, zbyt piskliwy głos. Bo wiele da się zrobić.

SIVITAS Z ERDOANEM

We Włoszech usłyszałam kiedyś zabawną teorię dotyczącą wymawiania cudzoziemskich słów, nazw i nazwisk. Otóż gdy Włoch nie wie, jak obcy wyraz wymówić, będzie to robić z angielska. Okazało się, że jest w tym dużo prawdy. Zupełnie inaczej poczynają sobie Francuzi, którzy każde obce nazwisko bez oporów wymawiają z francuska: Żeremek (Geremek) czy Bizek (Buzek). Co skądinąd dowodzi, że jako naród bez kompleksów nawet to, co obce, śmiało przerabiają na własną lingwistyczną modłę. Trochę podobnie poczynają sobie Czesi, opatrując nazwiska cudzoziemców rodzimą końcówką „-ova”. Na czele Komisji Europejskiej stoi więc Ursula von der Leyenova, a wiceprezydentem USA jest Kamala Harrisova.

W takim podejściu widać chwalebny szacunek dla własnych zasad i to, muszę powiedzieć, bardzo mi się podoba. Nam jednak, niestety, bliżej jest do Włochów. Oto prosty test: należy uważnie posłuchać, jak wymawiana jest nazwa Collegium Civitas. Okazuje się, że według większości, na czele z dziennikarzami, warszawska uczelnia ma w nazwie słowo „Sivitas”! Ci, którzy prawidłowo mówią „civitas”, są w zdecydowanej mniejszości. Świadczy to, z jednej strony, o powszechnej już nieznajomości łaciny, z drugiej zaś – o faktycznym uznaniu angielskiego za język wyznaczający standardy. A także – i to jest chyba najgorsze – o nieprzystoiwym lenistwie umysłowym, bo

mówiącym nie chce się ani sprawdzić, ani zapytać kogoś, kto wie.

Słowa i sentencje łacińskie to kategoria specjalna. Człowiek wykształcony powinien je znać, umieć wymawiać i trafiać ich używać. Czym innym natomiast są obce nazwy i nazwiska. A na tym polu, przynajmniej w telewizji, panuje istna wolnoamerykanka. Jeden mówi dobrze, inny źle, jeden się przykłada, inny wcale, i trudno oprzeć się wrażeniu, że każdy mówi, jak chce.

Językowym faworytem dziennikarzy stał się ostatnio prezydent Recep Tayyip Erdoğan, wymawiany, zgodnie z zasadami tureckiego, „Erdoan”. Konia z rządem temu, kto wyjaśni, dlaczego turecki, w Polsce marginalny, jest honorowany bardziej niż francuski i niemiecki. Oto eksprezydent François Hollande, czytając „Oland”, w polskiej telewizji nagminnie występował jako „Olan”. Angela Merkel nie nastrocza trudności, ale „Hohenstein”, element nazwiska Róży Thun, nawet bardzo. Zawsze wymawiane jest błędnie – „Hochensztajn”, choć w języku niemieckim „h” między samogłoskami jest nieme. Można nie lubić pani europosłanki, ale wypadałoby sprawdzić, jak nazywa się ktoś, o kim się mówi.

NIE OSZCZĘDZAĆ PREZYDENTÓW

Jak zatem rozstrzygnąć dylemat, spruwadżający się do pytania, czy obce wyrazy należy wymawiać zgodnie z zasadami danego języka, czy też, wzorem Francuzów, nie przejmować się i mówić po swojemu? Drogę dyktuje zdrowy rozsądek – drogowskaz mało czytelny, ale na ogół trafny.

Dodajmy na koniec, że Francuzi, dumni ze swego języka jak mało który naród, nawet prezydentom wytykają błędy i potknięcia. Na celowniku znalazł się zwłaszcza Nicolas Sarkozy, któremu miano za złe posługiwanie się językiem nazbyt kolokwialnym. Choć Andrzej Duda mówi poprawnie, jasno i z dobrą dykcją, jemu też wytknijmy drobny grzeszek: lepiej, by zamiast „tą” w bierniku mówił „tę”. I trochę mniej rozwlekle...

Poprawa zawsze jest możliwa. Wielkie postępy zrobili m.in. Andrzej Lepper i Lech Wałęsa. Ten drugi mówi dziś o wiele lepiej niż w czasach, gdy jako działacz, a później prezydent szokował błędami, od „poszłem” poczynając. Teraz się bardzo poprawił. Niejeden poseł powinien wziąć z nich przykład.



Sławomir Siwek

Czy działający na rzecz rolników
byli też na „krótkiej liście” osób
do uciśnienia przez SB razem
z ks. Jerzym Popiełuszką?

66

Krótką listą



Rejestracja NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”, Warszawa, 12 maja 1981 r.

FOT. ARCHIWUM IPN

SB

Bój o rejestrację NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” z władzami komunistycznymi PRL po sierpniu 1980 r. trwał długo. Komuniści bali się zorganizowanej wsi. Ciągłe mieli w pamięci powojenny PSL Mikołajczyka i żołnierzy wyklętych, których istnienie po drugiej wojnie było możliwe dzięki oparciu na wsi.

Dopiero ostre i zdecydowane wsparcie ze strony kard. Stefana Wyszyńskiego, prymasa Polski, zezwolenie na działanie innych biskupów (np. Ignacego Tokarczuka, Władysława Miziołka) oraz proboszczów wiejskich, wreszcie protesty rolników w Rzeszowie i Ustrzykach Dolnych dały efekt.

NSZZ RI „Solidarność” został zarejestrowany 12 maja 1981 r. Kilka dni później Prymas Tysiąclecia zmarł. Jego następca – kard. Józef Glemp – kontynuował tę linię, poświęcając bardzo dużo uwagi sprawom rolników i działaniu ich Solidarności. Po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Kościół w Polsce i sam prymas stanęli przed dylematem: Jak utrzymać nadzieję i aktywność chłopów, a także przeprowadzić zdelegalizowane struktury związku przez okres restrykcji?

KOŚCIELNY PROGRAM POMOCY

Kościół ogłosił wielki program pomocy prywatnemu rolnictwu przy użyciu funduszy kościelnych i rządowych z Zachodu. Prymas powołał Komitet Organizacyjny Fundacji Rolniczej i przystąpiono do trudnych negocjacji z władzami, bez zbytnej nadziei na sukces.

Pełnomocnikiem prymasa do tego projektu został ks. Alojzy Orszulik, ówczesny dyrektor Biura Prasowego Episkopatu i zastępca sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski ks. bp. Bronisława Dąbrowskiego. Przewodniczącym Komitetu został prof. Andrzej Stelmachowski, rzecznikiem – autor niniejszego tekstu. W ramach przygotowań do uruchomienia fundacji dostaliśmy z prof. Stelmachowskim zadanie informowania rolników w terenie, ale – co ważniejsze i głośno niewyrażone – mieliśmy organizować rolnicze zespoły wspomagające działanie fundacji w parafiach. Ja również – organizowanie sieci korespondentów do zespołu prasowo-informacyjnego.

Na kim można było się oprzeć? Na działaczach i strukturach zdelegalizowanej Solidarności rolników. Co osiągnąć? Utrzymanie ich aktywności

de facto legalnej. Nie wszyscy wszak byli predysponowani do działań w podziemiu. Dodatkowo ksiądz prymas Glemp postanowił utworzyć Duszpasterstwo Rolników, organizować pielgrzymki na Jasną Górę i odbywać cykliczne rekolekcje, konferencje, a także tworzyć sieć uniwersytetów ludowych.

KONTRATAK WŁADZ

Wkrótce dla komunistów stało się jasne, do czego to zmierza. Władze przystąpiły ostro do przeciwdziałania wszelkimi dostępnymi środkami. Zaczęły się protesty i zarzuty w czasie obrad Komisji Wspólnej oraz rozmowy ostrzegawcze z biskupami. Wszystkie nasze spotkania w terenie były nagrywane. Kontrolowano przebieg pielgrzymek na Jasną Górę i rejestrowano wystąpienia liderów związkowych. Aresztowano i zastraszano działaczy.

Na wyższym szczeblu prowadzono rozmowy z ks. abp. Bronisławem Dąbrowskim oraz jego zastępcą i prawą ręką – ks. dyr. Alojzym Orszulikiem.

Obaj zostali uppełnomocnieni – jeszcze przez prymasa Wyszyńskiego – do niewdzięcznej roli rozmówców z władzami ze wszystkich instytucji państwowych. Te pełnomocnictwa utrzymał prymas Glemp.

Najbardziej robocze i nerwowe rozmowy musieli odbywać nie tylko z władzami politycznymi, lecz także policyjnymi. Każda taka rozmowa skutkowałą sprawozdaniem pisemnym dla prymasa, które po analizie dawało wiedzę o aktualnym kierunku polityki komunistów względem Kościoła. Poza szefem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz Służby Bezpieczeństwa gen. Czesławem Kiszczakiem ich rozmówcami bywali podlegli mu szefowie służb specjalnych. Przede wszystkim z Departamentu IV MSW.

Jeszcze w marcu 1981 r. Kierownictwo Służby Bezpieczeństwa dokonało reorganizacji, przenosząc sprawy wiejskie do wydziałów IV komend wojewódzkich milicji. Nadzór nad całością sprawowali gen. Zenon Płatek (od 16 grudnia 1981 r. dyrektor Departamentu IV MSW, a wcześniej m.in. Samodzielnej Grupy „D” Departamentu IV) oraz podległy mu płk Roman Potocki.

Zarówno grupa „D” – z której wywodzili się mordercy ks. Jerzego Popiełuszki – jak i cały Departament IV MSW miały za zadanie inwigilować, dezintegrować i generalnie zwalczać

oddziaływanie Kościoła na Polaków. W ramach tych działań mieściło się zarówno używanie środków „miękkich” (ostrzeganie, zastraszanie, piętrzenie trudności administracyjnych), jak i środków „twardych”.

Po ogłoszeniu stanu wojennego i delegalizacji Solidarności szczególną wagę służby specjalne przywiązywały do kontroli i przeciwdziałania aktywności zarówno wśród robotników, jak i rolników. Początkowo władzy wydawało się, że opanowała sytuację w Solidarności rolników. Po śmierci prymasa Wyszyńskiego doprowadzono do ponownego rozbitcia ruchu ludowego, rejestrując każdą powstającą organizację solidarnościowych rolników. Dodatkowo po wprowadzeniu stanu wojennego zdradził przewodniczący NSZZ RI „Solidarność” Jan Kułaj – popierając publicznie stan wojenny i gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Toteż w czas delegacji i działalności podziemnej Związek wszedł osłabiony, chociaż nadal silny, liczył bowiem ok. 900 tys. członków, co na warunki wiejskie w okresie komunizmu było ewenementem.

W tym trudnym czasie znowu objawił się Kościół katolicki ze swoim naturalnym i silnym związkiem ze sprawami wsi i rolnikami. Nie wdając się w spory między działaczami, księża biskupi i proboszczowie aktywnie wspomagali istnienie organizacyjne nielegalnej Solidarności rolników. Temu między innymi służyła powstająca Fundacja Rolnicza. Komuniści byli tego świadomi i to ich niezmiennie denerwowało.

O ROLNIKACH I KS. JERZYM

Sprawozdanie ks. abp. Bronisława Dąbrowskiego, sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski, z rozmowy z gen. Zenonem Płatkiem, dyr. Departamentu IV Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dla prymasa Polski, 9 października 1984 r. (fragment):

„Generał prosił o rozmowę w sprawach związanych z 1) Fundacją Rolniczą 2) nominacją ordynariusza częstochowskiego i 3) wystąpieniami ks. Popiełuszki.

Ad 1) protestował przeciwko wystąpieniu prof. Stelmachowskiego w Tarnobrzegu i red. Siwka w Koninie. Uważa, że współtwórcy Fundacji takimi wystąpieniami mogą pogrzebać ideę Episkopatu. Przecież oni jasno mówią, że Fundacja ma służyć niektórym ośrodkom

opozycji do uaktywnienia wsi przeciwko systemowi i socjalizmowi.

Odpowiedziałem: Nie mogę się ustosunkować do wystąpień wymienionych Panów, gdyż nie znam ich treści [...].

Generał: Dobrze, doślę Arcybiskupowi teksty ich wystąpień. [...]

Ad 3) Ks. Popiełuszko eskaluje swoje wystąpienia antypaństwowe. Obecnie jeździ po kraju i tworzy nielegalne organizacje. Jeżeli nie zaprzestanie tej dzia-

Po ogłoszeniu stanu wojennego służby specjalne przywiązywały dużą wagę do kontroli aktywności wśród robotników i rolników

łalności, straci dobrodziejstwo amnestii i grozi mu sąd.

Odpowiedziałem: Wkrótce przestaniecie mu grozić, gdyż wyjedzie na studia [...].

Dziesięć dni po tej rozmowie ks. Popiełuszko został zamordowany przez podwładnych gen. Płatka. Rozmowę tę prymas Glemp potraktował niezmiernie poważnie. Tego samego dnia spotkał się z księdzem i sugerował mu wyjazd za granicę. Początkowo wyglądało, że ks. Jerzy się zgadza. Po rozmowie ze święckimi współpracownikami, ale wbrew stanowisku Solidarności Huty Warszawa, gdzie był kapłanem, wycofał się i powiadomił księdza prymasa, że zostaje w kraju.

TAJEMNICA PŁATKA

Przygotowania Służby Bezpieczeństwa do „wyciszenia” księdza trwały od roku. Ostateczna decyzja zapadła we wrześniu 1984 r. Jaki zatem był cel informacji, którą przekazał Płatek w październiku? Jest to jedna z wielu tajemnic tej sprawy, pozostają spekulacje...

Ksiądz prymas upoważnił księdza arcybiskupa do interwencji w sprawie dwóch kwestii wymienionych ponadto w rozmowie z gen. Płatkiem. Ksiądz arcybiskup Dąbrowski w czasie najbliższej rozmowy z gen. Czesławem Kiszczakiem oraz Kazimierzem Barcikowskim powiadomił krótko i dosłownie: „Zejdźcie z nich...”. Potwierdził to prof. Stelmachowskiemu i mnie osobiście ks. dyr. Alojzy Orszulik. Tym samym sprawa stała się publiczna i wyszła poza krąg wewnątrzpolicyjny.

30 października 1984 r. Zenon Płatek został odwołany ze stanowiska dyrektora IV Departamentu MSW i wysłany (schowany?) do ambasady w Pradze. Dopiero po przełomie 1989 r. został aresztowany, stanął przed sądem z zarzutem sprawstwa kierowniczego zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki.

Czy ten sygnał – trzy nazwiska wymienione przez generała SB – oznaczał, że istnieje „krótka lista...”? Nigdy się nie dowiem. Wówczas, w rozmowach z prof. Stelmachowskim, nie chcieliśmy łączyć gróźb wobec nas z tymi wobec ks. Jerzego. Prawdę mówiąc, sądziliśmy, że jest to element negocjacji w sprawie Fundacji Rolniczej. Tak sądziliśmy. Do 19 października.

Po ujawnieniu morderstwa i postawieniu bezpośrednich sprawców przed sądem frontalna wojna z Kościołem stała się niemożliwa. Tym bardziej że 11 marca 1985 r. sekretarzem generalnym komunistycznej partii w Moskwie został Michaił Gorbaczow, a już od maja tamtego roku zaczęły się pojawiać publiczne sygnały o konieczności jakiegoś porozumienia władzy z Solidarnością. W tym pośrednictwo Kościoła było dla obu stron niezbędne.

Niestety, zamarły negocjacje w sprawie utworzenia Fundacji Rolniczej, ale nie zniknęły zespoły rolników. Aktywnie rozwijała się akcja kształcenia liderów związkowych. Dochodziło do osobliwych sytuacji, gdy w sali parafialnej trwała prelekcja o roli Witosa w czasie wojny 1920 r., a w piwnicy domu parafialnego drukowano nielegalne pisemko wiejskiej Solidarności. Gdy 1 kwietnia 1987 r. prymas Glemp przeistoczył Komitet Organizacyjny Fundacji Rolniczej w Kościelny Komitet Rolniczy, a ten uzyskał prawo realizacji jednego z 10 projektów i utworzył Fundację Wspomagającą Zaopatrzenie Wsi w Wodę, gotowe były społeczne komitety złożone z najbardziej aktywnych członków Solidarności rolników. W rezultacie w 2555 wsiach zbudowano wodociągi i kanalizację dla 141 349 gospodarstw, a w kraju funkcjonowało prawie 200 Katolickich Uniwersytetów Ludowych.

Mimo wielu wewnętrznych perturbacji w Związku Kościół dał możliwość wznowienia działalności NSZZ RI „Solidarność” po 1989 r. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor był w latach 1989 i 1990 organizatorem i pierwszym redaktorem naczelnym „Tygodnika Rolników »Solidarność«”. Obecnie jest przewodniczącym Rady Programowej TVP SA i Rady Fundacji Polska Wieś.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Co dalej z czołgiem?

Zołnierz w czołgu zwycięży! Tak brzmi motto Korpusu Sił Obronnych Izraela (IDF). To hardo brzmiące hasło, ale praktyka pola bitwy często je weryfikuje. Sami Izraelczycy mogli przekonać się o tym kilkakrotnie. Okazuje się bowiem, że zdeterminowany, odważny człowiek potrafi sobie poradzić z pancernym kolosem.

W 2006 r., podczas izraelskiego najazdu na Liban, bojownicy Hezbollahu nie przestraszyli się supernowoczesnych czołgów Merkawa. Otaczali je i strzelali z raketowych pocisków przeciwpancernych w boki i tył pojazdów. A więc miejsca bardziej wrażliwe niż silnie opancerzony przód.

Efekt – 10 proc. spośród 400 czołgów Merkawa walczących w Libanie zostało zniszczonych lub poważnie uszkodzonych. Pojazdy te stały się „kuszącym celem ataków dla przeciwnika”.

Mało tego, z czołgami nauczyli się radzić sobie również Palestyńczycy z Hamasu. W 2012 r. w Strefie Gazy boleśnie przekonała się o tym jedna z załóg. Merkawa najechała na potężną minę pułapkę. Siła eksplozji przewró-

ciła czołg na bok i zerwała z niego wieżę. Zginęło trzech żołnierzy.

Wygląda więc na to, że czołgi są idealną bronią do walki... z innymi czołgami. A tradycyjnym błędem Izraelczyków jest niewystarczające wsparcie piechoty dla wojsk pancernych.

Informacje te pochodzą z książki „Czołgi. Historia broni pancernej”. To opowieść o walkach i rozwoju tego typu broni od pierwszej wojny światowej aż do konfliktów współczesnych. Autorzy opisali zarówno wielkie bitwy pancerne drugiej wojny, jak i niewielkie, egzotyczne kampanie, w których starło się po kilka czołgów.

Z książki dowiemy się, w jaki sposób z bronią pancerną radzą sobie Afrykańczycy. Bardzo ciekawy jest rozdział poświęcony pancernym bitwom między Irakiem a Iranem.

„Mimo niewątpliwiej użyteczności wozów pancernych kwestia przyszłości czołgu stoi pod znakiem zapytania” – piszą autorzy. Chodzi oczywiście o rozwój dronów i innych nowoczesnych typów broni. A także bezużyteczność czołgu w walce miejskiej. Jeżeli czołg ma przetrwać i odgrywać jeszcze poważną rolę na polach bitew przyszłości, to czeka go poważne przeobrażenie. ©



★★★★★
OSCAR E.
GILBERT, ROMAIN
CANSIÉRE
„CZOŁGI.
HISTORIA BRONI
PANCERNEJ”
RM



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Rabacja i okowita

Na pierwsze miesiące 1846 r. zaplanowano wybuch ogólnonarodowej insurekcji we wszystkich trzech zaborach, jednak policja rosyjska i pruska spacyfikowały sytuację w Królestwie Kongresowym i Wielkopolsce. Natomiast w Galicji głównym wrogiem powstańców okazali się ich własni poddani, a wojsk austriackich oczekiwano czasami jak wybawienia. Dwór wiedeński przyjął bowiem inną taktykę niż Berlin i Petersburg. Trwała ostra zima i komunikacja z centralną częścią monarchii była sparaliżowana, a w regionie stacjonowały stosunkowo niewielkie siły zbrojne. Władze austriackie zdecydowały się zatem użyć najgroźniejszej broni i kiedy 21 lutego 1846 r. w Krakowie proklamowano utworzenie Rządu Narodowego, to od trzech dni trwały już wystąpienia chłopskie.

Zbrojne bandy zrabowały i zniszczyły ponad 500 dworów, a ofiarami włościan padło ok. 3 tys. osób. Byli to głównie ziemianie i oficjałści dworscy, natomiast nie atakowano Żydów i osadników niemieckich. Austriacy w perfidny sposób wyznaczyli dwukrotnie wyższe nagrody za martwych powstańców niż za żywych. Oznaczało to wyrok śmierci na ziemian i chłopów mogli dać folę sadystycznym skłonnościom. Szlachtę mordowano z wyjątkowym bestialstwem, a ulubioną metodą stało się odpiłowywanie głów. Brak przepływu

informacji spowodował zresztą, że siedziba cyrkułu w Tarnowie stała się miejscem dantejskich scen. Aby uzyskać wyższe premie, dostarczanych żywcem ziemian mordowano na progu starostwa. Pobliskimi ulicami dosłownie płynęła krew ofiar. Wielu zabitych nie miało zresztą nic wspólnego z powstaniem, gdyż zbuntowani włościanie nie odróżniali konspiratorów od lojalnych podanych wiedeńskiego dworu. Dla nich każdy ziemianin był osobnikiem pasożytniczym na ich ciężkiej pracy. Teraz zaś nadszedł dzień kary i całe pokolenie krzywd znalazły ujście w krwawym odwecie. Czy zresztą chłop – analfabeta, człowiek o horyzontach myślowych sięgających najwyżej gmachu najbliższego cyrkułu – mógł ocenić zaangażowanie patriotyczne swojego dziedzica?

Nie do końca natomiast wydaje się zrozumiałą zależność pomiędzy chłopskimi buntami a propagowanym przez Kościół katolicki ruchem trzeźwości. Pogromy dworów miały bowiem miejsce wyłącznie na obszarze, gdzie księża skutecznie zwalczali alkoholizm wśród włościan. Spożycie wódki drastycznie tam spadło, a wrogiem alkoholu w swojej gromadzie był również osławiony Jakub Szela. Czy przypadkiem brak możliwości utopienia krzywd w okowicie nie stał się dodatkowym katalizatorem zbrodni? Czy faktycznie wzmógł frustracje mordców? ©



FOT. MAA HUIJ/GETTY IMAGES

NIEMIECKA ŁAPÓWKA DLA USA

Organizacja ekologiczna Deutsche Umwelthilfe ujawniła, że Niemcy przekonywali USA, aby te nie blokowały projektu budowy gazociągu Nord Stream 2. W sierpniu 2020 r. wicekanclerz i minister finansów Olaf Scholz (na zdjęciu) zaproponował Amerykanom miliard euro dofinansowania do terminali LNG. W zamian USA miały odpuścić blokowanie rosyjsko-niemieckiego gazociągu. Administracja Trumpa nie dała się przekupić.

KONIEC Z LINCOLNEM I WASZYNGTONEM

Miejska rada edukacji w San Francisco w USA przegłosowała listę patronów szkół, którzy muszą zostać usunięci. To 44 postacie, które związane są z „niewolnictwem, wyzyskiwaniem pracowników, prześladowaniem kobiet, dzieci lub osób queer i transpłciowych, łamaniem praw człowieka i naruszeniami środowiska oraz zwolnieniami przekonanych rasistowskich”. Wśród nich m.in.: George Washington, Thomas Jefferson i Abraham Lincoln.

KŁOPOT OLIMPIJSKIEGO KOMITETU

Yoshiro Mori, szef komitetu organizacyjnego igrzysk w Tokio na spotkaniu Japońskiego Komitetu Olimpijskiego zdenerwował się na resort edukacji, który naciskał, by na dyrektorów wybierać kobiety. Według Moriego oznaczałoby to, że wszystkie zebrania będą się przedłużać. Jego zdaniem, jeśli jedna kobieta podniesie rękę, by zabrać głos,

to wszystkie inne też będą czuły potrzebę, żeby się wypowiedzieć. Teraz wiele osób domaga się dymisji pana Moriego, a komitet organizacyjny igrzysk w Tokio zadeklarował, że „ceni różnorodność”.

HAKER W WODZIE

Haker zaatakował system uzdatniania wody w miejscowości Oldsmar na Florydzie (USA). Udało mu się zdalnie 100-krotnie zwiększyć dodawanie do wody ilości wodorotlenku sodu – czyli ługu, stosowanego tam do kontroli poziomu kwasowości wody. Obsługa stacji szybko interweniowała i do mieszkańców nie popłynęła woda niebezpieczna do spożycia.

DZIECKO WYDAŁO 2,5 TYS. EURO

Mały Niemiec z Hanoweru mógł mocno nadwyrężyć domowy budżet. Używał potajemnie telefonu mamy do gier on-line i wydawał w grze realne pieniądze przez voucher podłączony do karty kredytowej rodzicielki. W ten sposób wydał ok. 2,5 tys. euro. Firma udostępniająca grę odstąpiła od roszczenia, gdy matkę wsparło centrum doradztwa dla konsumentów. ©©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nowa era w podboju Marsa



JACEK PRZYBYLSKI

W zeszłym tygodniu w pobliżu Czerwonej Planety dotarły aż trzy sondy: należąca do Zjednoczonych Emiratów Arabskich Al-Amal (Nadzieja), amerykańska Perseverance (Wytrwałość) oraz chińska Tianwen-1 (Pytania do Niebios).

Tianwen-1 pierwsze zdjęcia Marsa – zrobione nieco ponad 2 mln km od celu – przysłała już 9 lutego. Głównym zadaniem chińskiej sondy jest jednak poszukiwanie życia. Chiński statek po wylądowaniu na powierzchni Czerwonej Planety ma więc wypuścić na nią łazika, który przez 90 marsjańskich dob słonecznych (trwających

24 godziny, 39 minut i 35 sekund) skupi się na badaniach geologicznych, a zwłaszcza na poszukiwaniu wody oraz lodu. Chińczycy chcą też dokładnie sprawdzić atmosferę Czerwonej Planety oraz panujący na niej klimat. Arabska Nadzieja nie będzie ryzykować lądowania – ma za to pozostać na orbicie i analizować dzienne oraz sezonowe cykle pogodowe na Marsie, a także zebrać dane o różnicach w pogodzie w różnych częściach Czerwonej Planety.

Celem naukowców jest poszukiwanie dowodów na istnienie życia na Marsie. Ale nie tylko. Amerykańska Wytrwałość ma zebrać dane, które pozwolą ocenić

możliwość zasiedlenia planety. Głównym celem następcy Ciekawości, czyli słynnego na całym świecie łazika Curiosity, ma być krater Jezero, w którym dawniej miało się znajdować jezioro. Misja ma zaś polegać na identyfikacji oznak życia oraz znalezieniu środowisk, które byłyby zdolne podtrzymać aktywność mikrobiologiczną.

Kolejne misje mają przygotować ludzkość do pierwszego lądowania na Marsie, które ma nastąpić w latach 30. Do 2050 r. na Czerwonej Planecie ma już istnieć pierwsza ludzka kolonia. Sam tylko miliarder Elon Musk chce do tego czasu dostarczyć na Marsa 1 mln osób. ©©

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie...”

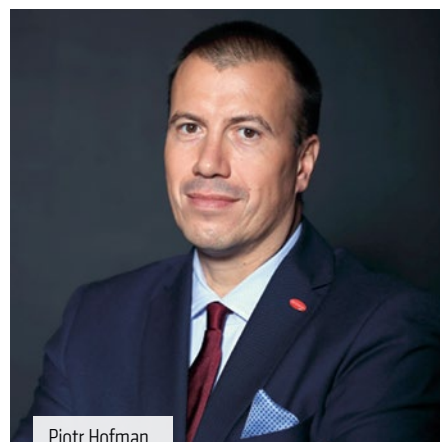
Te słowa Jan Zamoyski skreślił w akcie fundacyjnym Akademii Zamojskiej w 1600r. Edukacja to przecież jedna z najważniejszych dziedzin życia społecznego. Polska szkoła od lat jest w poważnym kryzysie, a pandemia tylko ten kryzys pogłębia. W grudniu ponad 20 organizacji społecznych podpisało się pod wspólnym stanowiskiem „Polska edukacja w czasie i po pandemii. Problemy, zaniechania, pytania do władz” dotyczącym edukacji zdalnej i problemów, które jej towarzyszą. Wskazano kilka obszarów, które budzą niepokój: „Edukacja jakby wypadła z pola widzenia, a przecież długofalowe skutki społeczne, a nawet ekonomiczne zamknięcia szkół będą odczuwalne przez lata”.

Oto wypowiedź ucznia klasy VIII z Łomianek: „Już prawie rok mija od rozpoczęcia zdalnego nauczania w polskich szkołach. Trudno jest do końca powiedzieć, czy zdalne nauczanie jest dobre czy złe, ale na pewno z miesiąca na miesiąc poziom nauczania idzie w górę, lecz nie wiem, czy uczenie się przed komputerem może być tak wydajne jak na żywo w szkole. Na początku zamknięcia szkół, my uczniowie mieliśmy całkowicie wolne, ponieważ dziennie były maksymalnie 3 e-lekcje, a często nawet mniej. Dopiero kilka miesięcy później mieliśmy jakieś prawdziwe obowiązki, lecz wciąż zajęcia polegały głównie na odesłaniu karty pracy”. Z kolei uczennica klasy II warszawskiego liceum tak opisuje swoje odczucia w nowej rzeczywistości: „Lekcje online nie są tak efektywne, dyskusje też często nie wychodzą – trudne to jest, gdy się nikogo nie widzi i np. bardzo często w klasie dosłownie nikt nic nie mówi, wszyscy mają wyłączone kamery i nie wiadomo, o co chodzi. Teoretycznie mamy więcej czasu dla siebie, na rzeczy, które nas interesują. Jednak gdy wszystkiego się uczysz w domu, nie ma motywacji ze strony uczniów i nauczycieli, wszyscy są przygnębieni i tracisz zapał do nauki. WF online nie istnieje. Brak interakcji z innymi prowadzi do szybkiego szaleństwa i utraty umiejętności socjalnych. Każdy dzień jest dokładnie taki sam. E-edukacja jest bar-

dzo sucha – brak możliwości np. pójścia do muzeów, bibliotek, gdzieś tam razem z klasą. Jeszcze bardziej dołuje fakt, że jesteśmy w takim wieku, w którym tak naprawdę możemy wszystko, a COVID nam to wszystko odbiera, mamy świadomość utraty tego roku, w którym bardzo dużo mogłoby się wydarzyć w naszym życiu. Szkoła online to pseudo szkoła – brak interakcji nauczyciel a uczeń oraz relacji w grupie rówieśników skutkuje brakiem satysfakcji wypływającej z nauki i brakiem możliwości wypełnienia nastoletniego, szalonego życia”.

Pandemia zaskoczyła prawie wszystkie sektory, a w wielu z nich ujawniła fundamentalne braki. Jednym z nich było również szkolnictwo. Już od dłuższego czasu mówi się o potrzebie reformy, a każdy nowy rząd obiecuje wziąć to pod uwagę.

Przejście na naukę w formie zdalnej od samego początku ograniczyło możliwości realizacji przez szkoły wielu wymagań zawartych w podstawie programowej. Podstawie, która zdaniem wielu już od dawna powinna być zmodernizowana. Jak szacuje Bank Światowy, podczas zdalnych zajęć nawarstwiają się zaległości, a roczny przyrost wiedzy spadł o 60–70%. Podczas edukacji zdalnej trudno mówić o indywidualnym podejściu do osoby. Uczniowie, którzy mają niższe kompetencje, nie otrzymują wymaganego dla nich większego wsparcia. Nauka bez codziennego, bezpośredniego kontaktu uczniów z nauczycielami, a także bez wspólnej pracy w klasie jest dla większości trudnym wyzwaniem. Konsekwencją tego procesu jest obniżona efektywność i zaburzony proces uczenia się. Mimo wysiłków nauczycieli, którzy sami w szybkim tempie zdobywali cyfrowe umiejętności, powstają duże zaległości w przyswajaniu niezbędnej wiedzy. Oprócz tego pogłębia się nierówność, wiele dzieci nie ma wystarczającego sprzętu lub musi go dzielić z innymi domownikami. W warunkach izolacji rodziny przebywają przez cały czas razem, zaciera się granica praca-dom (zarówno w przypadku nauczycieli, jak i rodziców), co powoduje, że efektywność ich pracy także spada. Pamiętajmy,



Piotr Hofman

że szkoła nie tylko uczy podstawowej wiedzy teoretycznej, lecz także kształtuje w uczniach wzory postępowania. Tymczasem cały obecny system nauki zdalnej jest transmisją porcji wiedzy: „przeczytaj”, „zrób ćwiczenie”, „zapamiętaj” i... „zapomnij”. Ciężko nie zauważyć również, że oprócz teorii bardzo ważne są ćwiczenia praktyczne czy umiejętność pracy w zespole, czego nie zapewnią (zwłaszcza najmłodszym uczniom) zajęcia online. Etap wczesnoszkolny to nauka szkół, rówieśników, relacji z nauczycielami, nauka funkcjonowania w grupie i w szkole. Następnie etap- licealny to rozwój osobowości, wybieranie swojej drogi życiowej, to zawierane, często na całe życie, przyjaźnie. Jak zapewnić tę lukę w życiu młodego człowieka? Na pewno warto dokładnie zbadać, jakie są największe minusy zdalnej nauki. Pamiętajmy, że oprócz negatywnych aspektów warto dostrzec jej plusy na przyszłość. Jednym z nich jest np. dostęp do edukacji dla dzieci, które nie mogą uczestniczyć w nauce stacjonarnej. Zajęcia online są również pomocne na uczelniach wyższych, studenci mogą brać udział w wykładach z całego świata, nie wychodząc z domu. Świat cyfrowy staje się stałym elementem naszej codzienności i należy wziąć to pod uwagę. Na pewno jednak nauka zdalna nie powinna całkowicie zastępować stacjonarnego udziału w zajęciach. Warto więc zacząć od reform, które przede wszystkim poprawią jakość kształcenia ogólnego, wspomagając się nowszymi technikami. Połączmy tradycję z nowoczesnością, a otrzymamy solidną edukację dla obecnych i przyszłych pokoleń. Aby jednak tak było dzisiaj, niezbędne jest zapewnienie profesjonalnej opieki psychologicznej dla naszych dzieci. Każda klasa musi mieć obowiązkowe zajęcia z psychologiem, aby nie dopuścić do kumulacji pojawiających się problemów. Wsłuchajmy się w głos naszych dzieci, one wołają o pomoc i musimy im jej udzielić, zanim będzie za późno.



FOT. BLOMBERG/GETTY IMAGES

do tego, że należałoby dokonać procesu błyskawicznego „impeachmentu” tej ekipy prawników. Adwokaci Trumpa sprawiali bowiem wrażenie, jakby do tej pory zajmowali się głównie pisaniami odwołań od mandatów za złe parkowanie, a i to z miernym rezultatem.

W tak ostrej krytyce pierwszych wystąpień prawników Trumpa nie ma żadnej przesady. Podobnego zdania jest wielu nie tylko konserwatywnych amerykańskich publicystów, lecz także senatorów Partii Republikańskiej, którzy w najlepszym razie wyrażali „zduśnienie” tym, jak źle i chaotycznie zaprezentował się Bruce Castor, który „wydawał się nie przedstawiać żadnych argumentów, co jest dość niezwykłą strategią obrony”.

W OBRONIE KONSTYTUCJI

Wyjątkowo słaba obrona byłego prezydenta może zwiększać ryzyko, że demokratom uda się przeciągnąć na swoją stronę więcej republikańskich senatorów, niż początkowo sądzono. Było to widać już podczas głosowania nad tym, czy rozpoczęty właśnie drugi proces Trumpa jest w ogóle zgodny z konstytucją. – Skoro jestem bezstronnym członkiem ławy przysięgłych i jedna strona świetnie wykonuje swoją robotę, a druga wypada okropnie, to... mam zamiar głosować na tych, którzy wykonali dobrą robotę – tłumaczył swoją decyzję o poparciu oskarżycieli republikański senator Bill Cassidy. Podczas głosowania nad konstytucyjnością sądu nad Trumpem „za” zagłosowało 50 demokratów i już sześciu republikanów.

Wynik głosowania pozwolił więc na kontynuację procesu impeachmentu. Liderzy Partii Demokratycznej świetnie wykorzystują bowiem okazję do zbijania politycznych punktów i odwrócenia uwagi wyborców od złej sytuacji epidemiologicznej i gospodarczej w Ameryce.

Posiedzenie Senatu, który na czas procesu przemienił się w sąd, rozpoczęto 13-minutowym filmem pokazującym, jak tłum zwolenników byłego prezydenta wdarł się do Kongresu, atakował policjantów i domagał się uznania, że Joe Biden nie wygrał wyborów prezydenckich.

Oskarżyciele ze strony demokratów przekonywali, że były prezydent musi wziąć odpowiedzialność za stosowanie retoryki, która wzywała do przemocy. – Nie możemy mieć prezydenta, który mobilizuje i podburza tłum, ponieważ nie chce zaakceptować woli narodu pod rządami Konstytucji Stanów Zjednoczonych



Jacek Przybylski

Liderzy republikanów zapewniają, że jest niemal pewne, iż po zakończeniu polityczno-prawnego spektaklu zwanego drugim impeachmentem Donald Trump zostanie uniewinniony. Na dożywotni zakaz wypowiedzi byłego prezydenta skazali już jednak cenzorzy z Twittera

Sąd nad Trumpem

Jeszcze w styczniu wydawało się pewne, że były prezydent może być spokojny o wynik tego procesu. Przed dwoma tygodniami aż 45 republikanów głosowało bowiem za uznaniem drugiej próby dokonania impeachmentu Trumpa za sprzeczną z amerykańską konstytucją. Można się więc było spodziewać, że szanse demokratów na doprowadzenie do jego skazania są minimalne.

– To jest proces rozpoczęty nieodpowiedzialnie z powodu zwykłej nienawiści – przekonywał obrońca byłego prezydenta David Schoen. Drugi proces Donalda Trumpa rozpoczął się jednak od świetnie przygotowanego występu demokratycznych oskarżycieli oraz fatalnych, chaotycznych i nieprofesjonalnych mów jego obrońców, które jeśli kogokolwiek do czegośkolwiek przekonały, to tylko

– przekonywał kongresmen Jamie Raskin, utrzymując, że były prezydent sprzeniewierzył się urzędowi i należy go ukarać.

Oskarżyciele Trumpa używają nagrań wielu jego wypowiedzi. Nie zauważyli jednak, że były prezydent na wiecu 6 stycznia wezwał wszystkich do tego, by pomaszerowali pod Kapitol, aby „pokojo-wo i patriotycznie zademonstrować swoje zdanie”. Sympatycy prezydenta mieli bowiem z założenia jedynie pokazać swoje wsparcie dla tych senatorów i kongresmenów, którzy popierali wyborcze protesty Trumpa. Demokraci nie zwracają również zbyt wiele uwagi na to, że do pierwszych aktów przemocy w Kongresie doszło, zanim jeszcze Donald Trump zabrał głos na wiecu swoich sympatyków. Podkreślają jedynie – i akurat w tym przypadku mają rację – że reakcja byłego prezydenta na krwawe wydarzenia w Kongresie była zbyt łagodna. Powinien on być od razu jednoznacznie potępiony. Wówczas Partii Demokratycznej trudniej byłoby teraz atakować byłego prezydenta oraz Partię Republikańską.

PARAGRAF 22

Oczywiście, w kwestii „podburzania” do przemocy nadal obowiązują w Ameryce podwójne standardy. Tak jak można bezkarnie obrażać chrześcijan i białych mężczyzn, tak samo prezydent Joe Biden mógł porównywać działania republikańskich senatorów Teda Cruza i Josha Hawleya do działań podejmowanych przez szefa niemieckiej propagandy Josepha Goebbelsa i nie było to traktowane jako przekroczenie jakiegokolwiek granicy. Demokraci wolno też bezkarnie oskarżać konserwatystów o rasizm, nawet jeśli nie mają ku temu żadnych podstaw.

Główne założenie oskarżenia w sprawie impeachmentu Trumpa jest takie, że celowo kłamał on w sprawie „ukradzionych wyborów”, przez co podburzał miliony Amerykanów. Podstawowy argument lewicy jest taki, że skoro sądy nie uznały fałszerstw, to twierdzenie o „ukradzionych wyborach” z pewnością było fałszywe. Problem w tym, że sądy oczekiwały od prawników reprezentujących Donalda Trumpa przedstawienia dowodów na to, że nieprawidłowości w procesie wyborczym były na tyle duże, aby wpłynąć na wynik wyborów. Adwokaci przekonywali z kolei, że nie mogą tego zrobić, ponieważ ich obserwatorzy – teoretycznie ze względu na pandemię – nie mogli wystarczająco dokładnie śledzić procesu liczenia głosów. Sądy kazały

wówczas przedstawić dowody na to, że takich przypadków było wystarczająco dużo, aby wpłynęły one na ostateczny wynik wyborów, i tak powstało błędne koło niczym z powieści amerykańskiego pisarza Josepha Hellera „Paragraf 22”. Ekipa Trumpa w stanie Georgia znalazła zaś np. 40 tys. głosów oddanych przez ludzi, którzy zmienili miejsce zamieszkania i powinni być wyrejestrowani ze spisów, a także niecałe 5 tys. głosów oddanych przez ludzi, którzy po tym, jak zarejestrowali się w Georgii, zarejestrowali się też w innych stanach, oraz ponad 28 tys. osób, które głosowały bez okazania dokumentu potwierdzającego tożsamość. Oczywiście, nie jest to wystarczający dowód, aby stwierdzić, że wybory zostały „ukradzione”, ale nie można też odmawiać Trumpowi prawa do powątpiewania w to, że były one przeprowadzone całkowicie uczciwie.

Czterdziestu czterech konserwatywnych senatorów, w tym lider mniejszości republikańskiej w Senacie Mitch McConnell, nadal uważa więc, że impeachment 2.0 łamie amerykańską ustawę zasadniczą. A co za tym idzie – prawdopodobieństwo, że ostatecznie dojdzie do uniewinnienia byłego prezydenta, jest wciąż wyższe, niż że zostanie on uznany za winnego. Republikański senator Lindsey Graham, który jeszcze kilka lat temu przekonywał, że „nominacja dla Trumpa będzie piekłem i samobójstwem Partii Republikańskiej”, tym razem jest tak pewny wyniku, że już zapewnił Trumpa, iż nie ma się o co martwić. – Zapewniłem prezydenta, że sprawa jest już zakończona. To już teraz tylko kwestia ostatecznego wyroku – pokreślił Graham, wyrażając jednocześnie przekonanie, że prawnicy Trumpa w kolejnych dniach będą radzić sobie lepiej.

Trump ma szczęście, że w roli przysięgłych w tym procesie nie zasiadają zwykli obywatele, ale senatorowie, którzy nie dają się tak łatwo nabierać na retoryczne sztuczki i elokwencję oskarżycieli. Jednocześnie szkoda, że kolejny raz prawa strona ideowego sporu wizerunkowo wypada o wiele gorzej od lewicy.

TWITTEROWA CENZURA PREWENCYJNA

Na najwyższy wymiar kary skazały już za to byłego prezydenta USA władze Twittera. Jak tłumaczył w wywiadzie dla NCBC dyrektor finansowy Ned Segal, Donald Trump nie będzie mógł już nigdy mieć własnego konta w tym serwisie społecznościowym, nawet gdyby po wyborach

w 2024 r. znów został prezydentem. Segal przekonywał jednocześnie, że permanentna blokada to nie rodzaj kary, ale „prewencji”. 45-letni waśniak z twitterowej finansjery wydaje się tak utalentowany, że nawet u Sowieców czy nazistów miałby już pewnie własny gabinet w Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

– Działamy w jasny sposób. Jeśli zostałeś usunięty z naszej platformy, to zostałeś usunięty z platformy. Niezależnie od tego, czy jesteś komentatorem, dyrektorem finansowym, byłym czy obecnym urzędnikiem – tłumaczył Ned Segal, podkreślając, że Twitter nie daje możliwości powrotu. Po takiej wypowiedzi Twitter powinien teoretycznie stracić nie tylko niemal 90 mln osób obserwujących wcześniej prezydencki profil, lecz także setki milionów innych, którzy nie zgadzają się z tak totalitarnym podejściem do świata globalnej informacji. W takiej sytuacji aż się prosi o silnych konkurentów dla cenzorów. Niestety, efekt zestawienia serwisów typu Facebook czy Twitter z konserwatywnymi platformami, które mają stanowić dla nich konkurencję, wypada jeszcze gorzej niż porównanie profesjonalizmu wystąpień oskarżycieli i obrońców Donalda Trumpa podczas drugiego impeachmentu.

Bardzo niekorzystnie na wizerunek obozu konserwatystów wśród umiarkowanych amerykańskich wyborców wpływa także zaostawiający się konflikt między „trumpistami” a umiarkowanymi liderami Partii Republikańskiej. W tym spór o wspieraną przez Donalda Trumpa kongresmenkę Marjorie Taylor Greene, zwolenniczkę teorii spiskowych, przekonującą, że Hillary Clinton jest częścią tajnej organizacji pederfilijskiej, a 11 września 2001 r. nie doszło do ataku na Pentagon. Fakt, że do takich twierdzeń dodaje ona „sfalszowane” wybory 2020 r., nie służy ani Trumpowi, ani Partii Republikańskiej. Demokraci sprawnie wykorzystują bowiem podobnych szaleńców do politycznej walki.

– Szalone kłamstwa i teorie spiskowe to nowotwór trawiący Partię Republikańską – zauważył lider republikanów w Senacie Mitch McConnell, który obawia się, że krzewienie takich teorii znacząco utrudni republikanom odbicie Izby Reprezentantów i walkę o mandaty w Senacie. Marjorie Taylor Greene uważa z kolei, że to Trump powinien stanąć na czele republikanów, bo bez niego konserwatyści skazani są na wyborcze porażki. Od tego, kto wygra to starcie, zależy dalszy los Partii Republikańskiej.

Feminizm zatrzuwa kobiecość



Z dr Carrie Gress, amerykańską katolicką publicystką, filozofem, autorką książki o negowaniu przez lewicę wartości związanych z Matką Bożą

rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Napisła pani książkę „The Anti-Mary Exposed: Rescuing the Culture from Toxic Femininity” („Prawda o Anty-Marii: Jak uratować kulturę przed toksyczną kobiecością”). Jak wyglądała jej promocja w Internecie?

CARRIE GRESS: Nie najlepiej. Książka została zablokowana przez Facebooka i Instagrama. Nie można było jej sprzedawać poprzez te platformy. To była spora niespodzianka dla naszej katolickiej księgarni. Mój wydawca chciał też wykupić reklamy na Facebooku, ale spotkał się z odmową.

Dlaczego?

W odpowiedzi usłyszeliśmy, że powodem jest „przemocowy charakter” książki.

Może chodziło o jej podtytuł: „Jak uratować kulturę przed toksyczną kobiecością”?

Niewykluczone, że to mógł być jeden z głównych powodów blokady. Obecnie nie wolno bowiem powiedzieć złego słowa w kontekście kobiecości. Lewica zabrania sugerowania, że działania feministek mogą nie najlepiej przysługiwać się kobietom, że ich pomysły na urządzenie stosunków społecznych są po prostu toksyczne.

Można jednak odnieść wrażenie, że mężczyźni mogą być dziś nazywani dowolnie. To samo z chrześcijaństwem – okazuje się, że chrześcijan nie da się obrazić.

Na to wygląda. Amazon w zakładce „teoria feministyczna” sprzedaje przykładowo książkę pt. „Nienawidzę mężczyzn”, ale z jakichś względów wielkie korporacje nie robią problemów takim publikacjom... To chyba jasno pokazuje, że tzw. mowa nienawiści używana jest dosyć wybiórczo. Inna książka sprzedawana na Amazonie, na którą zwróciłam ostatnio uwagę, ma na okładce grafikę nawiązującą do Matki Bożej z Guadalupe. To tak obrzydliwe, że nie będę tego opisywała. Książka jest w każdym razie o „potędze” kobiecego ciała. Nie słyszałam, żeby jej dystrybucja była w jakikolwiek sposób zakłócana.

Mój wydawca miał już problem z kilkoma katolickimi książkami. Amazon wcześniej wstrzymał sprzedaż książki dla dzieci o ukrzyżowaniu Jezusa – znów jako powód podawano przemoc. Amerykańscy katolicy mają z tym coraz większy problem.

Facebook i Instagram chciały utrudnić sprzedaż książki, ale wygląda na to, że nie do końca im się to udało?

Skutek był odwrotny do zamierzonego. Książka sprzedawała się na pniu, bo nagle zrobiło się o niej bardzo głośno w prawicowych mediach. Robimy teraz dodruk. Blokada nastąpiła tuż po inauguracji Bidena, więc wiele osób poczuło zaniepokojenie. Czy tak to teraz będzie wyglądało? Obecnie cała władza w USA należy do lewicy – rządzą w świecie wielkich korporacji, w Kongresie, a teraz także w Białym Domu. Nie ma już nikogo na szczytach władzy, kto mógłby się temu skutecznie sprzeciwić.

Katolicy w USA mają dość wielkich korporacji i mediów, które chcą nam mówić, co mamy czytać i co mamy myśleć, ale obawiam się, że w końcu ludzie się zmęczą kolejnymi szykanami. Martwię się, że kolejne takie działania nie będą już miały efektu mobilizującego dla ludzi wierzących i cenzorzy poczuja, że wszystko im wolno.

Czym jest ten „antymaryjny duch”, o którym opowiada pani w swojej książce?

To właśnie duch, a nie konkretna osoba, jak w przypadku Antychrysta. W jednym z listów św. Jan pisze o duchu Antychrysta, który pojawił się na świecie po ukrzyżowaniu Jezusa. Tymczasem od lat 60. ubiegłego wieku bardzo niebezpieczny, w swojej istocie antymaryjny, duch atakuje kobiety na całym świecie. Dla tej projektowanej przemiany kobiet kluczowym elementem jest uwikłanie ich w aborcję. Tylko w zeszłym roku na świecie doszło do ponad 42 mln aborcji. To pokazuje, że coś bardzo niedobrego dzieje się z nami, skoro kobiety na taką skalę potrafią zwrócić się przeciw najbardziej fundamentalnej więzi – matki z dzieckiem. Na całym świecie nie ma niczego bardziej delikatnego.

Aborcja to dziś najczęstsza przyczyna śmierci. Żadna pandemia COVID-19, rak czy choroby serca nie zabijają tylu ludzi. Rozpowszechnienie nowych metod aborcji, pigułek poronnych, sprawia, że ta zbrodnia staje się coraz łatwiejsza, niemal na wyciągnięcie ręki.

To niszczy kobietę, jej duszę. Stąd się biorą wyrzuty sumienia, które prowadzą do depresji. Aborcja zmienia całe życie. Kiedyś ludzie to rozumieli, teraz to jest zagłuszane krzykiem o „prawie kobiety”. Ludziom, którzy

w aborcji widzą „wyzwolenie”, zależy na tym, żeby wciągnąć w to jak najwięcej kobiet.

Dlaczego?

Jeżeli mamy za sobą aborcję, to z tym większą mocą twierdzimy, że to na pewno nie są ludzie, tylko jakieś bezkształtne „płody”, i że aborcja to zwykły zabieg. Nawet jeżeli czujemy, że to było złe, to próbujemy się usprawiedliwiać. Przemysł aborcyjny liczy na ten mechanizm psychologiczny.

Strona pro-choice ucisza wszystkich, którzy mówią o wyrzutach sumienia. Tymczasem ruch pro-life pełen jest kobiet, które mają za sobą aborcję, ale zrozumiały, że było to wielkie zło, i angażują się, by takich tragedii było jak najmniej.

Czym jest „matriarchat”, o którym pisze pani w swojej książce?

W USA mamy elitarne grono kobiet, które kontroluje media, TV, Hollywood i świat mody. Katolicy niestety zupełnie nie dają sobie rady na polu kultury masowej. Nasze argumenty, np. w kwestii ochrony życia, są bardzo mocne, ale jednak nie trafiamy najlepiej z tym przekazem do przeciętnej Amerykanki. W USA nie ma nawet jednego kobiecego magazynu katolickiego! Jedna z gwiazd Hollywood wbiła mnie w fotel, mówiąc: „Do tej pory nawet nie wiedziałam, że pro-liferzy mają jakieś argumenty poza krzykami”.

„Matriarchat” buduje zupełnie nową wizję kobiecości. Te kobiety chcą zmienić naturę człowieka, przemawiając do nas z mediów: „Nie musisz być matką, nie musisz być nawet kobietą. Możesz być, kim tylko chcesz”. Co ciekawe, teraz sytuacja doszła do takiego absurdu, że ruch LGBT i część feministek są na kursie kolizyjnym.

Na zasadzie: „Jaki sens ma obrona praw kobiet, skoro każdy może być kobietą”?

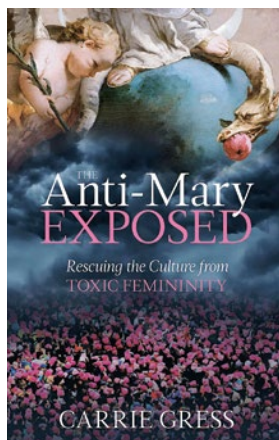
Dokładnie tak. Przyglądanie się temu konfliktowi to fascynujące zajęcie. Ale takie są skutki odwracania się plecami do natury i logiki. Wygląda na to, że ideologia LGBT, za sprawą dobudowywania do niej kolejnych absurdów, załamuje

się pod własnym ciężarem. To daje nam pewną nadzieję na przyszłość.

W USA działa Lilith Fund, jedna z wielu organizacji aborcyjnych. W swojej książce zwraca pani jednak uwagę na dość specyficzną nazwę tej organizacji...

Lilith Fund powstała po huraganie w Teksasie, który sprawił, że wiele osób zostało bez dachu nad głową. Misją tej organizacji jest opłacanie aborcji kobietom, których na to nie stać. „Lilith” to w kulturze

feministycznej ogromnie popularne słowo. Tymczasem „Lilith” to demoniczna postać z czasów Mezopotamii, która uwodzi mężczyzn i zabija dzieci. W sumie trudno się dziwić, że przemysł aborcyjny wybrał sobie taką patronkę. Jedni patrzą z nadzieją na Marię, a inni na Lilith... Nawiasem mówiąc, angielskie słowo „lullaby” („kołysanka”) wzięło się z hebrajskiego wyrażenia oznaczającego „Niech Lilith trzyma się z daleka od tego dziecka”.



Można nie wierzyć w Matkę Bożą, ale jak pani tłumaczy zupełne odrzucenie wszystkiego, co za nią stoi? Przecież nawet z punktu widzenia osoby kompletnie niewierzącej te wartości nie powinny wydawać się zbyt kontrowersyjne.

Dzieje się tak dlatego, że ci ludzie zupełnie nie rozumieją, kim jest Matka Boża. Brakuje im podstawowej wiedzy.

W Polsce podczas ostatniej debaty aborcyjnej można było usłyszeć argument, że Maria została „wmanewrowana” w ciążę – nikt jej nie dał w tej sprawie wyboru.

Tak to bywa przedstawiane, ale lewica zapomina, że Maria dokonała przecież świadomego wyboru, zawierając Bogu. Lewica zapomina też, że idea, iż kobiety i mężczyźni są równi, bo mają taką samą godność, pojawiła się na świecie właśnie dzięki chrześcijaństwu. To Jezus pokazał, że tak powinny wyglądać stosunki społeczne, a Maria pomogła to ugruntować. Niektórzy szukają korzeni tego konceptu gdzieś w Grecji, ale to ślepa uliczka. Arystoteles twierdził przecież, że kobieta to tylko „zdeformowany mężczyzna”. Dlatego możemy z dumą mówić, że to chrześcijaństwo propaguje prawdziwą równość.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Maria Kądzalska

Zjawisko małżeństw dobrowolnie aranżowanych staje się w Indiach coraz bardziej popularne. Młodzi ludzie płacą często ogromne sumy za pomoc w znalezieniu odpowiedniej drugiej połówki. Czy małżeństwa z miłości już się nie udają?

Kiedyś z usługi swatek w Indiach korzystali rodzice w celu odnalezienia kandydatów dla swoich dzieci. Często działało się to poza wiedzą czy zgodą osób najbardziej zainteresowanych. Dziś zarówno młodzi Hindusi na subkontynencie indyjskim, jak i ci mieszkający w Stanach Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii sami kierują się z prośbą o pomoc do swatki.

– Mam 32 lata i prowadzę własny biznes. Według hinduskich standardów powinnam wyjść za mąż już kilka lat temu. Cała rodzina szuka dla mnie męża. Dwa miesiące temu za namową mojej mamy zdecydowałam się zadzwonić do swatki – mówi „Do Rzeczy” Diya z Mumbai w rozmowie przez media społecznościowe. – Mój brat poznał swoją obecną żonę na studiach, to było małżeństwo z miłości. Ja byłam wcześniej bardziej skupiona na karierze i może po prostu nie miałam szczęścia. Dziś jestem zmęczona ciągłym szukaniem i dlatego wychodzę z założenia, że swatka przynajmniej nie może zaszkodzić – tłumaczy.

CZASY DLA SINGLI

Na całym świecie obserwujemy trudności w nawiązywaniu trwałych i stabilnych relacji. Coraz więcej 30-latków żyje samotnie. Według statystyk GUS w Polsce ok. 7,5 mln osób dorosłych to samotni (przy czym, co ciekawe, aż 60 proc. z nich deklaruje wiarę w romantyczną miłość), w USA liczba ta sięga 117,9 mln. Natomiast w Japonii 11 proc. ludzi powyżej 18. roku życia nie jest w żadnej stałej relacji, a według przewidywań analityków w 2040 r. nawet 40 proc. mieszkańców tego kraju nie założy rodziny.

Związki, które budujemy, są nietrwałe. Wielu socjologów wskazuje na kryzys instytucji małżeństwa. Eksperti rozpi-



Dlaczego Hindusi korzystają ze swatki?

sują się o zjawisku rozpadu rodzin oraz spadku wzajemnego zaufania. Statystyki dotyczące rozwodów budzą powszechne zaniepokojenie. W 2018 r. w Stanach Zjednoczonych zawarto ponad 2 mln związków małżeńskich, ale przeprowadzono również ponad 782 tys. rozwodów. W Polsce w tym samym roku aż 33 małżeństwa na 100 zakończyły się rozwodami. W 2019 r. w Wielkiej Brytanii 42 proc. małżeństw skończyło się rozpadem, z czego aż w 62 proc. z inicjatywy żon. Najczęściej do rozpadu małżeństwa dochodzi między 42. a 48. rokiem życia. Według kancelarii prawnej Crisp and Co rozpad rodzin, dodatkowe świadczenia zdrowotne, opłaty prawne, konieczność znalezienia nowego zakwaterowania, ali-

menty kosztują Brytyjczyków dodatkowe 51 mld funtów rocznie.

W Indiach te same liczby są znacznie niższe – na tysiąc zawartych związków jedynie 13 kończy się rozwodem. Czy istnieje remedium na to zjawisko? Wydaje się, że Hindusi coraz częściej decydują się na powrót do tradycji.

MIŁOŚĆ ROMANTYCZNA

W latach 60. i 70. młodzież w Indiach walczyła o możliwość zawierania małżeństw z miłości, bez spotkań aranżowanych przez rodzinę, bez poznawania małżonków kilka dni przed ślubem. Proces zmian był powolny i dotyczył przede wszystkim mieszkańców dużych miast oraz hinduskich mniejszości



Kadr z reality show „Małżeństwo po indyjsku” wyświetlanego w serwisie Netflix FOT. NETFLIX

w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Również popkultura w Indiach zaczęła promować miłość romantyczną. Bollywood zakochał się w idei małżeństw z miłości. Film „Dil Hai Ke Manta Nahin”, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „Serce odmawia posłuszeństwa”, w którym miłość przekracza bariery społeczne i kastowe, rozpałił wyobraźnię milionów widzów. Hindusi oszaleli na punkcie romantycznych produkcji, takich jak „Saajan”, w której został sportretowany trójkąt miłosny, czy „Hum Aapke Hain Koun...!” („Kim jestem dla ciebie?”).

W efekcie pod wpływem zmian kulturowych i wzrostu zamożności społeczeństwa szczególnie klasa średnia oraz klasa wyższa coraz częściej zaczęły akceptować samodzielne wybory swoich dzieci. Także globalizacja wpłynęła na to, że Hindusi na modłę zachodnią zaczęli coraz powszechniej akceptować model małżeństwa z miłości. Wydawało się, że będzie to trend rosnący. A jednak instytucja swatki przeżywa tam renesans. Dlaczego?

– Musisz zrozumieć, że nawet dzisiaj wśród Hindusów nie ma czegoś takiego

jak wasze zachodnie „randkowanie” – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy” 30-letni Veer, który na co dzień pracuje w Berlinie. – Młodzi ludzie nie mieszkają ze sobą przed ślubem. Mogą się spotykać, przyjaźnić, szczególnie jeśli poznają się na studiach czy w pracy, ale najczęściej kandydatów na męża czy żonę szukają dla nich dalsi krewni lub profesjonalne swatki. Kiedy mieszkałem w Indiach, swatka przedstawiła mi dwie kandydatki. W takim portfolio znajduje się niemal wszystko: jej zdjęcia, wiek, wzrost, pochodzenie, kasta, horoskop oraz stopień zamożności i posag. Niestety, żadna mi się nie spodobała – podsumowuje.

– Czy myślałeś o spotykaniu się z Europejką? – pytam z ciekawości.

– Myślałem o tym, ale raczej nie. Chce, aby moja żona akceptowała kulturę hindi, nasze zwyczaje, tradycje. W Indiach małżeństwo to połączenie nie tylko dwojga osób, lecz także dwóch rodzin. Nie ożeniłbym się z kimś, kogo nie zaakceptowałiby moi rodzice – tłumaczy Veer.

NOWOCZESNE SWATKI

Tradycja aranżowanych małżeństw nie ma żadnego oficjalnego prawnego uznania ani legislacyjnego wsparcia. Instytucja ta okazała się jednak zaskakująco silna w dostosowywaniu się do zmieniających się warunków społecznych i przeciwstawiając się przewidywaniom upadku w miarę modernizacji Indii. Co ciekawe, w kulturze miejskiej współczesnych Indii rozróżnienie między małżeństwami aranżowanymi a małżeństwami z miłości jest coraz częściej postrzegane jako „fałszywa dychotomia” wraz z pojawieniem się takich zjawisk jak „małżeństwa aranżowane samodzielnie”. Właśnie o tym zjawisku opowiada bijący rekordy popularności reality show „Małżeństwo po indyjsku” w reżyserii Smriti Mundhra wyświetlany na platformie streamingowej Netflix. Portretuje on pracę Simy Taparii, swatki z Mumbaju, która szuka partnerów dla swoich klientów z Indii i ze Stanów Zjednoczonych. Dobiera dla nich odpowiednich kandydatów, ale jednocześnie podczas swatania przeprowadza młodych ludzi przez proces dojrzwania do życia w małżeństwie.

– Ten serial powstał chyba właśnie po to, aby pokazać odmienny od amerykańskiego model szukania drugiej połówki. Chociaż ja, gdy go oglądam, czuję się trochę zażenowana. Dlaczego cały świat ma teraz oceniać, jak w Indiach rozwiązuje-

my sprawę małżeństwa? – pyta Aayushi z Kalkuty w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy”.

– Może świat zachodni potrzebuje skonfrontować swoje wyobrażenie o miłości z waszym? W końcu u nas kwitną aplikacje randkowe już niemal każdego rodzaju. Może próbujemy się od was czegoś nauczyć? – odpowiadam.

Aadya przytakuje i dodaje, że ona nie zna właściwie nikogo, kto by się rozwiódł. – W Indiach bardzo niewiele par się rozpada, ponieważ rodziny wzajemnie mediują między małżonkami, kiedy pojawia się jakiś problem. Wszystko, co złe, ma zostać w granicach rodziny. Mamy nawet takie powiedzenie, że „kłótnia pomiędzy mężem i żoną nie powinna wyjść poza cztery ściany ich sypialni” – tłumaczy. – Zresztą każda pierwsza randka odbywa się w obecności pełnych rodzin z obydwu stron. Obecni są przy tym rodzice, ale również rodzeństwo i dziadkowie, dopiero po akceptacji z ich strony może dojść do kolejnej randki już sam na sam – dodaje Aadya. Młodzi ludzie spotykają się potem kilka razy, rozmawiają o kluczowych sprawach, takich jak dzieci, wyobrażenia na przyszłość, model życia i jeśli spodobają się sobie nawzajem, to szybko dochodzi do ślubu.

Na pytanie zatem, dlaczego młodzi Hindusi zdają się na rodziców i starszych, odpowiedź jest prosta – chodzi o zaufanie. Uważają oni, że doświadczenia i pomoc ze strony starszych mają duże znaczenie przy określaniu partnera na całe życie. – Nie wolałabys lepiej poznać swojego przyszłego męża, zanim staniecie na ślubnym kobiercu? – pytam Aadyę na koniec wideorozmowy. – Oczywiście, że chciałabym, aby mój mąż był również moim przyjacielem. Jednak mam też koleżanki w Anglii, które czasem spędzają po pięć, sześć lat z chłopakiem tylko po to, aby się zorientować, że nie jest wystarczająco dojrzały do małżeństwa. Potem leczą się z tego miesiącami, a czasem nawet latami. U nas, kiedy dwoje ludzi idzie do swatki, na pewno wie, czego chce. Małżeństwo oczywiście wymaga miłości, ale to jest też własna decyzja, że chce się być z drugą osobą. Wy na Zachodzie stawiacie wszystko na uczucie, my w Indiach opieramy się na odpowiedzialności, pomocy rodziny i układach gwiazd. Sama zdecyduj, co jest lepsze – rozkłada ręce i się uśmiecha.

Brakuje ponad 1,3 bln zł – tak najkrócej można streścić ós sporu o nową (a tak naprawdę jedynie odświeżoną) strategię energetyczną Polski do 2040 r. Przy czym na razie dostępne jest jedynie jej streszczenie. Jednak już nawet w nim te dwie sumy są wymienione. 1,6 bln zł to tyle, ile – według szacunków – będziemy musieli zainwestować w latach 2021–2040, aby sprostać założeniom strategii. 260 mld zł z kolei to to, co maksymalnie zostanie przeznaczone z różnych programów na transformację energetyczną. Warto tu przypomnieć, że z unijnego Funduszu na rzecz Sprawiedliwej Transformacji, czyli źródła przeznaczonego specjalnie na wspomnienie przemiany energetycznej, Polska otrzyma zaledwie 15,6 mld zł, czyli ponad stukrotnie mniej, niż wyniesie koszt zmian.

Ten porażający rozróżnienie stał się kanwą, na której swój sprzeciw wobec strategii buduje Solidarna Polska, od dawna pracująca na swoją polityczną odrębność, między innymi opierając się na kwestiach energetycznych właśnie. Politycy z kręgu Zbigniewa Ziobry zaatakowali premiera Mateusza Morawieckiego za przywieziony przez niego z Brukseli jesienią ubiegłego roku unijny budżet, którego częścią jest właśnie wspomniany Fundusz na rzecz Sprawiedliwej Transformacji. Wówczas osiłą sporu była przede wszystkim kwestia powiązania pieniędzy z praworządnością, ale sprawa zgody na unijną politykę klimatyczną pojawiała się wśród punktów niezgody już wcześniej.

Trzeba tu zrozumieć, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy. Otóż nasza wewnętrzna dyskusja nie ma już żadnego wpływu na zobowiązania, które przyjęliśmy na siebie jako członek UE. Klamka zapadła. Unia zaś dopiero co – w grudniu 2020 r. – po raz kolejny podwyższyła plan redukcji CO₂ z dotychczasowych 40 proc. na 55 proc. do 2030 r. wobec roku 1990. Polska się na to zgodziła, podobnie jak wcześniej konsekwentnie godziliśmy się na wszystkie kolejne plany UE w tej dziedzinie. Warto zaś pamiętać, że większość ustaleń była podejmowana po roku 2015, a zatem już za rządów Zjednoczonej Prawicy. Plan Europejskiego Zielonego Ładu to rok 2019. We wszystkich tych sprawach płynęliśmy w głównym europejskim nurcie,



Łukasz Warzecha

Czy naprawdę osiągnięcie unijnych celów klimatycznych gigantycznym kosztem dla kraju jest dla Polaków niezbędne, najpilniejsze i warte nieuchronnego obniżenia standardu życia? To już dzisiaj czcze pytanie – Polska zgodziła się brać udział w tym szaleństwie

Klimatyczne szaleństwo

niezależnie od tego, co mówią wiecznie nieusatysfakcjonowani zieloni.

Polska, owszem, wywalczyła sobie możliwość wykonania unijnego planu neutralności klimatycznej do 2050 r. z opóźnieniem, ale opóźnienie nie oznacza, że zostaliśmy z tego zobowiązania zwolnieni. Najlepszym na to dowodem

jest zresztą właśnie strategia energetyczna.

TAJEMNICZO BRZMIĄCE DEKLARACJE

Gdy mowa jest o konsekwencjach zmian, które będziemy musieli wprowadzać, streszczenie rządowego dokumentu



FOT. ADRIAN STOLCK

stara się przekonywać, że nikt stratny nie będzie. W grę zaś wchodzić mogą dwie kategorie poszkodowanych. Pierwsza to konsumenci energii, druga to przede wszystkim górnicy, bo odejście od węgla jest jednym z podstawowych punktów strategii. Według założeń za dziewięć lat udział węgla w wytwarzaniu prądu ma w Polsce nie przekraczać 56 proc.

Gdy idzie o pierwszą grupę, w rządowym dokumencie rzuca się w oczy ograniczenie przewidywanych skutków zmian wyłącznie do cen energii. Czytamy zatem, że „istotne jest, aby sposób przeprowadzenia transformacji zapewniał akceptowalne społecznie ceny energii i nie pogłębiał ubóstwa energetycznego”. Pomijając mglisty sens wyrażenia „istotne jest”, problem w tym, że strategia patrzy wycinkowo, tymczasem każdy wzrost cen energii, ale też generalnie polityka energetyczno-klimatyczna UE, wliczając w to jej

polski wątek, to wzrost wszelkiego rodzaju obciążeń dla konsumentów. Nie wystarczy zatem zapewniać, że nie zdrożeje – czy raczej: nie zdrożeje nadmiernie – prąd, bo wpływ polityki energetyczno-klimatycznej UE będzie widoczny w zasadzie we wszystkich dziedzinach, przy wszystkich zakupach towarów czy usług.

Oto tylko jeden z mnóstwa przykładów: strategia energetyczna mówi o osiągnięciu zeroemisyjności transportu publicznego w polskich miastach powyżej 100 tys. mieszkańców do 2030 r. Do tego terminu zostało raptem dziewięć lat. Miast powyżej 100 tys. mieszkańców jest w naszym kraju 37. Osiągnięcie zakładanego celu oznaczałoby, że w ciągu niecałej dekady wszystkie te ośrodki muszą znaleźć środki na gruntowną wymianę swoich flot transportowych na pojazdy elektryczne czy zasilane CNG. A przecież samorządy są coraz bardziej obciążane

kolejnymi zadaniami, przy czym ich dochody nie rosną, ale przez pandemię znacząco spadły. Nawet zakładając wykorzystanie unijnych środków, trudno sobie wyobrazić, żeby osiągnięcie celu zeroemisyjności transportu miejskiego nie musiało oznaczać ograniczenia funduszy na inne zadania. A tu już można zapytać, czy faktycznie wymiana całego taboru na inny niż spalinowy jest z punktu widzenia mieszkańców najważniejsza i najpilniejsza. To pytanie można zgeneralizować: Czy naprawdę osiągnięcie unijnych celów klimatycznych gigantycznym kosztem dla kraju jest dla Polaków niezbędne, najpilniejsze i warte nieuchronnego obniżenia standardu życia? Tyle że to już dzisiaj częste pytanie – Polska zgodziła się brać udział w tym szaleństwie.

W tej sytuacji bardzo tajemniczo brzmią deklaracje ze streszczenia strategii traktujące o sprawiedliwej transformacji: „[...] w transformacji uczestniczyć będą indywidualni odbiorcy energii, którzy z jednej strony zostaną osłonięci przed wzrostem cen nośników energii, a z drugiej strony będą zachęceni do aktywnego udziału w rynku energii. Dzięki temu transformacja energetyczna będzie przeprowadzona w sposób sprawiedliwy i każdy – nawet małe gospodarstwo domowe – może w niej partycypować”.

Jak ma wyglądać owo „osłanianie przed wzrostem cen nośników energii”, nie do końca wiadomo, bo zapowiedzi rekompensat dla gospodarstw domowych okazały się już płonne. Urząd Regulacji Energetyki również nie będzie w stanie wiecznie blokować podwyżek, bo przecież będą one po prostu uzasadnione w kontekście koniecznych wydatków na modernizację sieci oraz samych kosztów wytwarzania energii.

Ciekawsze jest jednak, co autorzy strategii rozumieją przez „aktywny udział w rynku energii” i jak miałyby to odciążyć nas od kosztów całego przedsięwzięcia. Owszem, wiele jest w dokumencie mowy o działaniach prosumenckich albo większym wyborze spośród dostawców energii. Tyle że aby być aktywnym prosumentem, trzeba mieć do tego odpowiednie warunki – na przykład umożliwiające instalację własnego źródła zasilania w postaci małej siłowni wiatrowej czy paneli słonecznych, a to dotyczy niewielkiej części polskich gospodarstw domowych. Strategia kilkakrotnie używa pojęcia „energetyki obywatelskiej”, co brzmi bardzo ładnie, ale właściwie nie wiadomo, ani co to dokładnie znaczy, ani jak obywatele

■ mieliby być zachęceni do uczestniczenia w tej energetycznej rewolucji. Jedynie nikły procent Polaków wie choćby o tym, że może zmienić dostawcę prądu, w wielu przypadkach jest to zaś albo niemożliwe, albo nie ma sensu, bo ceny są niemal jednakowe, a pisanie o wielkich planach obywatelskiego zaangażowania w tworzenie nowego energetycznego ładu brzmi jak bajki o żelaznym wilku.

Drugi problematyczny wątek to ludzie, którzy mają stracić pracę z powodu wdrażania planów rządowych i unijnych. Zatem przede wszystkim górnicy. Sytuacja jest tutaj paradoksalna do kwadratu, gdyż nawet bez Europejskiego Zielonego Ładu polskie górnictwo w ogromnej większości byłoby po prostu nieopłacalne, a więc konflikt z górnika-
mi musiałby wybuchnąć i tak, chyba że władza postanowiłaby ich bez końca dotować i kupować od kopalń będących własnością państwa absurdalnie drogi

pracowników Polskiej Grupy Górniczej. PGG jest wprawdzie największa, ale nie jedyna. Oprócz niej działają między innymi Jastrzębska Spółka Węglowa, Tauron Wydobycie czy Węglokoks.

Te dwa procesy – negocjacje z górnika-
mi i z KE – mogą się na siebie niebezpiecznie nałożyć: rząd może wciąż spierać się ze związkowcami, jednocześnie musząc już przedstawiać ustalenia Komisji Europejskiej. Na tej zbieżności czasowej i napięciach będą zapewne grać niektórzy politycy związani z obozem rządzącym.

Tymczasem niepokoje wynikające ze zmian w energetyce nie dotyczą tylko górnictwa. Karolina Baca-Pogorzelska ujawniła na portalu Biznes Alert list, który Krajowa Sekcja Energetyki NSZZ „Solidarność” wysłała do Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Jacka Sasina oraz Marka Suskiego jako szefa sejmowej Komisji Energii. List zaczyna się niezwy-

które są niezbędne, jeśli mamy zrealizować rządową strategię energetyczną. Jak pisze Baca-Pogorzelska: „Związkowcy w swym liście twierdzą, że przed prezesem PiS ukrywana jest faktyczna sytuacja ekonomiczna energetyki, a najlepsza ona nie jest, że nie ma żadnego dialogu społecznego, choć resort aktywów państwowych twierdzi inaczej, no i że jak tak dalej pójdzie, to dojdzie tylko do eskalacji konfliktu”.

GONGI ALARMOWE

Kolejna wreszcie oś konfliktu, na której swoją krytykę strategii energetycznej opiera Solidarna Polska, to sprawa energetyki jądrowej. Ta dziedzina ma oczywiście w dokumencie rządowym poczesne miejsce. Zapowiada on, że pierwszy blok jądrowy o mocy 1–1,6 GW ma ruszyć w 2033 r. (cała zainstalowana moc elektrowni w Polsce, w tym przemysłowych, to dzisiaj ok. 47 GW, a średnie roczne obciążenie to 21–22 GW), ale tutaj brzmi już nie dzwonek, lecz gongi alarmowe. Rząd PiS ociąga się z uruchomieniem budowy elektrowni atomowej tak samo, jak ociągał się rząd PO. Nadal, mimo niezliczonych już zapowiedzi, nie wyznaczono nawet jej lokalizacji, a przecież budowa będzie trwać minimum dekadę. Jeśli więc faktycznie pierwszy blok miałby ruszyć w 2033 r. – a to data kluczowa ze względu na przyjęte przez nas zobowiązania redukcji emisji CO₂ – to czasu na rozpoczęcie jego budowy już praktycznie nie ma. W tym roku musiałaby zapaść ostateczna decyzja.

Politycy z kręgu Zbigniewa Ziobry wskazują na to opóźnienie, twierdząc, że ukończenie budowy bloku jądrowego na czas jest niemożliwe, a w takim razie Polska będzie skazana na import gazu do elektrowni gazowych, a w konsekwencji na niekorzystne dla nas umowy energetyczne również z Rosją. Jeżeli w sprawie elektrowni jądrowej rychło nie nastąpi przełom – wybór lokalizacji, technologii i wykonawcy – to kasandryczne prognozy polityków SP mogą się sprawdzić.

Najbardziej uderza to, że choć unijna polityka klimatyczna oraz polska strategia energetyczna będą miały ogromne przełożenie na zamożność Polaków, to ceny praktycznie wszystkich towarów i usług, utratę miejsc pracy w niektórych branżach (wcale niekoniecznie związanych z energetyką czy górnictwem), to temat w powszechnej świadomości praktycznie nie istnieje.

Unijna polityka klimatyczna oraz polska strategia energetyczna będą miały ogromne przełożenie na **zamożność Polaków, ceny praktycznie wszystkich towarów i usług, utratę miejsc pracy w niektórych branżach**

węgiel. Co więcej, wokół tego, co zrobić z górnictwem, trwa konflikt wewnątrz obozu władzy. W obozie zwolenników zamknięcia tego problemu jak najszybciej są politycy Porozumienia Jarosława Gowina i Mateusz Morawiecki, przeciwko jest Solidarna Polska, ale też, jak się zdaje, prezydent Andrzej Duda, który z atencją wyraża się o górnikach, a z rezerwą o planach energetycznej rewolucji. Z czego zresztą wielokrotnie robiono mu zarzuty, w tym podczas kampanii wyborczej późną wiosną ubiegłego roku.

SPRZECIW SOLIDARNOŚCI

Problem polega na tym, że już w marcu Polska ma negocjować z Komisją Europejską uzgodnioną z górnictwem związkowcami umowę społeczną, pozwalającą na wygaszanie wydobywania węgla. Uzgodnienie z KE jest tutaj niezbędne, ponieważ umowa ta to forma pomocy publicznej, a tej bez zgody Komisji udzielać nie wolno. Tymczasem do tego czasu mogą się przedłużyć rozmowy rządu z górnikami. Wszak we wrześniu ubiegłego roku, owszem, zawarto porozumienie, ale dotyczyło ono jedynie

kle podniosłą apostrofą: „Krajowa Sekcja Energetyki NSZZ »Solidarność« zwraca się do Szanownego Pana Prezesa, jako przywódcy największej partii politycznej, posła na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, Wiceprezesa Rady Ministrów – Szefa Komitetu ds. Bezpieczeństwa Narodowego, wielkiego Patrioty dbającego o niezawisłość i rozkwit naszej Ojczyzny, ale przede wszystkim do Człowieka wielkiego serca, ducha, który wielokrotnie swoimi działaniami ratował i ratuje Rzeczpospolitą Polską przed upadkiem, o spowodowanie zmian w polityce właścicielskiej Energetyki Polskiej, w tym w obszarze polityki zarządzania spółkami dystrybucji i obrotu wchodzącymi w skład koncernów energetycznych Enea, Energa, Tauron, PGE w związku z narastającym konfliktem społecznym wynikającym z nieprzemyślnych decyzji właścicielskich oraz zarządczych, które pośrednio lub bezpośrednio zagrażają Suwerenności i Bezpieczeństwu Energetycznemu Polski oraz Polaków” (pisownia oryginalna).

Tłumacząc ze związkowego na nasze – Solidarność jest przeciwna planowanym w energetyce ruchom konsolidacyjnym,

Właściciele firmy Smart Kid SA, którzy opracowali konkurencyjny dla fotelików Smart Kid Belt (od lewej): Norbert Gałuszewski, Maciej Łuczak i Krzysztof Markowski

FOT. ARCH. PRYWATNE

Jak to się robi w UE



Łukasz Zboralski

Polacy ze Smart Kid SA opracowali system, który pozwala bezpiecznie przewozić dzieci bez użycia fotelika w samochodzie. Natychmiast spróbowano zablokować polski produkt, zmieniając przepisy na poziomie ONZ. Gdy to zawiodło, przeforsowano użycie dyrektywy UE, nawet zanim oficjalnie zaczęła funkcjonować. Czy dlatego, że polska innowacja uderzyła w rynek fotelików samochodowych wart miliardy euro?

Historia Smart Kid Belt to historia o tym, że do dziś w samochodzie człowieka zabezpiecza najlepiej głównie to, co wymyślił w Volvo Nils Bohlin, czyli pasy bezpieczeństwa. To też historia o tym, że po latach rozwoju rynku urządzeń bezpieczeństwa dla dzieci wciąż możliwe jest innowacyjne myślenie. Jednak to również historia o tym, że rynki sprzedawane są europejski i światowy – rozgrywane są brutalnie przez wielkie interesy kosztem nie tylko portfeli klientów, lecz także zdrowia i życia ich dzieci.

Maciej Łuczak, Norbert Gałuszewski i Krzysztof Markowski – trzech znajomi

z Polski – w 2016 r. założyli spółkę Smart Kid SA i opracowali własny patent na bezpieczne przewożenie dzieci w samochodach: Smart Kid Belt, czyli pas z klamrami, którym można spiąć pas bezpieczeństwa tak, aby pasował do ciała starszych dzieci (całkiem małe dzieci wożone są w fotelikach z zapinaniem w oddzielny system pasów).

Żeby sprzedawać takie urządzenie przytrzymujące dziecko, trzeba zdobyć homologację spełniania międzynarodowej normy ECE R44-04. Smart Kid Belt przeszedł testy zderzeniowe w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji

(PIMot.) w Warszawie wiosną 2016 r. Wypadły świetnie. W tym samym roku Smart Kid SA złożył wniosek o wydanie homologacji w Transportowym Dozorze Technicznym w Polsce. Produkt otrzymał homologację w lipcu 2017 r.

To otworzyło dla Smart Kid Belt rynki 56 krajów. Polski produkt trafił do sklepów w wielu państwach Europy. Firma zaczęła go sprzedawać także w Japonii, Korei, Singapurze. – W Stanach Zjednoczonych trzeba było zrobić odrębną homologację FMVSS (Federal Motor Vehicle Safety Standards – przyp. red.) i tam też Smart Kid Belt perfekcyjnie przeszedł badania, więc zaczęliśmy go sprzedawać także w USA – opowiada Norbert Gałuszewski.

Pierwsze zwiastuny kłopotów pojawiły się, gdy Smart Kid Belt – w Polsce z ceną 99 zł, a więc kilkakrotnie niższą od fotelików samochodowych – trafił do sprzedaży w sieciach handlowych. To wówczas ze strony osób powiązanych ze sprzedażą fotelików samochodowych popłynęły ostrzeżenia przed nowością na rynku. – Po prostu firmy fotelikowe przypuściły na nas atak – kwituje Gałuszewski.

Współtwórców SKB takie rzeczy denerwowały, ale nie martwiły. Uznali, że tak po prostu działa konkurencja, której zaczynają odbierać kawałek rynku.

ROSYJSKA ZAGRYWKA W ONZ

Jednak w tle tliło się coś gorszego. I o tym właściciele Smart Kid SA długo nie wiedzieli. Rozpoczęła się rozgrywka o zablokowanie sprzedaży ich produktu w Global Road Safety Partnership. To grupa robocza, która opracowuje Regulamin EKG ONZ, a w nim mieści się m.in. norma ECE R44-04 dotycząca urządzeń do przewożenia dzieci w samochodach. Ciałem doradczym tej grupy jest ogromne międzynarodowe zrzeszenie producentów części samochodowych i systemów – CLEPA. Skupia też ona europejskich gigantów branży fotelików samochodowych, czyli bezpośredniej konkurencji dla polskiego rozwiązania.

Już w czerwcu 2016 r. Rosjanie – którzy mają własnych producentów fotelików samochodowych i podkładek – zgłosili w GRSP poprawkę nr 11 do Regulaminu EKG ONZ. Niby drobiazg, zmiana jednego punktu. Była to jednak zmiana kluczowa dla zablokowania takich produktów jak polski Smart Kid Belt. – Poprawka zgłoszona przez Rosjan jako nieformalny dokument na grupie roboczej zmieniała punkt 2.8.8. regulaminu w taki sposób, że wykluczono w przyszłości w ogóle homologowanie takich urządzeń jak nasze – tłumaczy Krzysztof Markowski. – Tego rodzaju urządzenia od tej pory będą mogły być homologowane wyłącznie z urządzeniami podtrzymującymi, czyli podkładkami lub fotelikami. Tą samą poprawką członkowie GRSP wyeliminowali również możliwość używania popularnych podkładek dla dzieci z drugiej grupy wagowej (15–25 kg), pozostawiając możliwość używania ich tylko dla najstarszych dzieci (grupa III – 22–36 kg).

Nieformalny dokument z GRSP został – zgodnie z postępowaniem – przekazany Komisji Europejskiej. Tam nastąpiła zgodnie z procedurą tzw. wewnątrzspółnotowa weryfikacja. I zmiana została zatwierdzona na mocy tzw. mega decyzji.

Właściciele Smart Kid Belt, choć nie byli tego świadomi, po zmianie regulaminu zostali na chwilę światowymi potentatami. To był jednak tylko pierwszy krok. Następnym było podważenie polskiej homologacji. – Grono GRSP zaczęło uważać, że nasza homologacja jest nieważna, bo nie mogła

zostać przyznana na podstawie regulaminu ECE R44-04 zmienionego poprawką nr 10 – opisuje Krzysztof Markowski. – To była szokująca postawa, bo przecież prawo nie może działać wstecz. Poprawka numer 11, wykluczająca homologowanie takich urządzeń jak nasze, jako akt prawny przyjęta została w lutym 2017 r. Zgodnie z prawem od momentu jej przyjęcia instytucje wydające homologacje mogą działać na podstawie poprzedniego regulaminu jeszcze przez 12 miesięcy. I nasz produkt uzyskał homologację w lipcu 2017 r. A więc jeszcze długo przedtem, zanim zgodnie z poprawionym regulaminem nie można było już takich urządzeń nawet badać.

Właściciele Smart Kid SA zebrali opinie prawne, z których wynika jednoznacznie, że zgodnie z obowiązującym regulaminem ONZ można było przeprowadzić homologację ich produktu. Opinie te przedstawili odpowiedniej komórce Komisji Europejskiej.

Kiedy Rosjanie zorientowali się, że taką poprawką nie uda się skutecznie wycofać homologacji Smart Kid Belt, zdecydowali się zrobić to po swojemu – wycofali lokalny certyfikat handlowy EAC. W ten sposób zablokowali możliwość legalnego eksportu polskiego produktu do całej Euroazjatyckiej Unii Celnej.

NIE KIJEM, TO MŁOTEM

Spokój nie potrwał jednak długo. – Ktoś najprawdopodobniej zorientował się, że próba usunięcia nas z rynku poprawką nr 11 do regulaminu ONZ jest zbyt grubymi nićmi szyta, ponieważ brak jej podstawy prawnej – zakłada Markowski. – Dlatego nastąpił nowy, niespodziewany dla nas zwrot akcji.

Tym razem – w grudniu 2019 r. – to Komisja Europejska złożyła kolejną, 18. poprawkę do regulaminu grupy roboczej przy ONZ. W dokumencie, który miał być podstawą do takiego działania, obok zdjęcia rosyjskiego urządzenia do spinania pasów bezpieczeństwa w samochodzie sprytnie zestawiono zdjęcie Smart Kid Belt.

Dokument stwierdzał, że tego typu produkty są niebezpieczne i nie powinny być dopuszczane do sprzedaży bez względu na wyniki testów zderzeniowych. – Można oniemić – mówi Krzysztof Markowski. – Okazuje się, że bez względu na to, czy się przechodzi testy i spełnia określone wymagania, a więc

potwierdza bezpieczeństwo produktu, nie będzie można go sprzedawać!

Z takiego przebiegu sprawy trudno nie wysnuć wniosku, że regulamin zmieniał się tylko z jednego powodu – zablokowania sprzedaży polskiej innowacji w bezpieczeństwie transportu dzieci.

– Podczas posiedzenia grupy roboczej ONZ pokazywałem obszerną prezentację multimedialną, udowadniając twardymi dowodami, że wskazane zagrożenia nie dotyczą Smart Kid Belt – wspomina Markowski. Po jego przemówieniu przedstawiciele kilku krajów nadal upierali się, że „coś takiego jest niebezpieczne”. Postanowiono głosować. Tylko Polska była przeciw. Projekt poprawki usuwający de facto z rynku polską innowację został przyjęty.

JAK „POMAGA” KOMISJA EUROPEJSKA

Zatwierdzona poprawka wróciła do rozpatrzenia w Komisji Europejskiej. Polscy przedsiębiorcy natychmiast tam ruszyli.

– Wskazywaliśmy, że zarzuty co do braku bezpieczeństwa naszego produktu są bezpodstawne i nigdy nie zostały udokumentowane, a działania wobec nas to zabijanie konkurencji wewnątrz UE i blokowanie innowacji – wspomina Markowski.

Na swoją obronę przedstawiciele Smart Kid SA mieli nie tylko wyniki testów homologacyjnych z Polski, lecz także dobre wyniki testów z USA oraz z instytutu z Hiszpanii, które na własną rękę wykonał tam jeden z naukowców do własnej pracy badawczej.

W Komisji Europejskiej sprawą zajmował się Unit DG GROW, jego szefową jest Polka – Joanna Szychowska. – Wymyśliła, że zrobimy w KE jeszcze kolejne testy, własne testy w Joint Research Centre (JRC) – mówi Markowski. – I zaczęliśmy być spokojni.

W tym samym czasie szturm na polski Smart Kid Belt przypuściła niemiecka organizacja ADAC. We wrześniu 2020 r. upubliczniła film z testu zderzeniowego przeprowadzonego wspólnie z holenderską organizacją Consumentenbond i publicznie ostrzegła przed polskim produktem. Po wód? Pas miał naciskać na brzuch dziecka i zarazem być za blisko jego szyi. Sęk w tym, że – jak dostrzegli polscy producenci – w teście użyto dwóch różnych manekinów. W Smart Kid Belt zapięto większego i cięższego manekina Q6 (22 kg), a w foteliku mniejszego – Q3 (15 kg). W dodatku fakt naciskania na brzuch i dotykania szyi dziecka – co uznano za zagrożenie – nie był dowiedziony żadnymi czujnikami, ale

stwierdzony „na oko” na podstawie filmu. – A na zbliżeniu i stop-klatce widać, dlaczego pas dotykał szyi dziecka i w ogóle dlaczego tak się zachowywał z naszym urządzeniem – wskazuje Markowski. – Został po prostu źle zapięty.

Medialny efekt został jednak osiągnięty. Na niektórych rynkach Europy produkt zaczął być wycofywany ze sklepów.

UDERZENIE SPECJALNĄ DYREKTYWĄ

Ostatecznie Komisja Europejska wycofała się z kontrowersyjnej poprawki nr 18 do Regulaminu ONZ (umożliwiającej zabranianie sprzedaży produktów nawet, gdy posiadają stosowną homologację). Jednak Holendrzy złożyli w sprawie Smart Kid Belt wniosek „non compliance” – o niezgodność z rozporządzeniem Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2018/858 z dnia 30 maja 2018 r.

To rozporządzenie, które powstało po aferze Dieselgate Volkswagena. Dało ono Komisji Europejskiej uprawnienia do weryfikacji prac krajowych organów udzielających homologacji typu, jak również do badania pojazdów, wycofywania i zawieszania homologacji typu i nakładania kar. – Jednak tej dyrektywy wówczas jeszcze nie można było stosować, bo taka możliwość zaczynała się dopiero 1 września 2020 r. Jak więc można było złożyć wniosek o zbadanie zgodności naszego produktu z dyrektywą? – pyta Markowski.

Tymczasem badania, które zaproponowała Komisja Europejska, dziwnym trafem przeciągały się od czerwca do października. Ich wyniki zostały opublikowane dopiero w listopadzie. Dyrektywa już weszła w życie. A Holendrzy już zdążyli wysłać zawiadomienie do polskiego TDT oraz Komisji Europejskiej, że ich zdaniem homologacja dla Smart Kid Belt została wydana błędnie. Taki wniosek uruchamia możliwość działania z pomocą dyrektywy, która pozwala KE unieważnić homologację dla produktu.

Złeczone przez KE badanie Smart Kid Belt wyszły świetnie. Poza jednym elementem – znów uznano i ponownie oceniono to „na oko”, że pas przechodzi poza strukturę miednicy manekina. Polski producent poprosił o opinię eksperta ds. badań zderzeniowych. Jego zdaniem test Komisji Europejskiej niepoprawnie wytyka rzekomą wadę, czyli przesunięcie pasa poza strukturę miednicy w momencie najmocniejszego wychylenia głowy manekina. – Pas działa chwilę przed

tym wychyleniem najmocniej, potem następuje poluzowanie. I my taką opinię mamy – wskazuje Markowski.

Polscy producenci zwrócili także uwagę, że do testów użyto manekina P10 (na takim samym urządzeniu pozytywnie przeszło homologację w Polsce), który podczas testów cechuje niepoprawna kinematyka i w branży dobrze o tym wiadomo. Przynajmniej od 2014 r. – i jest na ten temat potwierdzenie w dokumentach ONZ – jasne jest, że manekin P10 podczas testów zachowuje się inaczej niż ludzkie ciało. Dlatego regulamin dopuszcza stosowanie w testach nowszego rodzaju manekina – Q10. Dlaczego KE wybrała przestarzały model? Nie wiadomo. Wiadomo, że producent Smart Kid Belt w lutym wykonał na własną rękę badania w USA na manekinie Q10. Wyszły idealnie.

Komisja Europejska przyznała „Do Rzeczy”, że oba manekiny zachowują się podczas testów inaczej. „Manekiny testowe Q10 i P10 nie są równoważne, ponieważ mają różne cechy konstrukcyjne i odpowiedź biofideliczną (zachowanie zbliżone do ludzkiego ciała – przyp. red.)” – napisała nam Federica Miccoli z Biura Prasowego KE. Dodała jednak, że „wymagany” w badaniach homologacyjnych jest manekin P10, dlatego w powtórnych badaniach użyto także jego. To nie do końca prawda. Regulamin dopuszcza bowiem i w testach homologacyjnych użycie nowszego manekina Q10, trzeba to tylko odnotować w raporcie. W dodatku w nowym regulaminie homologacji (R129), który zacznie obowiązywać w 2023 r., do badań będzie można używać już wyłącznie manekina Q10.

Urzednicy KE nie potrafili odpowiedzieć nam na pytanie, po co wprowadzali poprawkę nr 18, z której potem się wycofali. Z odpowiedzi Miccoli wynika, że urzednicy unijni zaproponowali zmianę prawa, ale potem zdali sobie sprawę, że w sumie niepotrzebnie, bo takich urządzeń i tak nie można już homologować.

Przedstawicielka KE napisała nam, że Komisja Europejska przed wejściem w życie dyrektywy pozwalającej przeprowadzać badania weryfikujące zgodność produktów zbadała już „potencjalną niezgodność produktu SKB” i że ta „ocena prawna” pozwoliła wykorzystać później wchodzącą w życie regulację. Nie wiadomo jednak, w jaki sposób KE zbadała polski produkt, skoro zastrzeżenia zgłaszano tylko na podstawie testów wykonanych

przez organizację konsumencką podważając coś na podstawie filmu.

Przedstawiciel UNECE (gdzie działa grupa robocza ONZ) – Jean Rodriguez – nie odniósł się do naszych wątpliwości co do tego, że rzekome wady polskiego produktu wytknęli jego bezpośredni konkurenci – producenci fotelików.

Komisja Europejska też nie widzi w tym nic złego. „Dyskusje w grupach roboczych EKG ONZ są otwarte na wkład każdej strony, przy czym przemysł, organizacje konsumenckie są zaproszone do wyrażania swoich opinii” – skwitowała Federica Miccoli. Dodała, że zastrzeżenia wobec tego rodzaju produktów dla dzieci zgłosiły też inne kraje. Co ciekawe głównie te, w których centrale mają najwięksi producenci fotelików.

CZY TO JUŻ KONIEC?

Jeśli grono z GRSP i Komisji Europejskiej uda się wycofać homologację dla Smart Kid Belt, to polski produkt zniknie z rynku na zawsze. I to także z polskiego – zgodnie z unijnymi przepisami nie będzie mógł bowiem być sprzedawany nigdzie. I nikt już takiego urządzenia nie będzie miał szansy homologować – zmieniony w ONZ Regulamin ECE zakazuje w ogóle badania tego rodzaju produktów. Rynek urządzeń do bezpiecznego przewożenia dzieci – warty miliardy euro – zostanie zamurowany na zawsze tylko dla producentów fotelików. Żadna bezpieczna innowacja niebędąca podkładką lub fotelikiem już nie dostanie nigdy homologacji.

– Chodzi o utracenie innowacji, które mogą w przyszłości okazać się lepszą ochroną dla dzieci niż samochodowe foteliki – uważa Markowski. – To jest więc sprawa przyszłości, życia i zdrowia najmłodszych – przekonuje.

– O sprawie tej polskiej firmy już słyszałem – mówi „Do Rzeczy” europoseł PiS Ryszard Czarnecki. – To przykład walki konkurencyjnej, gdzie przy szermowaniu argumentami o wolnym rynku wykorzystuje się ONZ i KE do zacieklej obrony swoich interesów ekonomicznych i zwalczania konkurencji. Ewidentnie atakuje się polskiego producenta. I to niestety niejedyny taki przypadek. Polskie władze, a także polska dyplomacja powinny bronić interesów konkretnych polskich firm, które znalazły się pod takim obstrzałem. W sprawie tego polskiego producenta skieruję interpelację do Komisji Europejskiej – zapowiada.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Duże tarcze = duże podatki

Ostatnio co i rusz podnosi się larum, że rząd winduje wysokość starzych, dobrze znanych podatków i z jeszcze większą zapalczywością kreuje nowe. Jak nie podatek cukrowy, to podatek od reklam w prasie, radiu, telewizji i Internecie. Jak nie podatek handlowy, to opłata mocowa za prąd. Jak nie opłata małpkowa za wódkę w małych buteleczkach, to opłata od wymiany oleju silnikowego. Jak nie opłata reprograficzna od smartfonów, tabletów i telewizorów smart, to opłata OZE za prąd. Jak nie podatek od dochodów uzyskiwanych za granicą, to podatek od spółek komandytowych. Jak nie składka do ZUS od umowy o dzieło, to opłata od przekształcenia OFE.

Skąd jednak to larum? Przecież ci, którzy tak bardzo się cieszyli, że rząd zafundował Polakom – jeśli wierzyć Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, a nie ma powodu, by mu nie wierzyć – najhojniejsze tarcze antykryzysowe w stosunku do PKB w całusińskiej Europie – ci, którzy się tym radowali i temu bili brawo – a były ich miliony – niech dziś się nie dziwią i nie pomstują, że teraz ten sam rząd szykuje dla Polaków drakońskie podatki, może także największe w Europie. Ktoś w końcu musi spłacić te setki miliardów złotych, na które rządzący tak ochoczo zadłużali i nadal zadłużają polskich podatników; zadłużali i zadłużają – nie można nie dodać gwoli prawdy – zachęceni do tego nierzadko przez tych samych podatników, może nie do końca świadomych

lub całkiem nieświadomych, że swym ciepłym przyjęciem wsparcia sami się przyczynili do gwałtownego podnoszenia im wymiaru istniejących podatków i obarczania nowymi.

Niechże więc owi podatnicy przygotowują się teraz na to, że stare podatki będą rosły jak na drożdżach i że będzie przybywać bez liku nowych. Rzecz jasna, dla niepoznaki przeważnie będą one nazywane opłatami, składkami lub daninami, a jeśli już wprost podatkami, to nigdy zwykłymi, a zawsze podatkami SOLIDARNOŚCIOWYMI I/LUB NARODOWYMI. Tak jak forsowany dziś podatek od reklamy, nazywany składką solidarnościową od reklam na rzecz walki ze skutkami pandemii koronawirusa, albo wcześniejsza danina solidarnościowa na wsparcie osób niepełnosprawnych. Będzie więc szybko przybywać takich solidarnościowych/ narodowych podatków – a to od liczby gości w hotelach i restauracjach, a to od liczby ćwiczących w siłowniach, a to od liczby widzów w kinach, a to od liczby narciarzy na stokach, a to od wódki w średnich butelkach, a to od...

Anie przybywałoby ich, przynajmniej tak szybko, gdyby Polacy, najlepiej od początku epidemii, zamiast prosić rząd o wsparcie z pieniędzy podatników (czyli swoich) – o te wszystkie zwolnienia z ZUS, postojowe itd. – twarzą żądali niezamknięcia gospodarki i zająęcia się przez rząd takim przygotowaniem służby zdrowia, by gospodarka mogła działać bez zakłóceń. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

... ale się nie cieszyłem!

Mogli się nie lubić, mogli mieć przeciwnne poglądy w wielu sprawach, mogli walczyć i spierać się za kulisami mnóstwo razy, ale nawzajem się jednak potrzebowali: Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin. Tak było w pierwszej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy. Trwanie jednego ugrupowania w koalicji gwarantowane było trwaniem drugiego, a żaden z polityków nie miał interesu, aby jego rywal na przeciwnym skrzydle zniknął z jakiegokolwiek powodu.

Jarosław Gowin walczy z próbą wrogiego przejścia jego własnej partii, a Solidarna Polska wydaje się monolitem

To już przeszłość. Równowagi dzisiaj nie ma, a stan obu ugrupowań mocno się różni. Podczas gdy Jarosław Gowin walczy wciąż z próbą wrogiego przejścia jego własnej partii przez bliskiego Jarosławowi Kaczyńskiemu Adama Bielana, Solidarna Polska nie wynosi na zewnątrz żadnych sporów, wydaje się monolitem, a w dodatku bardzo konsekwentnie tworzy własny wizerunek w oparciu o nadarzające się co rusz sposobności. O jednej z nich – kwestii strategii energetycznej do 2040 r. – piszę w tym numerze „Do Rzeczy” (str. 78 – przyp. red.).

Ten kontrast jest uderzający. Punkt wyjścia kilka lat temu wydawał się przecież korzystniejszy dla Gowina: wchodził do rządu Zjednoczonej Prawicy z, wydawałoby się, czytelnym rysem wolnościowym i wolnorynkowym. A jednak przez minione pięć lat nie umiał na tym zbudować swojej odrębności. Po drodze nie pomagały z pewnością związane z nim osoby, takie jak Jadwiga Emilewicz, która okazała się bliższa PiS niż swojego mentora. Gowinowi nic pod tym względem nie dało nawet skuteczne przeciwstawienie się majowemu terminowi wyborów prezydenckich.

Tymczasem Ziobro, z początku traktowany jako polityk jednego tematu – zmian w wymiarze sprawiedliwości – nieźle się rozkręcił i zaczął umiejętnie grać na suwerennościowej, momentami antyunijnej nucie, zajmując wyraziste stanowisko w wielu sprawach dalekich od sądownictwa – oczywiście przede wszystkim w kontraście do Mateusza Morawieckiego. W rezultacie, gdyby z jakiegos powodu obecni koalicjanci PiS musieli szukać osobnego miejsca w polityce, SP miałaby jednak szanse, startując samodzielnie, a Porozumienie musiałoby się do kogoś przykleić.

Postawę Gowina niegdyś genialnie podsumował Robert Górski w „Uchu Prezesa”: „Głosowałem, ale się nie cieszyłem!”. Po chwili bohater epizodu złapał się za plecy, a na pytanie, co mu jest, odrzekł: „Nic nic, to kręgosłup”. Opłacało się? ©



2021 rokiem chorób mózgu

– W ostatnim czasie pojawia się wiele nowych, przełomowych opcji leczenia dla pacjentów neurologicznych, a niektóre terapie mogą też wspomóc leczenie powikłań COVID-19. Jednak polska neurologia potrzebuje wielu zmian – mówi prof. Konrad Rejdak, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Neurologicznego

Neurologowie mają dziś pod opieką bardzo wielu pacjentów w różnym wieku, zarówno młodych, jak i starszych. Jest ich coraz więcej, dlatego Towarzystwo Neurologiczne od dawna zabiega, by nadać neurologii priorytet. Mamy nadzieję, że rok 2021 będzie rokiem przełomowym. Wraz z Instytutem Łazarskiego przygotowujemy „białą księgę neurologii”, w której chcemy opisać stan faktyczny leczenia chorób neurologicznych w Polsce i zaproponować zmiany systemowe. Mamy wiele propozycji; jedną z najważniejszych jest zmiana wyceny procedur wewnątrzszpitalnych, przekazanie części kompetencji poradniom specjalistycznym, by mogły wykonywać część specjalistycznych badań. Obecny system na to nie pozwala: wyceny procedur są tak niskie, że albo musimy przetrzymywać chorych w szpitalu, by otrzymać adekwatne finansowanie, albo szpital popada w długi. Chcemy stworzyć system, który uniezależni wyceny od długości pobytu pacjenta w szpitalu. Chcielibyśmy też „sięgnąć szpitale”, stworzyć ich różne stopnie referencyjności i w zależności od potrzeb kierować do nich pacjentów.

Ogromnym problemem polskiej neurologii są kadry – jest za mało neu-

rologów, a wielu lekarzy „ucieka” poza system publiczny. Pozostało nas ok. 2 tys. w publicznym systemie ochrony zdrowia, a samych pacjentów ze stwardnieniem rozsianym jest ponad 51 tys., wymagają oni wieloletniej opieki i leczenia. Oddziały neurologiczne są przeciążone, dostawki są codziennością w szpitalach. Problem z dostępnością do neurologów jest także w poradniach. Powinniśmy zrobić wszystko, by lekarze neurologowie powrócili do publicznego systemu ochrony zdrowia.

POSTĘPY W LECZENIU, NOWE TERAPIE

Mamy coraz bardziej skuteczne metody terapii, m.in. przełomowe sposoby leczenia udarów niedokrwiniennych mózgu (trombektomia mechaniczna, tromboliza). Warunkiem jest szybkie dotarcie chorego do szpitala i możliwość udrożnienia naczynia. Mimo pandemii COVID-19 3,5 proc. udarów niedokrwiniennych jest w Polsce leczonych metodą trombektomii mechanicznej, co jest bardzo dobrym wskaźnikiem w porównaniu z innymi krajami. Rozwijają się też terapie regeneracyjne, które mają odtworzyć struktury mózgu, ale to nadal wyzwanie na przyszłość.

Ogromnym przełomem są nowe terapie w leczeniu stwardnienia rozsianego, tera-

pia genowa w rdzeniowym zaniku mięśni (a jeszcze niedawno dzieciom z tą chorobą praktycznie nie można było pomóc), leczenie innych chorób rzadkich, takich jak choroba Pompego, Fabry’ego. Poprawiają się sytuacja i sposób leczenia pacjentów z chorobą Parkinsona, Alzheimer’a, choć tu nadal czekamy na przełom.

NOWE WSKAZANIA DLA STARYCH LEKÓW NEUROLOGICZNYCH – COVID-19

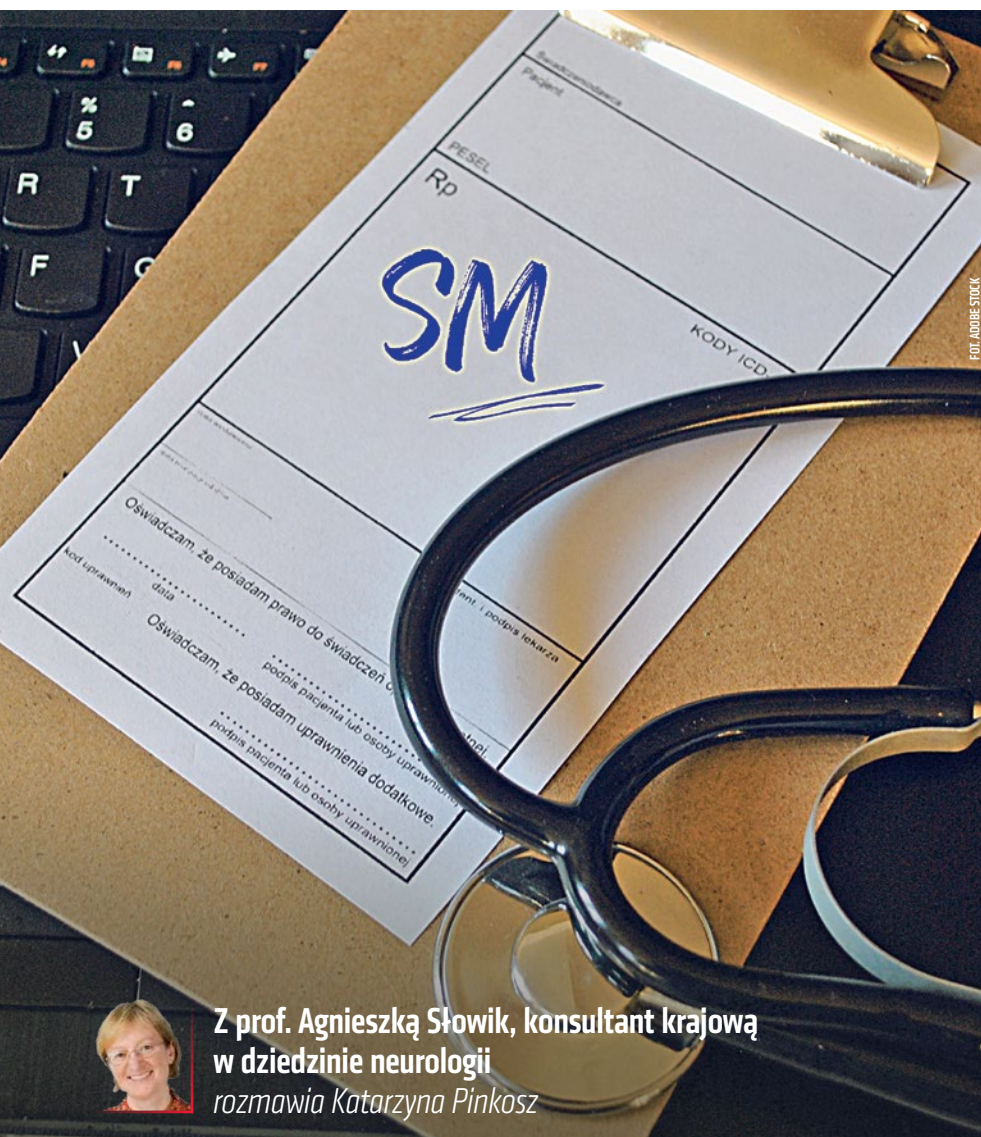
Leki neurologiczne mają zastosowanie w wielu schorzeniach, np. niektóre leki przeciwpadaczkowe są pomocne w terapii bólu, zaburzeń nastroju. To nic nowego – leki mają złożone mechanizmy działania, mogą być używane w różnych wskazaniach. Gorącym tematem jest stosowanie amantadyny (leku stosowanego u pacjentów z chorobą Parkinsona, stwardnieniem rozsianym i po urazach mózgu) w COVID-19. Według dostępnych badań to nie jest lek ściśle przeciwwirusowy, jednak ma pewne działanie antywirusowe, również przeciwko wirusowi SARS-CoV-2. Mamy liczne doniesienia od wielu pacjentów i nie należy ich ignorować, to prawdziwe relacje chorych. Jeśli byłoby ich kilka, to można byłoby uznać, że są przypadkowe. To bardzo dobrze, że obecnie toczą się badania kliniczne z amantadyną. Nie obawiałbym się, że jej stosowanie może spowodować „mutację wirusa”. Naturalną właściwością wirusów jest mutowanie; gdy lek działa, również mogą pojawiać się mutacje, gdyż wirus robi wszystko, by wymknąć się działaniu leków. Moim zdaniem amantadynę trzeba zbadać, by sprawdzić, jak działa. Być może okaże się pomocna, by przetrwać tę ostrą fazę pandemii, a potem możemy szukać innych, bardziej skutecznych terapii.

Innym lekiem neurologicznym, który może okazać się skuteczny w pierwszej fazie COVID-19, jest jeden z leków przeciwdepresyjnych. Amerykanie jako pierwsi przeprowadzili badania, z których wynika, że ma on też działanie przeciwzapalne i może mieć wpływ we wczesnej fazie COVID. Obecnie toczą się badania trzeciej fazy tej terapii. ©©

notowała: Katarzyna Pinkosz



prof. Konrad Rejdak – kieruje Kliniką Neurologii Szpitala Klinicznego nr 4, Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, jest prezesem elekt Polskiego Towarzystwa Neurologicznego.



Z prof. Agnieszką Słowik, konsultant krajową
w dziedzinie neurologii
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Szybsza diagnoza to sprawność

KATARZYNA PINKOSZ: Stwardnienie rozsiane (SM) najczęściej dotyka osoby młode, między 20. a 40. rokiem życia. Co to za choroba?

PROF. AGNIESZKA SŁOWIK: Przewlekła choroba ośrodkowego układu nerwowego. Najczęściej dotyka młodych ludzi, szczególnie kobiet. Dokładny mechanizm stwardnienia rozsianego nie jest poznany.

Średni czas od wystąpienia pierwszych objawów do postawienia diagnozy to aż siedem-osiem miesięcy, a są osoby, które na diagnozę czekały ponad rok. Czy objawy SM są aż tak nietypowe?

Czasem pierwsze objawy choroby rzeczywiście nie są typowe, np. pacjenci skarżą się tylko na uporczywe, przewlekłe zmęczenie. Częściej jednak mają typowe objawy: zaburzenia widzenia, za-

burzenia czucia, niedowład połowiczny, niedowład jednej kończyny, osłabienie kończyn dolnych, niezgrabność ruchów, zaburzenia równowagi, zaburzenia chodu, problemy z oddawaniem moczu. Rzadko się zdarza, że choroba zaczyna się gwałtownie i od razu powoduje duży deficyt neurologiczny, tzn. pacjent przestaje chodzić, ma poważne problemy z mową. W takiej sytuacji zazwyczaj szybko trafia do neurologa, poprzez SOR bezpośrednio do oddziału neurologicznego.

Zdarza się jednak, że objawy neurologiczne są bardzo subtelne, nie zaburzają codziennego funkcjonowania. W takiej sytuacji dopiero kolejny rzut choroby przypomina pacjentowi o tym przejściowym epizodzie neurologicznym, który zdarzył się wiele lat wcześniej. To jeden z powodów, dlaczego niekiedy od pierwszych objawów do postawienia diagnozy mija długi okres.

Co można zrobić, by przyspieszyć diagnostykę?

W Polsce co roku na stwardnienie rozsiane zapada ok. 2 tys. osób. To nie jest duża liczba. Dla tych osób warto stworzyć przyspieszoną ścieżkę w systemie opieki zdrowotnej, która pozwoli na możliwie szybkie postawienie diagnozy i wdrożenie leczenia. Warto to zrobić, ponieważ wczesne włączenie leczenia modyfikującego przebieg choroby skutkuje znacznym przedłużeniem sprawności. W Polsce rzeczywiście duża liczba pacjentów ma stawianą diagnozę późno, często dlatego, że objawy choroby są nietypowe lub bardzo dyskretne. Pacjent przychodzi do lekarza rodzinnego, który ma trudne zadanie, musi go wstępnie zdiagnozować i odpowiednio pokierować, mając na uwadze to, że w wielu chorobach czas ma kluczowe znaczenie. Lekarze rodzinni muszą dysponować wiedzą na temat bardzo wielu chorób, także neurologicznych. To właśnie od doświadczenia lekarzy rodzinnych zależy, w którym momencie pacjent z objawami SM trafi do neurologa. Zazwyczaj bez większych trudności potrafi on rozpoznać stwardnienie rozsiane. Zdarza się jednak, że i neurolog ma problemy z postawieniem jednoznacznej diagnozy, i czasem pacjent wymaga przeprowadzenia bardzo szerokiej diagnostyki różnicowej. Trzeba pamiętać, że istnieje wiele chorób, które mogą dawać objawy neurologiczne bardzo podobne do SM.

Dlatego uważam, że każdy pacjent z podejrzeniem stwardnienia rozsianego powinien mieć diagnozę zweryfikowaną w warunkach szpitalnych. Zapewniają one lekarzom znacznie więcej czasu na refleksję i dają możliwość postawienia diagnozy z możliwie wysokim poziomem pewności. Jest to bardzo poważna diagnoza, na całe życie, determinująca włączenie na lata terapii modyfikującej układ immunologiczny.

Pajawił się pomysł stworzenia Karty Diagnostyki i Leczenia SM na wzór karty DiLO w onkologii. Jest potrzebna?

W onkologii karta DiLO dała pacjentom szansę na szybką diagnostykę i poprawiła dostęp do nowoczesnych terapii. O podobny dokument warto powalczyć w SM; szybsze włączenie leczenia daje szansę na dłuższą sprawność pacjenta. Od nas, lekarzy, oraz od samych pacjentów zależy, czy proponujemy takie rozwiązanie także chorym z podejrzeniem SM.

Dlaczego szybkie rozpoznanie i rozpoczęcie leczenia jest tak ważne?

Oznacza przedłużenie samodzielnego funkcjonowania o kilka-kilkanaście lat, tzn. pacjent nie jest zmuszony przez chorobę do poruszania się za pomocą wózka inwalidzkiego. Obecnie w Polsce są dostępne niemal wszystkie możliwe terapie SM. Oczywiście, to trochę trwa, zanim lek uzyska refundację w ramach programu lekowego, jednak trzeba zaznaczyć, że czas do wprowadzenia kolejnego nowego leku staje się coraz krótszy.

W Czechach jest ustawowy obowiązek włączenia leków modyfikujących chorobę w ciągu 28 dni od momentu postawienia diagnozy. Jak to wygląda w Polsce?

W Polsce nie ma takiego zapisu, ale nie był on proponowany ani przez towarzystwo neurologiczne, ani przez stowarzyszenia pacjenckie. Można rozważyć wprowadzenie takiego zapisu. Zmieniać rzeczywistość bywa trudne, ale tylko od nas zależy, czy włączymy się aktywnie w prace nad wprowadzaniem kolejnych zmian ułatwiających leczenie.

W Polsce jest ok. 50 tys. chorych na SM; dla każdego trzeba zaplanować terapię do końca życia. To nie jest proste, jednak widzimy efekty dostępnego leczenia: jeszcze 15–20 lat temu większość chorych na SM, którzy

Malina Wieczorek, fundator i prezes „Fundacji SM – Walcz o Siebie”:

Niepokojące głosy pacjentów dotyczące trudności w dostępie do diagnostyki i leczenia w czasie pandemii COVID-19 skłoniły nas do zainicjowania kampanii „SM w czasach pandemii COVID-19”. Wyniki badania ankietowego pokazują, że choć pacjenci generalnie dobrze oceniają opiekę neurologiczną w czasie pandemii, to jednocześnie odczuwają wyraźne pogorszenie jakości świadczonych usług medycznych oraz zgłaszają trudności i wydłużony czas oczekiwania na umówienie wizyty lekarskiej lub wykonanie niezbędnych badań diagnostycznych. Na znaczeniu zyskała telemedycyna, ale pacjenci są podzieleni, jeśli chodzi o jej ocenę. Pozytywnie oceniono to, że leki w ramach programów lekowych można odbierać co trzy miesiące (niekoniecznie osobiście), a wizyty mogą odbywać się z mniejszą częstotliwością.

Problemem, który mocno nasilił się w związku z pandemią, jest zbyt późne stawianie diagnozy. W opinii blisko połowy badanych okres do postawienia diagnozy trwa zbyt długo, co wynika m.in. z początkowo błędnego rozpoznania, a także ignorowania przez lekarzy zgłaszanych objawów, a co za tym idzie – niepodejmowania diagnostyki pod kątem SM. Problemem jest też utrudniony dostęp do specjalistów. W konsekwencji w 2020 r. według naszych szacunków (NFZ nie przedstawił jeszcze danych) zdiagnozowano ok. 1,5 tys. pacjentów mniej niż rok wcześniej. To znaczy, że blisko tysiąc osób nie zostało zdiagnozowanych! Powinny jak najszybciej mieć postawioną diagnozę i rozpocząć leczenie, by zatrzymać chorobę i oddalić widmo niepełnosprawności.

pojawiali się w poradni neurologicznej, była niesprawna, chodziła o kulach lub poruszała się na wózku inwalidzkim. Obecnie większość przychodzi samodzielnie. Oczywiście wiele osób ma dolegliwości utrudniające codzienne funkcjonowanie, jednak niewiele ma nasiloną niepełnosprawność.

Choroba nie jest możliwa do wyleczenia, ale jest możliwe zwolnienie postępującej niepełnosprawności?

Dzisiaj nie ma leku, który leczy SM; są leki modyfikujące przebieg choroby, spowalniające jej rozwój. Być może jednak za kilka lat będzie lek, który jednorazowo podany zatrzyma chorobę. Dziś dla 20-latkę, który ma SM, poszukujemy takiego sposobu leczenia, aby za 40 lat nadal był człowiekiem sprawnym. Włączenie leczenia po miesiącu, dwóch od pierwszych objawów powoduje, że szansa na taki optymistyczny przebieg choroby jest naprawdę duża. Dlatego musimy zrobić wszystko, aby proces diagnostyki był jak najszybszy.

Jak pandemia COVID-19 wpłynęła na sytuację pacjentów z SM? Czy trudności w kontakcie z lekarzem, pogorszenie dostępu do diagnostyki mogły wpłynąć na opóźnienia w diagnozowaniu nowych chorych?

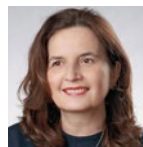
Od początku epidemii kontakt z pacjentami chorymi na SM w wielu przypadkach odbywał się zdalnie. Było to spowodowane zwiększonym ryzykiem

zakażenia wirusem z powodu stosowania leków modyfikujących układ immunologiczny. Można powiedzieć, że pacjent chorujący na SM i leczony w ramach programu lekowego ma swojego osobistego lekarza, który dobrze go zna i z tego powodu niekoniecznie każda wizyta musi odbywać się w warunkach bezpośredniego kontaktu. Rzetelną odpowiedź na drugie pytanie będziemy mieć za kilka miesięcy. Wtedy spodziewamy się analiz z MZ i NFZ.

Jakie są najważniejsze wyzwania na 2021 r., jeśli chodzi o SM?

Chciałabym, abyśmy doczekali leku, który leczy stwardnienie rozsiane, a nie tylko modyfikuje przebieg tej choroby. Ważna jest również modyfikacja systemu organizacji leczenia. W wielu sprawach dotyczących chorych, które wymagają zmian, mamy dziś dużą życzliwość ze strony decydentów, dlatego mam nadzieję, że te kolejne potrzebne zmiany będą możliwe.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. dr hab. n. med. Agnieszka Słowik – jest neurologiem, kierownikiem Oddziału Klinicznego Neurologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, kierownikiem Katedry Neurologii UJ CM oraz konsultantem krajowym w dziedzinie neurologii.



Z Bogdanem Gajewskim, prezesem Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię rozmawia Katarzyna Pinkosz

Chorzy czekają na zmiany

KATARZYNA PINKOSZ: Hemofilia to ciężka choroba? Bardzo przeszkadza w życiu?

BOGDAN GAJEWSKI: Nieleczona jest chorobą śmiertelną. Jeśli jest leczenie, to nie sprawia ona większego problemu, można z nią prawie normalnie żyć. Długość życia chorego na hemofilię, który jest prawidłowo leczony, nie różni się od długości życia osoby zdrowej.

Ta choroba wciąż kojarzy się z tym, że gdy ktoś się skaleczy, to może umrzeć. Skaleczenie jest niebezpieczne?

Nie, drobne skaleczenia, otarcia nie są problemem. Poważniejsze są krwawienia wewnętrzne, które mogą pojawić się na skutek urazów bądź samoistnie – do stawów, do narządów wewnętrznych. Są bardzo bolesne, uniemożliwiają funkcjonowanie, mogą też być niebezpieczne. Trzeba wtedy jak najszybciej podać

czynnik krzepnięcia, żeby zahamować krwawienie.

Co to są czynniki krzepnięcia?

To leki, które ratują życie chorych na hemofilię, normalizują proces krzepnięcia krwi. Dzięki zaangażowaniu Ministerstwa Zdrowia i Narodowego Centrum Krwi oraz organizowanym przez te instytucje zakupom centralnym możemy mówić o sukcesie, ponieważ mamy w Polsce najniższe ceny tych leków na świecie. Dzięki temu mamy dobry dostęp do leczenia, chorzy mogą czuć się bezpiecznie. Nie tak jak wcześniej przez wiele lat, kiedy czynników krzepnięcia brakowało. Niedostateczne leczenie powodowało, że chorzy mieli zniszczone stawy i postępującą niepełnosprawność. Większość z nich jest dziś inwalidami narządu ruchu. Obecnie możemy pod

względem dostępu do leków czuć się bezpiecznie, co szczególnie ważne jest podczas pandemii COVID.

Jak pacjenci z hemofilią radzą sobie w sytuacji epidemii COVID, kiedy trudniej dostać się do lekarza?

Mamy dobry program leczenia – Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię – który gwarantuje odpowiednią ilość czynników krzepnięcia. To podstawa, bez tego sytuacja chorych wyglądałaby dramatycznie. Dostęp do koncentratów czynników krzepnięcia jest dobry na terenie całej Polski, uwzględnia też dobrze zmienność leczenia spowodowaną przebiegiem hemofilii.

Chory ma czynniki krzepnięcia w domu?

Tak, może zawsze z nich skorzystać, jeśli uzna, że to konieczne. Może też

przyjmować leki profilaktycznie, co jest wskazane w ciężkiej postaci choroby. Leczenie profilaktyczne zapobiega zdecydowanej większości krwawień. Dostęp do leku w domu to konieczność, aby uniknąć zagrożenia dla zdrowia i życia chorego. Bardzo ważne jest wprowadzenie dla dorosłych chorych dostaw domowych leków. Dla osoby, która jest inwalidą narządu ruchu, poruszającą się o kulach lub na wózku inwalidzkim, dowieszenie do domu takiej ilości leków, które są potrzebne na trzy miesiące, jest ogromnym problemem. Taki zapas zajmuje często objętość małej szafy. Dlatego chorzy często podają sobie mniejsze dawki leków, by wystarczyło ich na dłużej. Niestety, odbija się to na zdrowiu, dochodzi do uszkodzenia stawów. Dlatego cieszymy się, że wiceminister Waldemar Kraska podpisał Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię, który uwzględni szersze wprowadzenie dostaw domowych. To bardzo ważne, zwłaszcza w trakcie epidemii COVID. Daje to szansę pacjentom na prowadzenie leczenia profilaktycznego, a więc na normalne życie.

Hemofilia to rzadka choroba, ale ma Narodowy Program. Jak to się stało, że udało się go uchwalić? I jakie są najważniejsze założenia jego najnowszej edycji?

Przyjęcie programu to wynik niezłomnego działania środowiska pacjentów, szczególnie PSCH, ale też znakomitych lekarzy. Program gwarantuje odpowiednie zaopatrzenie w leki. Czynniki krzepnięcia może zamówić każdy szpital w Polsce i to – podkreślmy – bezpłatnie, jeśli trafi do niego chory na hemofilię. Dzięki przetargom centralnym i najniższym cenom czynników krzepnięcia na świecie można zaoszczędzić pieniądze i przeznaczyć je m.in. na poprawę leczenia albo na najnowsze technologie, które znacznie poprawiają jakość życia, np. chorych z inhibitorem czynnika krzepnięcia.

Co to jest inhibitor czynnika krzepnięcia i jak takich chorych leczyć?

Inhibitor to przeciwciało, które neutralizuje działanie czynnika krzepnięcia. W przypadku pojawienia się krwawienia u chorego z inhibitorem nie pomaga stosowanie czynnika krzepnięcia; wylew się nie kończy. To niebezpieczne dla życia. Pierwszym krokiem w takim przypadku jest próba wyeliminowania

inhibitora, tzw. proces odczulania, immunotolerancji. Polega on na podawaniu dużych ilości czynnika krzepnięcia, żeby organizm nauczył się go tolerować. Jeśli proces immunotolerancji się nie powiedzie, wówczas w przypadku krwawienia trzeba podawać choremu tzw. leki omijające inhibitor. Dają one możliwość zapanowania nad krwawieniami, jednak skuteczność tych leków jest ograniczona i pacjent nadal może mieć wylewy. Z nadzieją przyjęliśmy więc kolejną opcję, która niedawno się pojawiła – lek, który naśladuje działanie czynnika krzepnięcia. Nie jest on czynnikiem, dlatego organizm go nie zwalcza. Lek podaje się podskórnie. Takie leczenie poprawia jakość życia chorych, przede wszystkim jednak zapobiega kalectwu. Chory ma szansę normalnie funkcjonować, a nawet wrócić na rynek pracy. Możliwość takiego leczenia to duża zmiana. Cieszymy się, że dzięki temu, iż ministerstwo podpisało Narodowy Program i zagwarantowało odpowiednie środki, dało chorym szansę, by byli objęci nowoczesnym leczeniem. Bardzo to doceniamy. Poza tym – co ważne dla płatnika – jest to terapia znacznie mniej kosztowna niż leki obecnie stosowane w leczeniu.

Osoby z chorobami rzadkimi często podkreślają, że chcą być pod opieką specjalistycznych ośrodków, gdyż niewielu lekarzy zna się na leczeniu rzadkiej choroby. Narodowy Program zakładał powstanie takich ośrodków. Czy to się udało?

Niestety, tu sytuacja wygląda dramatycznie w przypadku dorosłych chorych. Ośrodków bardzo brakuje, wiele z nich istnieje tylko na papierze. Niedawno mieliśmy sytuację, że chory na hemofilię złamał nogę; lekarze nie byli w stanie zastosować u niego leczenia ortopedycznego. Nie ma wytypowanych szpitali, które mogłyby prowadzić leczenie ortopedyczne dla chorych na hemofilię – to pośrednio wynik pandemii COVID-19, bo wcześniej w Warszawie takim szpitalem był szpital MSWiA, który dziś jest „covidowy”. Jednak pandemia trwa już rok, a pacjenci muszą mieć gdzieś udzieloną pomoc. Chorzy z chorobą rzadką nie mają dokąd pójść. Niestety, podobnie wygląda sytuacja pacjentów wymagających specjalistycznych zabiegów chirurgicznych. Wcześniej leczenie chirurgiczne zapewniał im Instytut Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie. Nie zadbano jednak o umowy, które

umożliwiłyby prowadzenie zabiegów pod właściwą opieką hematologów zajmujących się leczeniem chorych na skazy krwotoczne.

Problemem jest też to, że w Polsce jest za mało lekarzy, którzy znają się na leczeniu dorosłych z hemofilią. Część przechodzi na emeryturę, nie pojawiają się kolejni. Konieczne jest wyszkolenie nowych lekarzy.

Gdy chory na hemofilię z powodu wypadku trafi na SOR w małej miejscowości, lekarze wiedzą, jak go leczyć?

Konieczne jest podanie jak najszybciej czynnika krzepnięcia. Chory na hemofilię ma zawsze przy sobie legitymację chorego i kartę postępowania, w których jest opisane, jak prowadzić leczenie. Jednak dyspozytor pogotowia, lekarz SOR zawsze powinien skontaktować się z hematologiem z ośrodka referencyjnego dla chorych na hemofilię. Jak wspominałem, takich ośrodków w Polsce brakuje. Wiedzę, jak prowadzić leczenie, na pewno posiadają Instytut Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie i szpital pediatriczny WUM. Personel SOR w razie wątpliwości powinien się z nimi kontaktować. Najważniejsze jest jednak to, że wszelkie działania medyczne u chorego na hemofilię można prowadzić dopiero po podaniu czynnika krzepnięcia. Wielokrotnie apelowaliśmy do Ministerstwa Zdrowia o stworzenie systemu szkoleń e-learningowych dla ratowników medycznych i pracowników SOR. Ministerstwo odpowiedziało pozytywnie, mamy nadzieję, że takie szkolenia wkrótce będą dostępne.

Jakie najważniejsze zmiany w leczeniu chorych na hemofilię powinny dokonać się w 2021 r.?

Powstanie ośrodków leczenia w każdym województwie. W takim ośrodku powinno pracować przynajmniej dwóch lekarzy. Ośrodek powinien zajmować się kompleksowo chorymi na hemofilię, prowadzić operację, jeśli to jest konieczne. Ważne jest, żeby na mapie Polski nie było białych plam, gdzie chorzy nie mogą uzyskać pomocy. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Bogdan Gajewski

– prezes Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię.

Jak pandemia COVID-19 wpłynęła na funkcjonowanie firmy oraz rozwój innowacyjnych terapii, opracowywanych przez Boehringer Ingelheim?

Pandemia COVID-19 wpłynęła na różne obszary naszego życia, w tym na naszą pracę. Od początku naszym priorytetem było zagwarantowanie ciągłości produkcji naszych innowacyjnych leków oraz zabezpieczenie ich dostaw dla polskich pacjentów. Nie mam na myśli pacjentów chorych na COVID-19, ale pacjentów cierpiących na inne schorzenia, m.in. choroby przewlekłe, lub w stanach nagłych, takich jak udar mózgu.

Przyznam, że nie było to łatwe zadanie, ale niewątpliwie pomogło to, że obecnie ponad 70 proc. naszego zespołu produkcyjnego znajduje się w Europie. Zapewnia to krótki czas reakcji, umożliwia ścisłą kontrolę, niezawodne systemy jakości i stosunkowo niewielkie odległości w transporcie leków.

Jednocześnie skupiliśmy się na utrzymaniu postępów prac badawczo-rozwojowych. Oczywiście pandemia nieco je spowolniła, ale nie zdołała nas zatrzymać. Obecnie mamy kilkanaście nowych cząsteczek znajdujących się w pierwszej lub drugiej fazie badań klinicznych. Co więcej, rozpoczęliśmy prace nad trzema terapiami związanymi bezpośrednio z COVID-19, w tym badanie kliniczne drugiej fazy leku, który ma wspierać terapię osób z ciężkim przebiegiem COVID-19.

Ważnym krokiem w naszych działaniach było również rozpoczęcie współpracy z Google w zakresie obliczeń kwantowych, w ramach naszej kompleksowej strategii transformacji cyfrowej. Jesteśmy pierwszą firmą farmaceutyczną na świecie, która połączyła siły z Google w tej dziedzinie. Wspólnie chcemy wykorzystać obliczenia kwantowe w badaniach biofarmaceutycznych. Naszym celem jest przyspieszenie obiecujących działań, a co za tym idzie – wprowadzenie na rynek większej liczby przełomowych terapii dla naszych pacjentów.

Cały świat mówi teraz o COVID-19, a tymczasem choroby przewlekłe, takie jak cukrzyca, choroby serca czy płuc, nagle nie zniknęły. Mimo to wiele osób w różnych krajach, w obawie przed zakażeniem koronawirusem, unika lekarzy, przychodni i szpitali. Obserwuje pan ten trend również w Polsce?

Niezwykle ważne jest to, aby pacjenci, którzy rozpoczęli leczenie, kontynuowali terapię zgodnie z zaleceniem lekarza.

Rozmowa z Michalem Čuham, dyrektorem generalnym Boehringer Ingelheim



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Niestety obserwujemy, że jest ogromna grupa ludzi, którzy w czasach pandemii nie zostali jeszcze właściwie zdiagnozowani bądź przestali kontrolować swoją chorobę. Jednym z powodów takiego stanu rzeczy mógł być ich strach przed pójściem do lekarza. Druga przyczyna leży prawdopodobnie po stronie ograniczeń wprowadzonych w świadczeniu usług zdrowotnych.

Jestem właśnie po lekturze najnowszych badań dotyczących Polski, Czech, Szwajcarii, Izraela oraz Rosji, które pokazują, że pandemia COVID-19 miała negatywny wpływ na sytuację pacjentów w różnych krajach, również w Polsce. Okazuje się bowiem, że w praktyce liczba pacjentów mających dostęp do lekarzy, przychodni oraz szpitali znacząco spadła.

że będą mogły lepiej kontrolować swoją chorobę, a co więcej – żyć dłużej.

Po drugie, jako firma szukamy rozwiązań w obszarach, w których nie opracowano jeszcze terapii pozwalających na zadowalającą kontrolę choroby. Jednym z takich obszarów są choroby śródmiąższowe płuc. Mamy już doświadczenie w leczeniu pacjentów z idiopatycznym włóknieniem płuc, a w ostatnim roku zostały zarejestrowane nowe wskazania w obszarze śródmiąższowych chorób płuc, takie jak śródmiąższowa choroba płuc związana z twardziną układową, a także przewlekła śródmiąższowa choroba płuc przebiegająca z włóknieniem (ILD) z fenotypem postępującym, innym niż idiopatyczne włóknienie płuc. To nowa szansa dla wielu chorych.

wiele aspektów. Top Employer to wyraz uznania dla naszej kultury organizacyjnej i podejścia do pracowników. Staramy się tworzyć miejsce, w którym nasi pracownicy będą czuli się dobrze, będą mogli realizować swoje plany zawodowe i rozwijać się, w zróżnicowanym środowisku. Dzięki temu staliśmy się jednym z najlepszych pracodawców na globalnym rynku i jesteśmy z tego bardzo dumni.

Gdyby mógł pan dać jedną radę osobom odpowiedzialnym za system opieki zdrowotnej w Polsce, to jak by ona brzmiała?

Nie wiem, czy jestem osobą, która powinna dawać takie rady, ale jeżeli mogę pozwolić sobie na osobistą refleksję, to wydaje mi się, że należałoby więcej inwestować w zdrowie społeczeństwa. Sądzę,

Rozpoczęliśmy współpracę z Google, aby zwiększać liczbę przełomowych terapii

Niestety idzie za tym wzrost śmiertelności, co można było zaobserwować w ostatnich miesiącach. To bardzo, bardzo smutne.

Obserwując rynek farmaceutyczny, widzimy także spadek inicjacji nowych terapii oraz kontynuacji zleconych schematów terapeutycznych. To niepokojące i niebezpieczne, zwłaszcza w przypadku pacjentów z chorobami płuc, gdyż m.in. właśnie oni są najbardziej narażeni na cięższy przebieg COVID-19.

Miejmy nadzieję, że uda nam się wygrać walkę z COVID-19. Jakie są plany Boehringer Ingelheim w Polsce na najbliższe lata?

Po pierwsze, skupiamy się na pomocy pacjentom cierpiącym na cukrzycę. Istnieje ogromna liczba osób, które pilnie potrzebują nowoczesnych terapii. W Boehringer Ingelheim wierzymy, że możemy zaoferować im znacznie lepszą opiekę i sprawić,

Chcielibyśmy także zaproponować nowe terapie osobom cierpiącym na niewydolność serca. W Polsce jest ogromna grupa takich chorych, która mogłaby skorzystać z innowacyjnego leczenia.

Imponujące plany, do których realizacji potrzebni są najlepsi pracownicy. W 2021 r. Boehringer Ingelheim został wybrany do prestiżowego grona firm, które otrzymały certyfikat Global Top Employer, wydawany przez Employees Institute. Również w Polsce kierowana przez pana firma należy do czołówki uznanych pracodawców. Co sprawia, że Boehringer Ingelheim jest tak atrakcyjnym miejscem pracy?

Rzeczywiście w 2021 r. certyfikat Global Top Employer otrzymało jedynie 16 firm na świecie. My otrzymaliśmy go po raz pierwszy w historii, ale również po raz siódmy przyznano nam tytuł Top Employer Polska. Dlaczego znaleźliśmy się w wyróżnionej grupie? Myślę, że wpływa na to

że pandemia COVID-19 jasno pokazała, iż ochrona zdrowia to obszar, którego nie wolno zaniedbywać.

Mówiąc o inwestowaniu w zdrowie, mam na myśli nie tylko dodatkowe środki finansowe, lecz także poświęcenie więcej uwagi edukacji społeczeństwa w obszarze profilaktyki prozdrowotnej. Uczenie zdrowych nawyków, motywowanie do prowadzenia zdrowego trybu życia, zachęcanie do regularnych badań i kontroli swojego stanu zdrowia to te elementy, które mogą pomóc w uniknięciu poważnych chorób. Zapobieganie to największy potencjał. Natomiast jeśli już trzeba podejmować decyzje terapeutyczne, to warto to robić zgodnie z najnowszą wiedzą medyczną oraz wytycznymi i rekomendacjami towarzystw naukowych, aby pacjenci mogli dłużej i lepiej żyć.

Inwestycja w nowoczesne terapie po prostu się opłaca. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jakie widzi pan największe wyzwania dla zdrowia na 2021 r.?

W dalszym ciągu największym wyzwaniem będzie walka z trwającą pandemią COVID-19 i jej skutkami. System ochrony zdrowia pozostaje przeciążony i niestety obserwujemy zwiększoną umieralność nie tylko z powodu zachorowań na koronawirusa, lecz także innych schorzeń. Przesunięcie w czasie diagnostyki i leczenia innych chorób pogłębia ten stan, a pogarszający się nastrój i wzrost częstości występowania problemów o podłożu psychiatrycznym, szczególnie widoczny wśród seniorów oraz dzieci i młodzieży, czy zmniejszona aktywność ruchowa, prowadząca do otyłości, to tylko niektóre wyzwania spotęgowane przez pandemię, które niosą za sobą długofalowe negatywne efekty. I nie mówię tutaj tylko o perspektywie tego roku, coraz częściej mówi się o długoterminowych czy wręcz odroczonej skutkach pandemii. Przykładowo szacuje się, że ok. 30 proc. pracowników ochrony zdrowia w ciągu najbliższych kilku lat może doznać zaburzeń psychicznych, takich jak depresja, zaburzenia lękowe czy zespół stresu pourazowego. Musimy także pamiętać, że koronawirus nie sprawił, iż inne choroby zniknęły. Już dzisiaj prognozuje się, że w najbliższych latach wzrośnie liczba nowotworów wykrywanych w zaawansowanym stadium. Wpływ na to mogą mieć trudności związane z dostępem do specjalistycznej opieki zdrowotnej oraz opóźnianie leczenia i niska zgłaszalność na badania profilaktyczne pacjentów, którzy w obawie przed zakażeniem koronawirusem odkładają wizyty w placówkach medycznych.

A czy są jakieś pozytywne skutki pandemii?

COVID-19 sprawił, że prace nad niektórymi projektami,



Postawmy na współpracę

Rozmowa z Michałem Grzybowskim, prezesem Philips Polska

zwłaszcza związanymi z wykorzystaniem w medycynie zaawansowanych technologii, znacząco przyspieszyły. Szybko rozprzestrzeniający się wirus SARS-CoV-2 pokazał, jak ważne i potrzebne są rozwiązania pozwalające na zdalną diagnostykę i monitorowanie stanu zdrowia pacjenta. Rozwiązania telemedyczne, e-recepta, e-skierowanie czy narzędzia takie jak platforma Philips VitalHealth, wspomagająca zarządzanie zdrowiem populacyjnym, pozwalają nie tylko lepiej zadbać o bezpieczeństwo zarówno personelu medycznego, jak i pacjentów, lecz także zoptymalizować koszty diagnostyki i leczenia, które w ochronie zdrowia zajmują coraz bardziej znaczącą pozycję. Znacząco zwiększyła się otwartość na tego typu rozwiązania po stronie zarówno personelu medycznego, jak i pacjentów. Pandemia spowodowała także zacieśnienie współpracy międzynarodowej

w obszarze nauki i medycyny, wzmocniła znaczenie zdrowia w kontekście całej gospodarki oraz podkreśliła rolę zdrowia publicznego i epidemiologii – to lekcja, z której będziemy wyciągać wnioski przez kolejne lata, jeśli nie dekady.

Nad jakimi nowymi rozwiązaniami technologicznymi i informatycznymi pracuje firma Philips? Kiedy trafią one do pacjentów?

Opierając się na rozwiązaniach łączących zdobycze informatyki i badań genetycznych, opracowujemy narzędzia, które można wykorzystać w kompleksowej opiece onkologicznej, z naciskiem na diagnostykę. Przykładem jest utworzenie centrów szybkiej diagnostyki (RDC – Rapid Diagnostic Centres), które umożliwią koordynację działań diagnostycznych i terapeutycznych. Ten system jest na etapie zaawansowanych testów.

W Philips skupiamy się na innowacyjnych rozwiąza-

niach, zwłaszcza tych z wykorzystaniem sztucznej inteligencji w medycynie oraz na szeroko pojętym e-zdrowiu. Dlatego wśród podmiotów, które włączamy do naszego portfolio, jest tak dużo spółek technologicznych, inwestujemy i wspieramy także najlepsze start-upy w tym obszarze. Pod nasze skrzydła w ostatnim czasie przeszły m.in. takie firmy jak Intact Vascular (posiadająca urządzenia do nieinwazyjnych zabiegów naczyń obwodowych) czy Bio Telemetric (specjalizująca się w zdalnej diagnostyce kardiologicznej). Współpracujemy także z czołowymi ośrodkami edukacyjnymi, choćby Politechniką Śląską. Nasz wspólny projekt – Śląskie Centrum Inżynierskiego Wspomagania Medycyny i Sportu – zostanie oddany do użytku pod koniec bieżącego roku. Jesteśmy zdania, że kompleksowa współpraca oraz wymiana wiedzy pomiędzy przedstawicielami świata nauki i biznesu są niezbędne, by sprostać problemom trapiącym służbę zdrowia XXI w.

Gdyby miał pan zaproponować jedną najważniejszą radę dla systemu ochrony zdrowia globalnie, to byłaby to...

Współpraca. To słowo klucz. Wszyscy jesteśmy częścią systemu ochrony zdrowia: rząd, szpitale, lekarze, uczelnie medyczne, firmy technologiczne i oczywiście pacjenci. Każda grupa ma nieco odmienne spojrzenie na wyzwania, z którymi na co dzień mierzy się służba zdrowia, ale mamy jeden cel. Jestem przekonany, że wzajemny dialog, porozumienie i szeroko zakrojona współpraca pomogą przyspieszyć zmiany w służbie zdrowia, które nabrały tempa w czasie pandemii. Ona wyraźnie pokazała, że wspólnie możemy zdziałać dużo więcej – wykorzystajmy to.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: HYBRYDOWY ODKURZACZ HOOVER HYDRO H-FREE 500 PLUS

Bardzo mała waga, możliwość odkurzania oraz mopowania podłóg za pomocą wałka Hydro 360°, a także podświetlenie LED na głównej szczotce – to największe zalety bezprzewodowego odkurzacza z kategorii „pięć w jednym” amerykańskiej firmy Hoover, przeznaczonego do odkurzania i mycia podłóg, mebli, kanap i samochodów.

Stosunkowo niewielki (107,9 x 25,2 x 19,5 cm), wykonany z plastiku bezprzewodowy odkurzacz waży jedynie 2,6 kg. Na pochwałę zasługuje ergonomia zastosowanych elementów: wszystkie ważne przyciski są wyraźnie oznaczone, a wszystkie elementy, które wymagają częstego wyjmowania i wkładania (np. rolki), są bajecznie proste w obsłudze.

Moc ssania generowana przez silnik, który obraca się z prędkością 100 tys. obrotów na minutę, wynosi 75 W i jest wystarczająca, aby odkurzać bez problemu zbierał wszelkie zabrudzenia. Podświetlenie LED na szczotce pozwala zaś łatwo dostrzec, które miejsca pod szafami, biurkiem czy w innych ciemnych zakamarkach wymagają jeszcze posprzątania. Do odświeżenia podłóg przydatna może być również funkcja mopująca, która pozwala na jednoczesne odkurzanie i mopowanie podłóg.

Sprzątanie ułatwia też łatwo odłączalny odkurzacz ręczny z końcówką do kurzu oraz szczelinówką do sprzątania w wąskich zakamarkach.

W zestawie są też miniturboszczotka do zbierania psiej i kociej sierści, długa ssawka szczelinowa oraz szczotkę do odkurzania mebli.

Odkurzacz można łatwo zaparkować w pozycji pionowej, a po zakończeniu sprzątania złożyć konstrukcję tak, by nie miała więcej niż 69 cm wysokości. To wygodne rozwiązanie, choć głośno „klik” przy każdym ustawianiu sprzętu w pozycji pionowej sprawia, że nie jestem pewny, jak trwałe po kilkunastu, kilkudziesięciu miesiącach okazałyby się zastosowane przez producenta plastikowe elementy.

Bateria w trybie automatycznym wystarcza mniej więcej na 45 minut sprzątania na jednym ładowaniu. A w trybie turbo – 8–10 minut. Zaletą testowanego modelu jest możliwość ładowania akumulatora podłączonego do odkurzacza, jak również odpięcie go i ładowanie innym smartfon i inne urządzenia. Naładowanie akumulatora do pełna według producenta zajmuje 2,5 godziny, ale podczas naszego testu przeważnie był on krótszy.

Wady? Przede wszystkim odkurzacz jest stosunkowo głośny – nie tylko w trybie turbo, lecz także w trybie, który producent nazywa „cichym” (cudysłów jest tu konieczny, bo poziom głośności waha się w zależności od trybu i intensywności walki z brudem od ok. 60 do ok. 80 dB).

Nieco wygodniejsze mogłoby też być czyszczenie pojemnika na zebrany brud, a sam pojemnik mógłby być również większy (w testowanym modelu ma on jedynie 0,45 l). I wreszcie minus trzeci: plastikowe elementy łatwo się rysują, ale na szczęście są trwalsze, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Mimo tych minusów Hoover H-Free 500 Plus wydaje się produktem godnym polecenia – stosunek funkcji do ceny tego modelu wypada bowiem sporo korzystniej niż w przypadku niektórych podobnych modeli konkurencji, moc ssania jest wystarczająca, a opcja jednoczesnego odkurzania i mopowania sprawdza się bardzo dobrze. Za testowany model trzeba obecnie zapłacić ok. 1 tys. zł.

© ©

Jacek Przybylski



MASKA ZAPEWNI ZDROWIE I ANONIMOWOŚĆ?



Firma Blanc wprowadziła do sprzedaży maskę, która upodobił użytkownika do bohaterów filmów science fiction. Model wyposażony jest nie tylko w dwa wymienne filtry HEPA, chroniące nos i usta przed większością wirusów i bakterii, lecz także oferuje pełną ochronę oczu, przez które też można się zarazić. Dodatkowo kolorowe wymienne panele teoretycznie powinny pozwolić zachować anonimowość użytkownika, choć bez wątpienia

będą też mocno zwracać na siebie uwagę. Cena na portalu Indiegogo wynosi 99 dol. (ok. 370 zł). Według producenta dostawy rozpoczną się w maju 2021 r.

BUTY Z KARTĄ GRAFICZNĄ

Karty graficzne Nvidia GeForce RTX 3080 stały się produktem wyjątkowo deficytowym. Firma Artifact Studios we współpracy z producentem sprzętu komputerowego NZXT stworzyła więc dla graczy ich namiastkę, czyli kolekcjonerskie sportowe buty, które mają zamontowane kolorowe wyświetlacze LCD oraz wbudowane w podeszwę miniatury układy graficzne RTX 3080 wraz z wentylatorem. Ani cena gadżetu, ani planowana data wprowadzenia butów do sprzedaży nie są jeszcze znane. © ©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

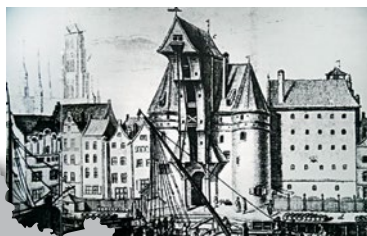


JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Łasztownie bałtyckie

Łasztownią nazywano w dawnych czasach stocznie, w której budowano różne rodzaje statków. Na terenach Korony Polskiej znajdowało się ich kilka – w większych miastach nad brzegiem Bałtyku. W Gdańsku funkcjonowały dwie – jedna między dzisiejszą ulicą Lastadia a lewym brzegiem Motławy, jednak badania



FOT. GDAŃSKA PUBLICZNA

Motławy były składy drewna; znaleźlibyśmy je także na terenie Nowego Miasta i na południe od Wyspy Spichrzów, koło śluzy. Oprócz nich działały składy smoły – na wysepce położonej na południu od Wyspy Spichrzów, przy placu Popielnym. Od 1494 r. przeniesiono je na Ołowiankę, gdzie składowano także metalowe części. Ogromną pomocą służył sławny żuraw – to właśnie przy jego użyciu osadzano maszty największych jednostek morskich.

Mniejsze łasztownie mieściły się w Pucku i Elblągu. W tym ostatnim budowano przede wszystkim statki małe – do 16 łasztów pojemności, zwane szmakami i batami. Stocznia znajdowała się w obrębie starej fosi miejskiej, nad brzegiem rzeki Elbląg. Była tam też cieślarnia, w której dokonywano napraw. W puckiej łasztowni z kolei brak było kuźni, smolarni i warsztatów powroźniczych, a jednak tutaj zbudowano w czasach Zygmunta III Wazy większość okrętów polskiej floty, która wzięła udział w bitwie pod Oliwą, w tym najslawniejszego „Rycerza św. Jerzego”. Stało się tak, ponieważ Gdańsk był bardzo nieprzychylny budowie floty królewskiej.

Jakie okręty i statki budowano w łasztowniach? Przede wszystkim pinasy i fluity – statki handlowe, które jednak były powszechnie używane także jako okręty wojenne; rzadziej większe galeony. Ich wyporność w przeliczeniu z łasztów na dzisiejsze jednostki wynosiła zwykle od 40 do 400 ton. W owych czasach powstawały już jednostki o wiele większe – na przykład sławny galeon szwedzki „Vasa”, który miał 1,2 tys. ton wyporności, czy podobnej wielkości holenderska „Batavia”. Do budowy używano różnego typu drewna – ale kadłub wykonywano zwykle z dębu. Na jeden galeon potrzeba było

ok. 4 tys. takich drzew, co daje pojęcie, jak wielkie były nasze dawne lasy – wszak całe to drewno było z Polski spławiane Wisłą do Gdańska i innych portów.

Budowa jednego statku trwała zwykle do półtora roku. Po podpisaniu umowy tworzone najpierw dokładny model, potem wznoszono pochylnię, wreszcie układano stępki, stawy tylne i przednie. Wreszcie montowano wręgi i wzdłużniki. Później gotowy szkielet obijano plankami i klepkami, tworząc kadłub. Szczeliny wypełniano smołą, pakiem, woskiem i łojem, te między planami upychano pakułami. Na końcu wykańczano wnętrza i osadzano maszty. Wybudowany statek należało jeszcze wyposażać w działa, olinowanie, ożaglowanie i inny sprzęt.

Ile kosztował galeon? Fortunę. W 1626 r. w Gdańsku za mały, handlowy, o wyporności ok. 300 ton zapłacono 13 429 zł. Jednak kilka lat później ceny znacznie wzrosły. Podobny statek w 1634 r. kosztował już 30 tys. Duży okręt wojenny, o wyporności ok. 600 ton, a więc o połowę mniejszy od „Vasy”, kosztował 60 tys. zł. W tym czasie dochód z dobrej wsi w Małopolsce oddanej w dzierżawę wynosił ok. 1 tys. zł rocznie. Tymczasem statek kupiony za tak ogromne pieniądze można było nader łatwo stracić – wystarczył błąd w nawigacji, sztorm albo burza, spotkanie z korsarzami. Statek też mógł być zarekwirowany przez Szwedów, Niemców, Duńczyków, a nawet wcielony do floty królewskiej, zatrzymany w sekwestr; jeśli wybuchła wojna. Wreszcie – zgnić, jeśli kadłub nie został odpowiednio zabezpieczony. Mogli go także zatrzymać i ograbić w porcie, gdy właścicielowi nie starczyło pieniędzy na cła i opłaty. Taki zresztą był los floty Zygmunta III Wazy. ©

Gdańsk

I RZECZYPOSPOLITA

FOT. PEGAZ

archeologiczne nie do końca to potwierdzają. Jej nazwa wywodziła się od „łasztu”, starej miary objętości zboża, trochę mniej niż dzisiejsze dwie tony. Druga stocznia zwana była Brabancją, nie od nazwy kraju, ale od bragerbanku – urzędnika, a raczej miejsca do remontu statków – płycizny, na której obrabiano je, kładziono na burcie, aby dostać się do zanurzonej w czasie żeglugi części kadłuba i przeprowadzić jego naprawy. Brabancja znajdowała się przy ujściu kanału Raduni do Motławy.

Z łasztownią związane były liczne warsztaty i miejsca, gdzie przygotowywano budulec oraz materiały do wyekwipowania statków i okrętów. Po drugiej stronie kanału Na Stępce, na Ołowiance, znajdowała się cieślarnia, na Dolnym Mieście zaś warsztaty powroźnicze, a obok nich smolarnie, kuźnie kotwiczników i warsztaty płótna do żagli. Po obu stronach

AMERYKAŃSKA KANAPKA

RAFAŁA FIDYTA

W moim domu zawsze gotowało się tradycyjnie i takich dań w mojej kuchni na co dzień nie brakuje. Nie oznacza to, że nie lubię nowych smaków. Jestem fanem street foodu, czyli kuchni ulicznej. Street food jest często mylony z fast foodem, takim jak kebab. Dania uliczne potrafią zaskakiwać swoim smakiem i jakością składników, nie zawsze jest to śmieciowe jedzenie. Stąd właśnie pomysł na kanapkę zapożyczoną z kuchni amerykańskiej – filadelfijską kanapkę z wołowiną i serem.

Składniki:

- 1 biała cebula
- 1 zielona papryka
- 200 g pieczarek
- 400 g antrykotu wołowego
- 200 g sera cheddar
- 2 małe bagietki
- sól
- pieprz

- łyżka oleju rzepakowego
- 2 łyżki majonezu

Przygotowanie:

Cebulę szatkujemy w piórka, paprykę pozbawiamy gniazd nasiennych i kroimy w paski, pieczarki kroimy w talarki. Wszystkie składniki podsmażamy z łyżką oleju ok. 8 minut i odkładamy na bok. Na tej samej patelni podsmażamy ok. 5 minut pokrojony cienko w paski antrykot. Do mięsa dodajemy warzywa, chwilę dusimy razem i na koniec dodajemy starty ser cheddar. Doprawiamy solą i pieprzem do smaku. Dwie bagietki przekrawamy wzdłuż, rozchylamy i grillujemy na patelni grillowej od strony mięszu. Bagietki smarujemy odrobiną majonezu i dokładamy do środka mięso z warzywami. ©©

oprac. raw

Rafał Fidyt jest kucharzem, prowadzącym pokazy kulinarne, finalistą IX edycji programu „MasterChef”



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pokój z widokiem

Nigdy nie marzyłam, żeby zamieszkać w wieżowcu, nawet gdyby to miał być penthouse z panoramicznym widokiem 360 stopni, portierem, to jest chciałam powiedzieć concierge'em, sauną, fitnesssem, basenem itp. luksusami. Ale sądząc po tym, że prawie wszystkie mieszkania w tzw. Żaglu Daniela Libeskinda w samym centrum Warszawy (przy samym dworcu) zostały sprzedane, jest wiele osób, którym taka idea się podoba. Pomijam w tej chwili inną drobną przeszkodę w ewentualnej realizacji takiego przedsięwzięcia – nie mam akurat pod ręką wolnych sześciu milionów czy też sumy do tego zbliżonej.

Wieżowce mają licznych wielbicieli w Polsce i nie tylko. Na przykład w Nowym Jorku, w końcu królestwie drapaczy chmur. Oto, jak donosi „New York Times”, jeden z najdroższych adresów w Nowym Jorku – 432 Park Avenue, zyskał sławę jako najwyższy mieszkalny wieżowiec na Manhattanie (426 metrów). Cieniutki jak patyczek i bardzo ekskluzywny, z jeszcze bardziej ekskluzywną listą lokatorów budynek zaczyna mieć pewne nieoczekiwane kłopoty.

Budowa kosztowała ponad 3 mld dol., ale na inwestorów nie czekano długo – rzucili się od razu głównie z zagranicy, w nadziei na zwrot wkładu z zyskiem. Najdroższy apartament, penthouse na 96. piętrze ze wspinałym widokiem na inne drogie drapacze chmur, kupiła za 88 mln firma saudyjskiego



FOT. AUDREY STOK

magnata Fawaza Alhokaira. Sporo taniej, bo tylko 15 mln, zapłacili Jennifer Lopez i jej partner Alex Rodriguez za mieszkanie o powierzchni 1,2 tys. mkw. Zresztą sprzedali je rok później. Inne mieszkanie, także całkiem spore, bo 1000-metrowe, nabyła pani Sarina Abramovitch i jej partner Michaił, emerytowany pracownicy sektora gazu i ropy. Proszę zgadnąć, jakie narodowości.

Tymczasem po paru latach luksusowy budynek zaczął kaprysić. Rury przeciekają, zalewając mieszkania, windy działają z przerwami. Wchodzić na 90. piętro piechotą wymaga, przyznają Państwo, niezłej kondycji. Pani Abramovitch twierdzi, że zalanie jej apartamentu spowodowało straty w wysokości pół miliona dolarów. Za restaurację (szef z gwiazdką Michelin) do dyspozycji wyłącznie mieszkańców trzeba płacić 15 tys., zamiast 1,2 tys., jak na początku. No i śniadanie nie jest już za darmo...

Deweloper i administracja stosują metodę, którą znamy z mniej ekskluzywnych budowli. Unikają odpowiedzi, są nieobecni albo mówią: to nie ja, to oni. A główny menedżer budynku nosi swoje nazwisko: Czarnecki. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wyprzedzić Algierię!

Okazało się, że było coś takiego jak dzień bez mediów. Media się wyłączyły na znak protestu przeciw nowemu podatkowi. Ciekawe, że gdyby nie portale społecznościowe, to nie miałbym o tej akcji najmniejszego pojęcia. Nie wiem, czy źle to świadczy o mediach czy o mnie, ale pewnie o mnie. Stary już jestem i nie przyswajam laktozy oraz „jakościowego dziennikarstwa”, którego w polskim radiu i polskiej telewizji jest przecież tak dużo.

Tymczasem tuż za rogiem czai się już kolejna opłata, którą chce wprowadzić rząd. Nazywa się reprograficzna, co brzmi groźnie. Zasadniczo chodzi o to, żeby producenci sprzętu elektronicznego – na którym słucha się muzykę, ogląda filmy czy czyta książki – przeznaczili odrobinę swego zysku dla artystów. Kilkanaście złotych od sprzedanego smartfona czy tabletu. Przy czym – co istotne – pieniądze nie wpłynęłyby do budżetu i rząd nie mógłby nimi swobodnie operować. Kasa miałaby z automatu zasilać emerytury twórców, które są obecnie albo skandalicznie niskie, albo wręcz bliskie zera.

Kiedyś, kiedy byłem liberałem, zabulgotałbym z oburzeniem na takie propozycje. Przecież to oznacza wzrost cen sprzętu elektronicznego! – tak alarmują główne media. Dzisiaj już liberałem nie jestem i nie uważam, że zysk Samsunga czy Huawei jest świętością. Dopuszczam nawet herezję,

że może być ciut mniejszy niż dotąd. Koncerny i tak ostatnio sporo oszczędzają na lotach biznes class. Poeta piszący poruszające wiersze, których jednakowoż szeroka publiczność nie jest w stanie docenić, nie powinien zaś na starość zdychać z głodu. Podobnie pianista grywający muzykę poważną czy wiolonczelistka z prowincjonalnej filharmonii. To oni będą profitamentami opłaty reprograficznej – nie Zenek Martyniuk czy Maryla Rodowicz. Dzisiejsze czasy doprowadziły do tego, że mylimy celebrytów (którzy pływają się w kasie i często ją głupio trwonią) z artystami. Ci pierwsi sobie poradzą, ci drudzy niekiedy popadają w nędzę. Chociaż to z ich talentu, pracy, wrażliwości utkana jest – mówiąc nieco górnolotnie – cywilizacja. Czasem tych nici nie dostrzegamy, czasem wydają nam się mało ważne albo niepotrzebne. Ale muzyka Beethovena będzie miała sens tylko dopóty, dopóki ktoś potrafi ją zagrać.

Jeśli te patetyczne – przyznaję – argumenty nie są przekonujące, to spójrzmy na dobre przykłady z zagranicy. Niemcy, którzy są przecież wzorcem wszystkiego, co dobre, zbierają z opłaty reprograficznej ponad 330 mln euro – najwięcej na świecie. Wiolonczelistki tam raczej nie wyginą. Gorzej jest w Algierii – tam zbiera się 15–20 mln euro. W Polsce – według dotychczasowych zasad – to 1,5 mln euro. Jednak trochę głupio być za Algierią. ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Bujać to my, ale nie nas!

Małgośka – mówią mi – będziesz pisać felietony. Ufam, że to dobra wiadomość dla Państwa, tym bardziej że pióro mam lepsze od mistrzów felietonu. W końcu skończyłam w Marsylii kursy kaligrafii i wywijam stółką lepiej niż bazgrający koledzy po piórze. Powiem brutalnie, nawet kolega Rafał mi nie podskoczy, bo nie po to zgłębiałam tajniki średniowiecznych krojów, uciapania tuszem jak mnisi (czasem martwi) z „Imienia róży”, żeby pisać brzydziej od Ziemkiewicza.

Zresztą pobyt w Marsylii zaowocował wieloma przeemyśleniami, które sprawiły, że znalazłam się właśnie w tym miejscu. Pewnego dnia skościł mnie rejs na okoliczne wyspy, zwłaszcza tę słynną z twierdzą d’If, czyli więzieniem, z którego uciekł hrabia Monte Christo w powieści Dumasa. Przyznam, że nie pamiętam ani wyspy, ani twierdzy, za to katorżniczy los hrabiego udzielił mi się gratis, bo jak się okazało – niestety – mały błędnik w uchu to jednak mocarny organ. Było nas pod pokładem jakieś 20 osób, które weszły w bliski kontakt z odmiennymi stanami świadomości pod wpływem bujania. Od tamtej pory nikt mnie nie przekona, że podróże samolotem są niebezpieczniejsze od podróży łajbą po Morzu Śródziemnym. Całe szczęście, że po trzech godzinach gehenny statek w końcu wrócił do portu, mąż zarzucił mnie na ramię i mruczając coś w stylu: „A upierałaś się na całodziennym

rejs katamaranem” – zaniósł do mieszkania.

To bujanie było jednak niczym wobec bujki o multikulturalizmie, którego reprezentanci wysiadali w marsylskim porcie setkami. I choć było to 14 lat temu, to pamiętam niepokój w związku z tym, co wypadało mówić na głos w rozmowach z Francuzami, a co lepiej było przemilczeć. „Torebkę noś zawsze z przodu”, „Krzycz, żeby zwrócić uwagę ludzi”, „Zamykaj balkon na noc i okna, pamiętaj – to parter”.

Dlaczego nikt nam nie mówi, że owszem multikulturalizm świetnie się sprawdza na uniwersytetach, na kongresach międzynarodowych, na polu golfowym, ale nie w dzielnicach zamieszkałych przez ludzi takich jak my?

Tymczasem bujają nas równo i bez znieczulenia w całej gamie spraw. Choć, jak staram się dowiedzieć w moich artykułach, nie jesteśmy osamotnieni i Europa budzi się z letargu. Od kiedy jednak wychynął Hołownia – żywy tester tendencji w polityce – można oczekiwać, że będzie bujał sprawniej i huśtał Polskę do wiwatu współ z opozycją. Ale pamiętaj, Panie Szymek – my mamy błędnik i on się może sprzeciwić nadmiernemu bujaniu. Z łajby na Morzu Śródziemnym zapamiętałam najcenniejszą receptę na życie: „Niedobrze ci? To patrz na horyzont”. Stałego horyzontu na morzu „płynnej nowoczesności” nie uda im się zetrzeć tak szybko. Obiecuję więc zadbać o to: tak piórką, jak i pazurkiem. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czerwone i brunatne książki

Niall Ferguson w swojej książce „Rynek i ratusz” w następujący sposób pisze o Marku Zuckerbergu, założycielu i właścicielu Facebooka: „Temu studentowi Uniwersytetu Harvarda nigdy nie brakowało idealistycznej [sic!] retoryki. Wręczany nowym pracownikom Facebooka zbiór zasad i celów obowiązujących w firmie, nazywany (w hołdzie przewodniczącemu Mao) „czerwoną książeczką”, głosi: „Początkowo Facebooka nie stworzono jako spółki. Stworzono go, by spełniał pewną misję społeczną – by czynił świat bardziej otwartym i połączonym”.

które pod koniec XX w. dopełniło swój zwycięski marsz przez polityczne, naukowe i medialne instytucje świata zachodniego. Niejeden z jego przedstawicieli zaczynał swoją publiczną działalność od „antysystemowych” manifestacji na ulicach czy uniwersyteckich campusach, a swoją „antysystemowość” eksponował, dzierżąc dumnie „czerwoną książeczkę” Mao.

Czerwoną od krwi. Mówimy przecież o Mao Zedongu, przywódcy chińskich komunistów, największym ludobójcy w dziejach. Nie wiadomo, czy Mark Zuckerberg czytał książki hollenderskiego historyka (dostępne także w Polsce) Franka Diköttera o Chinach w latach „wielkiego skoku” i rewolucji kulturalnej. Ale każdy, kto je przeczytał lub zapoznał się z „Czarną księgą komunizmu” zredagowaną przez Stephane’a Courtoisa (byłego maoiście), powinien wiedzieć, o jakim systemie ludobójczej zbrodni mówimy, wspominając „czerwoną książeczkę”.

A jednak – jak zauważa Chantal Delsol – ciągle mamy do czynienia na Zachodzie ze zjawiskiem traktowania komunistycznych zbrodni jako ludobójstwa „w dobrych zamiarach”. Stąd bierze się nadal utrzymująca się asymetria w ocenie przez nasiedziałe w ważnych instytucjach zachodniego świata „pokolenie 68 roku” dwóch XX-wiecznych totalitaryzmów: komunizmu i niemieckiego narodowego socjalizmu. Temu pierwszemu dużo można wybaczyć, przecież „chciał dobrze”, bo dążył do „emancypacji”. I to nie było jakiejś – całościowej i „naukowej”. Ten drugi był zły, ponieważ – jak pisze Delsol – „głosił pewną odmianę zakorzenienia”.

Czy jednak to przeciwstawienie: „emancypacja” – „zakorzenienie” jest zasadne? Czy istotnie w ideologii niemieckiego narodowego

socjalizmu chodziło o konserwatywną, jakkolwiek by było, wartość, jaką jest osadzenie w tradycji (tym przecież jest zakorzenienie)? A jeśli tak, to o jaką tradycję chodziło? Czy rzeczywiście narodowi socjaliści wzdragali się przed emancypacją? Czy słowo to było nieobecne w ich politycznym słowniku?

Bez sięgnięcia do źródeł nie będziemy w stanie poszukać rzetelnej odpowiedzi na te kluczowe pytania. W ostatnim czasie wielu polskich czytelników spoza grona tzw. profesjonalnych historyków zyskało dostęp do takiego podstawowego źródła. Wydana przez Bellonę „Mein Kampf” Adolfa Hitlera w tłumaczeniu i opracowaniu krytycznym prof. Eugeniusza Cezarego Króla ma taki właśnie charakter. Książka kanclerza Rzeszy Niemieckiej i „wodza narodu niemieckiego” to kwintesencja ideologii narodowego socjalizmu. To lektura podstawowa dla każdego, kto poszukuje odpowiedzi na pytanie: Co się stało z Niemcami po 1918 r.?

W III Rzeszy Niemieckiej „Mein Kampf” była traktowana jako „święta księga” nowej „politycznej religii”. Tak jak „Krótki kurs WKPb” w stalinowskim Związku Sowieckim czy „czerwona książeczką” w maoistowskich Chinach i na Zachodzie wśród starych i nowych „antysystemowych” bojowników o „świat bardziej otwarty i połączony”.

Książkę Hitlera trzeba czytać uważnie i nie lekceważyć. Zmarły w 1936 r. Jacques Bainville widział w niej całą masę „chłopców śmieszności”. Wykiwał jej „udający pedantyczność” język. Irytował go brutalny antysemityzm „przeznaczony dla głosu i bojówek”. Jednak w maju 1935 r. zadał trzy ważne pytania: „Któż czyta [»Mein Kampf«]? Kto rozumie to, co czyta? I kto wierzy w to, co zrozumiał?”. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

O prawie Baby Jagi do jedzenia dzieci



Jak to w praktyce wygląda, mogliby coś powiedzieć Donald Trump, a także katolicy i konserwatywni autorzy, w imię większej „otwartości i połączenia” systematycznie blokowani przez medium należące do gorliwego czytelnika „czerwonej książeczki”.

Niedawno opublikowana u nas (nakładem PIW) książka Julii Lovell „Maoizm. Historia globalna” zawiera całkiem spory rozdział poświęcony fascynacji „myślą przewodniczącego Mao” wśród zachodnioeuropejskiego i amerykańskiego „pokolenia 68 roku”,

OŹEŻ!



Wojciech Cejrowski
korespondencja
z USA

Ożeż... Wciągnąłem węży w odkurzac!

Wąż nie był duży i dlatego dał się wciągnąć. Ale mały grzechotnik jest bardziej agresywny od tych dużych. Wiadomo – nastolatek. Kąsa bez umiaru, nie oszczędza jad.

Czy ktoś z Was wciągnął kiedyś węży w odkurzac? Jadowitą żmiję? Czy ktoś kiedykolwiek gdziekolwiek na świecie zrobił coś tak głupiego? To w zasadzie nieważne – ważne, co się robi potem z tym odkurzacem. Bo ja nie wiem...

Mam taki schowek w domu, co to go nigdy nie używam i nie wiem, po co go zbudowano. Może tam miała być jakaś szafa? Jest niewygodny, ciasny, nie da się tam porządnie wejść, kompletnie bezużyteczny, błąd budowlany.

Ale teraz postanowiłem sobie odmalować miejsce, w którym stoi moje sławne biurko od Stryjaska, oraz ścianę za tym biurkiem, na której wiszą różne rzeczy. Postanowiłem tak ogólnie odświeżyć mój „gabinet nieowalny”, gdzie czasami pokazuję się w telewizji (kiedyś u Rachonia). W tym celu trzeba wynieść wszystkie sprzęty, książki, wielkie bycze rogi, dwie flagi na prezydenckich sztycach i do tego nagle przydał mi się ten stary schowek. Tylko tam nikt nigdy nie sprzątał (poza okazjonalnym opryskiem na myszy). Wziąłem więc odkurzac z samą rurą bez szczotki i zacząłem wciągać pajęczyny i mysie kupy z podłogi – aby

dało się na niej potem ułożyć moje kłopoty z gabinetu i jakoś w miarę nie ubrudzić. No i sprzątam, sprzątam, świecę sobie latarką trzymaną w zębach i nagle odkurzac zawył, a ja bardziej poczułem, niż zobaczyłem, że wciągam węży. Ups!

Mieszkasz na prerii, to czujesz takie rzeczy. To na pewno nie była żadna gumowa rurka ani kabelek, ani kawałek starej linki – to był na 100 proc. wąż, i do tego żywy. Taki, który się bronił, czyli w zasadzie u węży... zaatakował.

Kto zna jadowite węży, ten wie, że wąż jest prosty i atak od obrony nie różni się u węży niczym. Wąż inteligentny nie jest. Nam się tak wydaje, bo mamy w pamięci scenę z raję, gdy tamten wąż był przebiegły i sprytny, ale węży prawdziwe są proste, głupie i nastawione na atak. Jest im obojętne z jakiego powodu atakują, gdyż takie na przykład grzechotniki atakują z KAŻDEGO powodu, a powodem może być WSZYSTKO JAK LECI.

Tak, wiem, istnieją na świecie miłośnicy węży (brr...), pasjonaci węży oraz zieloni, czyli obrońcy węży, ale to towarzystwo nie mieszka na co dzień na prerii (gdzie się mieszka na co dzień z węzami).

Tu, na prerii, mieszkamy sobie razem i każda z naszych populacji stara się pokonać i przepędzić tę drugą populację. My – ludzie – strzelamy do wszystkich węży jak leci, a one – węży – nas gryzą i zabijają jak leci. I kiedy węży gryzą, jest im obojętne, że to zupełnie niegroźny ludzki bobas, który wyszedł rączkować na werandę. Więc nam z kolei też jest obojętne, czy ten wąż na werandzie jest zupełnie niegroźny – bezpieczniej jest założyć, że każdy wąż jest groźny i powinien zginąć.

Ta wojna trwa od dwóch stuleci i jakoś populacja prerio-

wych węży od tego nie zmalała. Po prostu na terenach zajętych przez człowieka jest ich mniej (ale nadal są), a gdzie indziej jest ich więcej.

U nas w knajpie pojawiają się czasami turyści – jakieś Kaliforniaki lub obserwatorzy przyrody. Nie wtrącamy się do nich – niech sobie zwiedzają prerię i zostawiają tu trochę forsy, ale... nie lubimy, gdy oni wtrącają się do nas. (Zwyczajna turystyczna wizyta do tego nie uprawnia!).

Czasami komuś nie podoba się słój z marynowanymi kawałkami węży stojący na kontuarze naszego baru. Zaczynają fukać, że łapanie węży i obrznięcie im łbów jest „niehumanitarne”. No... jest, owszem, jak najbardziej jest. Ale jak ma być inaczej, skoro wąż nie jest humanitarny, podobnie jak świnia czy pies? Wąż jest węzowaty, świnia świńska, a człowiek jest ludzki. Niehumanitarne byłoby obcięcie głowy człowiekowi, no ale kura na rosół czy wąż do słoika...

Nie wdajemy się jednak w takie psychologiczne dyskusje z zielonymi. Tu tę kwestię filozoficzną załatwia się jednym prostym zdaniem. Gdy taki gość zaczyna bronić węży, bardzo szybko słyszy hasło: „OK. IDŹ PRZYTUŁ WĘŻA” – to nasza męska odpowiedź.

No dobra, ale co ja mam teraz zrobić? Czyściłem stary schowek, wciągnąłem młodego węży i mam go teraz w odkurzacu. Co dalej?

Przecież nie otworzę kłapy, bo on jest wściekły i na mnie skoczy. Czekanie ze śrutówką, aż sam wyjdzie, nie ma sensu, bo on może wyjdzie za dwa tygodnie. To co teraz? Czy jest w sieci odpowiedź na pytanie, co zrobić z wężem w odkurzacu?

Najpierw szybko zacisnąłem rurę drutem. Zgiąłem ją na pół tak, żeby się zamknęła na

ciasno i zadrutowałem – teraz wąż nie wyjdzie, chyba że sam go wypuszczę. Zapomniałem, jak się ten odkurzac otwiera, ale nawet gdybym wiedział, to to i tak niebezpieczna zabawa, bo nie wiesz, czy przy otwieraniu coś nie odskoczy i czy ten wąż już tam w środku nie rozpruł papierowego worka. Mogę połączyć odkurzac benzyną i spalić, ale... czy tam nie ma czegoś, co wybucha, gdy się odkurzaczy łączy?

Zdzwoniłem do kumpli. Przyjechali szybko, bo tu na prerii dowolna akcja z wężem zawsze atrakcyjna i wywołuje popolite ruszenie.

Kumple przywieźli coś, czego nie znałem. Najpierw pokazali mi to na swoich komórkach – filmiki, na których od jednego strzału ze zwykłej domowej broni w powietrze wylatuje stara lodówka. Strzał z normalnego domowego karabinu i z odległości stu kroków rozwała potężną lodówkę. Łał! Nie znałem tego.

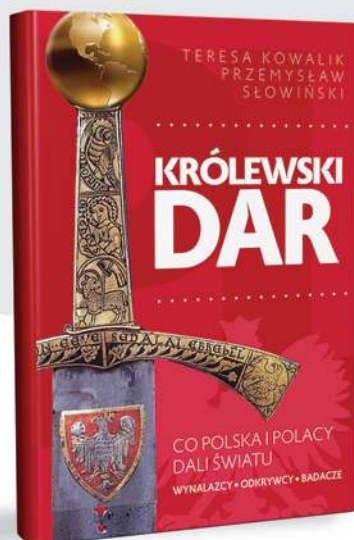
Odkurzac z wężem nie był dla kumpli problemem. Był pretekstem do doskonałej zabawy – bo skoro już do mnie jechali na cztery pikapy, to wrzucili przy okazji na pakę to i tamto – tak, żeby się zabawić na zakończenie karnawału. Trochę wołowiny na grilla, skrzynka z lodem i piwa, a do tego stary telewizor z kineskopem, zepsuta pralka... Takie tam. I kilka paczek Tannerite (wynalazek pana Tannera z roku 1996) – dwuskładnikowy materiał wybuchowy (sprzedawany jak poxipol – do zmieszania w domu). Mieszasz to sobie w słoiku, potem stawiasz słoik na odkurzacu z wężem, odchodzisz 100 kroków i walisz z karabinu. Nabój zrobiłby dziurę. Nabój posłany w słoik Tannerite robi babum, a resztki odkurzacza lądują rozpylone za granicą w Meksyku. Taki tu mamy koniec karnawału. Yee! ©©

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~830~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

T. KOWALIK, P. SŁOWIŃSKI
„KRÓLEWSKI DAR. CO POLACY DALI ŚWIATU”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

290,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 546 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 9078652e23

30 SEKUND do nagród

BŁYSKAWICZNA LOTERIA



8 X TOYOTA
Corolla Hybrid



28 X HULAJNOGA
Mi Electric Scooter



28 X DRON
DJI Mavic Mini

200 000 X mała kawa lub
napój Dynamic



Zagraj na stronie www.blyskawicznaloteria.lotos.pl

Loteria dla osób, które ukończyły 18 lat i mieszkają na terenie Polski. Promocja trwa od 20.10.2020 do 18.11.2020 oraz od 04.02.2021 do 01.03.2021. Zachowaj kupon z kodem. Lista stacji objętych loterią oraz regulamin Błyskawicznej Loterii LOTOS dostępne na blyskawicznaloteria.lotos.pl. Organizator: Grzegorzka&Ko Sp. z o.o.

